96

G. ZAPOLSKA

Utwory Dramatyczne

G. Zapolska Utwory Dramatyczne

Bibljoteka domowa
GOLIŃSKICH
№

Gabryela Zapolska.

Utwory Dramatyczne.

Bibljoteka domowa
GOLINSKICH
II. № 96.



WARSZAWA. 1910 K. FISZLER.



101685

MAŁASZKA.

OBRAZ SCENICZNY

W SZEŚCIU ODSŁONACH.

OSOBY:

JAŚNIE PAN. — JAŚNIE PANI. — MARTA, ich córka. — MADMOISELLE LATOUR. — HRABIA JERZY.—HRABINA HORTENSYA. PANI ELEONORA. — PANNA ZOFIA.—BARONOWA RÓŻA.— KANONICZKA HADEN. HRABIA KAZIO.—ROSENKRANZ.—SEMEN BOLACZKA, wójt. — MAŁASZKA. — BENEDIO.—OPANAS.—KANDZINKA.—JULEK. — HANS. — FRANZ. — SZMUL. — JANKIEL. — DAWID. — AJZYK. — ARON. — UŁAS.— SEMEN. — ZAZULA ORCHIM.—SYCZ.—DZENDŻERA.— MARTA CHIMKA.—NAŚCIA PAZIORZYCHA.— JEWKA DZINBENKA.— MODANKA. — PARASKA. — WARKA. — PAN LAWDAŃSKI. — HIEROMIN —JANEK.—PANI GUZICZKIEWICZ. — Koniokrady: MONSZE, BENIAMIN, CHAIMEK. — GOŁDA. — TREJNE. — TOŁCE. — DOKTÓR 1. — DOKTÓR 2. — Bachory żydowskie. — Chłopaki. — Chłopi.—Chłopki.—Goście.—Żydzi.

Rzecz dzieje się w Galicyi.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia wolną okolicę. W głębi las; z po za szczytów drzew widać dwie białe wieżyczki ze śpiczastemi daszkami. Po prawej stronie karczma z przedsionkiem, opartym na drewnianych słupach, dach słomą kryty; po lewej stronie drzewa i płot chruściany, dalej wzgórze, na niem krzyż, przewiązany zapaską i znów płot idący półkolem i niknący za podwyższeniem, stanowiącem drogę, którą później schodzi gromada.

SCENA I.

Za podniesieniem zasłony ścieżką biegnie MAŁASZKA; chwilę patrzy na zachodzące słońce, przysłaniając oczy ręką, później podbiega do płotu i siada na nim.

Małaszka. Już zachodzi! Maty za chwilę wracać będą do chaty... Kazali mi

uskrobać kartofli... niech sobie najmitkę wezmą i nią roboczą — ja to do roboty chęci nie mam. E! i tak byłaby to darmocha, bo maty do karczmy wstąpi i wódczyska w siebie wleje i nic w gębę nie weźmie. Ki czort miałabym się w chacie nad kartoflami kwasić — wolę tu posiedzieć, taj na dwór popatrzyć! (patrzy w stronę wieżyczek). Oj, dołoż moja, dolo! Czego to całej tej pańskiej sadyby nie widać, jeno te same kończyki... Takbym chętnie na te wielkie okna patrzyła, co mi się palą w zachodzącem słonku.

(Od strony lasu słychać piosnkę, graną na fujarce).

A, ot i Julek sirota idzie ścieżyną od lasu; nie widać go, jeno słychać granie na supiełce. Mówili ludzie, że jak on gra, to mrowie po człeku chodzi. Jak nie ma mrowie chodzić, kiedy Julek na mogiłę wisielaka się włóczy i tam wygrywa, taj wygrywa nieraz nockę całą. Ot! jakiś on nie samowity—baje czasem... ja go ta nie rozumiem, czego chce. Ot! zamoroczany! (patrzy w górę) Ho! ho! a to się zaczerniło — będzie deszcz i huczeć będzie tam w górze, aż się chatyna zatrzęsie... To dobrze! ja to lubię... jak tak huczy a lśni, jakby wszystko w ogniu stało! Niebo się pali a ja hyc z chatyny na pole i chustkę z głowy zedrę, taj głowę wysoko w górę niosę. Patrzę w niebo, a tam

ogień, żywy ogień leci. W koło huczy a ziemia się trzęsie — ja stoję i wszystko w niebo patrzę! Ja się nie boję! oho! jak się nic nie boję...

SCENA II.

MAŁASZKA i JULEK.

(Julek wchodzi wolno, grając na supiłce; przechodzi obok Małaszki, nie widząc jej).

Małaszka. Julek!

Julek (przestaje grać). Ach! to ty, Małaszka! Co tu robisz na płocie?

Małaszka. Boję się w chatynie sama, ta siedziałam na chruścianku i czekam na maty. Będą tędy wracali z pańskiego.

Julek. Ot, kłamiesz, zazulu! Tybyś się bała czego na ziemi?

Małaszka. Oj tak! tam w chatynie moroczno samej siedzieć!

Julek. Ty mów, co ci się moroczy, ale się nie boisz. Ty, Małaszka, zawsze kłamać musisz...

Małaszka. Idziesz do domu, do dworu?

Julek. W niewoli! Oj! to dola zatracona! Rwą mi się chęci do lasu, do supił-

ki, do grania, a tu w kredensie siedź i talerze myj...

Małaszka. Jabym tam poszła, oj poszła...

Julek (jakby jej nie słuchając). A tak mi dziś się grało! tak grało! bór szumiał a supiłka płakała, taj się skarżyła na sierocą dolę. I tak mi było dobrze, jakby mnie nigdy maty nie rzuciła i do dworu na niedolę nie oddała! Wisielak tylko słuchał, schowany pod mogiłą a choiny wysokie ku ziemi wierchy kłoniły i pieśni słuchały.

Małaszka (do siebie). Ot, baje!

Julek (przyklękając na pieńku, obok płota, kładzie głowę na kolanach Małaszki). Gdyby ty, hołubyna, poszła zemną do boru, ta posłuchała, jak ta supiłka płacze...

Małaszka. E! coby ja ta w borze robiła?

Julek. Nie chcesz? To źle, Małaszko... Tam piękniej, jak tu i ludzi niema i tylko ja sam byłby z tobą i grał ci do późnej nocki. Może chcesz, zazulu, ja ci zagram to, co mi w boru dziś wiatr przyniósł. To w powietrzu się tak coś skarży i mnie do głowy wpada a ja to potem wygrać muszę, bo inaczej mnie głowa cięży i usnąć potem nie mogę. O, słuchaj! tak dziś w boru jęczało!...

(Przykłada supiłkę do ust i gra. Małaszka słucha z początku z uwagą, później ogląda się na dwór kilkakrotnie. Słońce zachodzi powoli, oświetlając grupę, t. j. Julka i Małaszkę. Julek, po skończeniu, obciera oczy rękawem).

Małaszka. Ładne... ale tropak, ten, co go Stefan gra, ładniejszy. To nie tropak, co ty grał, prawda?

Julek (patrzy chwilę na Małaszkę). Nie, Małaszko... to nie tropak.

Małaszka. Julek! nie graj już; powiedz lepiej, co dziś państwo na południek jedli. Chleb z jabłkami, czy co? No, powiadaj! Może sytę pili?

Julek. Oj, Małaszko, ty ciągle o tym dworze myślisz! Ta Warka ci het przewróciła w głowie!

Małaszka. Ot, Warka ma jasną dolę!

Julek. Oj! to ci jasna dola! Chodzi wciąż koło roboty i pańskie szmaty płucze. Ot, tobie, Małaszka, lepiej się dzieje, bo wolna jesteś jak ptaszyna, a nie słuchasz nikogo, nawet twojej maty.

Małaszka. Jaby tam pani słuchała. (Gładząc Julka po twarzy). Słuchaj, Julek, kiedy ja pójdę do dworu? Ty mnie przyrzekł, co kiedyś weźmiesz mnie ze sobą i ca-

łą sadybę pokażesz. Widzisz, Julek, u ciebie to nie dawać wiary; ty tylko tumanisz, ty mnie do dworu nie weźmiesz.

Julek. Po co ci to widzieć? Tam, prawda, bogactwo, aż oczy lśni... Ale jak cię pili, to cię tam zawiodę.

Małaszka. Ach! Julku, gołąbku! powiedz, co oni tam jedzą? co robią dniami całemi.

Julek. Et! cur ino! Bałakają całe dnie od świtania do zachodu, a my koło nich chodzimy, taj dumamy, czemby im dogodzić. Ty, Małaszka, takiej doli nie żądaj, bo to oczy wypłakać w takiej niedoli. W jamie siedź i talerze myj, a od tych drugich charkanie znoś. Mnie to boli, a ty, głupia, za tem tęsknisz i oczy po próżnicy wypatrujesz. Oj, tak! widziałem ja cię wczoraj, jakeś koło dworu nawracała a pod kasztanami kucała. Co ci też to po tem, zazulu! Ty nie patrz we dwór, bo dla dziewki to zaprzepaszczenie! Moja biedna nenia mówiła nieraz, że gdybym dziewką był, wolałaby mnie żywcem w mogiłę wkopać, jak do dworu w posługę oddać. Temu ja ci mówię, hołubko moja, do chatyny wracaj i nie patrz, aby pańską sadybę zobaczyć. To nie dla ciebie.

Małaszka. E! ja się tam na ciebie nie otkazuję, że ty na twej supiłce hołosisz i po rozputajach się jak nawiżeny włóczysz.

Julek. Bo mi tak już z urodzenia przystało.

Małaszka. A mnie z urodzenia przystało na dwór patrzyć i do pańskiej komory żądać.

Julek. Ty, Małaszka, nie wyczytuj sobie jakiej niedoli takiemi słowy, jeszcze cię lisowyk posłyszy, a złe nie śpi, tylko na ludzi czycha.

Małaszka (ze złością). Pek tobie! Ja wiem, co opowiadam! A do pańskiej sadyby pójdę, jak zechcę. Słyszysz, ty dziadu?

Julek (spokojnie). Nie hałaś po próżnicy. Mnie mówisz: „dziadu", a samaś w zapomogę nie bohata. Ale ty masz biesa w sobie, tylko, że ja się ciebie nie boję, jak inne głupie chłopy z sioła.

Małaszka (zeskakując z płotu). Ty się mnie nie boisz? a bodaj cię łysy didko otumanił!...

Julek (chwytając ją za ręce). Nie boję się ciebie, Małaszka, bo cię miłuję, choć taka czasem zła jesteś i łżesz, jak najpierwszy brechmi wioskowy. Ale już jak urośniesz i mołodycą mi będziesz, to się przemienisz... ja to wiem. Prawda, zazulu?

Małaszka (śmiejąc się). Patrzcie, jaki skory! A może ja widma latawica? zaswatasz mnie choćby tak?

Julek. Ano, choćby tak! Ja nie wiem, za co ciebie miłuję, boś ty wcale do miłowania nie rodzona a przecież lgnę do ciebie, bo choć ty głupia, to mi przy tobie ochotniej, weselej. Ty wiesz, Małaszka! ja czasem myślę, żeś ty chyba rusałka, bo jak ty siedzisz w słonku, to ci oczy się zielenią... i robią się zielone, jak trawa w czacharze.

Małaszka. Ja wiem, ja widziałam się czasem w koromyśle wody i rechotałam się aż z tej uciechy nad moją urodą. A widział ty, Julek, moją nową striczkę? (wyjmuje z zanadrza kawałek brudnej wstążki). Ja to w sadzie takie koło dworu znalazła.

Julek (zniecierpliwiony). Ach, hodi o tym dworze! Ale ty, Małaszka, o urodzie gadasz a brudna i nie myta jesteś.

Małaszka (obojętnie). Et! po czorta się ta myć będę! Skóry ta nie odmienię a jak do dworu mnie weźmiesz, to się wymyję jak jaka hrabini.

Julek. Aj, ty durna! durna! Ale ostań z Bogiem, ja do domu muszę. Oni tam znów jeść będą i talerzy do pomycia ostawią bogato. A potem koło koni pochodzić muszę, bo to dziś to hałakanie na wsi, to

się Hryhor porwie do karczmy a Hans i Franz już się zmawiali, aby pójść do Czechów na kołunię i tam do tej ich lesursy na taniec ostać.

Małaszka. To te chłopy krasno ubrane, w tych kusych świtkach? Oj! Boże! Boże! jakież to wertkie mołojce!

Julek. Ty bo, Małaszka, tylko o szmatę dbasz i oczami ściągasz. U ciebie ten wertki, kto ma buty nowe a świtkę suto naszywaną.

Małaszka. Nie, Julek, nie! ty motasz jedno o drugie. Ja nie lubię świty i soroczki... to także szurpate i oczy nie mani. Ot tak, jak te niemczyki krasawic, albo Zenodański w tej siwej... To odziane! Żeby ty, Julek, miał takie krasne odzienie, toby dobrze było.

Julek. Ha! Bóg wie. Jaby dla siebie nie chciał, ale jak tobie takby w ład było, bo ja grubaśny trochę a nie wyrosły bardzo. Jaśnie pani wybiera do służby w pokojach chłopów jak topole.

Małaszka. Ale do stajni, do koni tobyś się zdał.

Julek. Ta może, ale harowanie ciężkie. Nie dojeść, nie dospać...

Małaszka. Et, bajdurzenie! ale byś krasną odzież miał! (po chwili). Ty, dziadu!

jak ty już taki jak te miemcy był, tobym się dała ci zaswatać i mołodycąbym została. Słysz?

J u l e k (smutno). Słyszę...

M a ł a s z k a (gorączkowo). I umyłabym się czysto a bohato ubrała, serzowe zapaski na się wdziała, koronę na głowę i jak kniahini prosto do dwora. Tam z korawajem pokłonić się państwu, ot tak! (udaje pokłony). A jasna pani powiada: Ty, Małaszka, siadaj na pohuti pod obrazami. Ja siadam i...

J u l e k. Ostań z Bogiem—ja idę; ty dziś nie samowita.

(Odchodzi wolno).

SCENA III.

MAŁASZKA, później JANKIEL i SZMUL.

M a ł a s z k a (sama). Ja nie samowita? Pek tobie... ty dziadowski syn! Ciebie do chatyny wsadzić, tobyś rad był i śmierci czekał. (Patrzy w górę). Ciemni się. Będzie źle. A dziś Naścię Paziochową na maju ciągnąć do karczmy będą. Tożto się starczycka naraduje a wódki kupi. Pójdę trochę ścieżyną, może już gromada wracać będzie; coś dziś się dłużą... Hano!...

(Wybiega i spostrzegłszy Lawdańskiego i Warkę, zatrzymuje się w głębi).

Jankiel (bardzo piękny, młody żyd, czysto odziany—śpiewa; po skończeniu śpiewu opiera się o płot i pozostaje chwilę zamyślony, następnie mówi wolno). Noc zapada... nu! to dobrze dla nas, to bardzo dobrze. Gdyby tak noc miała, zamiast dwunastu, osiemnaście, albo dwadzieścia godzin, toby dla nas jeszcze lepiej było...

Szmul (żyd, około lat osiemdziesięciu, długa, biała broda, wychodzi z karczmy i przystępuje do Jankla). Ty, Jankiel! nad czem tak rozmyślasz a głową kiwasz, jakbyś co z humesz odmawiał?

Jankiel. Oj, nie z humesz ja odmawiam, bo na modlenie także czas jest. Ja patrzę tylko w górę a raduję się, co tam tak czarno się ciągnie od lasu. Będzie dobry czas—a gite zeit!

Szmul. Czy na zaborol dziś idziecie?

Jankiel. Na zaborol. Wczoraj ten graf, krowołapnik, kupił trzy nowe szkapy. Płacić podatek nie chce, tak jak inni robią. Będzie mu zły wieczór, ten dzisiejszy wieczór; będzie mu zła noc, ta dzisiejsza noc!

(Śpiewa):

Po całym świecie my rozrzuceni,
Kryjemy się trwożnie śród nocnych cieni.

Wiekowej nędzy płód!
Na chmurne czoła goj z duszą hardą,
Przechodząc obok, plwa nam ze wzgardą.
Przeklęty jest nasz lud!
Niegdyś płakali my łzy krwawemi,
Do babilońskiej zabrani ziemi,
Lecz wierzył wtedy żyd!
Dziś bez ojczyzny—świata paryasy—
Tułać się musim po wszystkie czasy,
Nadziei zgasł nam świt!
Już nikt nie marzy o dawnej chwale,
Umilkły grzmiące proroków żale,
Zgiął lud pobożnie kark!
Zmalały serca wśród Izraela
I snać nie czekać już Zbawiciela.
Co jarzmo zdjąć miał z bark!
O! niech ciemności wieczne ogarną
Lud nieszczęśliwy zasłoną czarną!
I skryją jego łzy!
Gdzież są, Jehowa, Twe obietnice?
W gniewie od żydów odwracasz lice!
Więc już przepadli my!

Szmul. Dawid przyjdzie?

Jankiel. Tylko go patrzeć, od lasu nadciągnie. A ty, stary, idziesz też?

Szmul. Nie. Gromady pilnować muszę.... Dziś mają jakieś świętowanie—przyjdą pić...

Jankiel. Ach, głupi naród! on sobie ciągle szabasy wymyśla, aby tylko grosze trwonić. Grosz łatwo się toczy a schwytać go trudno.

Szmul. Ty to ładnie powiedział, Jankiel. Z ciebie prawdziwy hakren. Ty mówisz mądrze a powoli. Aj waj! ty jeszcze jak chodził do chederu, to belfer i mełamed nad tobą głowami kiwali. Ty najgłośniej wrzeszczał ze wszystkich a mogłeś zajść wysoko!

Jankiel (machając ręką). I tak się wszystko skończy! Ty, tatełe, czy ja, jednako pomrzemy. Wolę ja konie kraść i szirtaszirim mieć. Mnie to nie zawadza. Nu! ja nawet lubię tak ciemną nocą iść.

Szmul. A narzędzia wziąć do rozkucia koni nie zapomnij—i farbę masz?

Jankiel. Kara na ogony wyszła—białej na taranty jest trocha a biseit.

Szmul. Zaborolskie konie za wielkie, coby je na taranty przerobić.

Jankiel. Nu! to się na kasztan podfarbuje, bo to bułane; byle wodą nie prowadzić, boby farbę zmyła.

Szmul. Dawid idzie.

Jankiel. Nu, nakoniec wybrał się ten szejtewate. Ty tatełe, głupiego syna masz

jednego. Dziękuj Bogu, co inni mają lepsze głowy, bo inaczej zmarniałby nasz naród!

SCENA IV.

SZMUL, JANKIEL, DAWID.

Dawid. Lecę, lecę a nóg mało nie potracę! Wy wiecie nowine a grojse nowine?

Szmul. Co? co się stało? powiadaj!

Dawid. To, że ty stary i ja i Jankiel i Monsze i Ajzyk i Aron i Tołce i Trejne i Gołda i moich siedmioro dzieci i twoich, Jankiel, siedmioro dzieci i wszystkich nas siedmioro dzieci—pójdą w szwiat z torbą na plecach i jak proste szleper żebrać będą po drogach.

Jankiel. Ty, Dawid, masz schwache kopf; ty wymyślisz coś zawsze niebywałego; ty nie masz siedmioro dzieci.

Dawid. Nu, ale mogę mieć. A oni już nie będą baali batim, ale włóczyć się będą po świecie i głodem mrzyć.

Szmul. Zkąd? dlaczego?

Dawid. No, bo pani chce, coby my z karczem ustąpili a karaimy arendę wzięli.

Szmul. Karaimy?

Jankiel (spokojnie). Czego się ty, stary trwożysz? Tobie się nic nie stanie i nam także. Pani może chcieć, ale my możemy nie chcieć. Nasz ród tę ziemię zasiedział, wszyscy wokoło wiedzą, co rebe Szmula Beniamina nikt z arendy ruszać nie śmie. Nie próżno mame Trejne na progu codzień siedzi ze swoją pończochą. Ci, co przechodzą, wiedzą, że ona zasiedziała próg i całą karczmę dla rebe Szmula i jego pokolenia. Ty, tate, śpij spokojnie! nikt cię nie podkupi i ztąd nie wygna.

Dawid. A karaimy? te pół-goje a pół jeszcze judy? Oni prawa zasiedzenia nie znają, oni się pomsty Boga nie boją.

Jankiel. Ty szejtewate! karaim też się będzie bał, bo wie, że mu tej nocy, coby pierwszy raz chciał zasnąć pod naszym dachem, dym oczy wygryzie i cały się razem ze swemi dziećmi i żoną spali.

(Odwraca się, opiera o płot i patrzy w dal, nie mieszając się do rozmowy).

Dawid. Twoja prawda, rebe Jankielu, ale zawsze nasza strata. Trzeba arendę podwyższyć, bo nas turbować będą.

Szmul. To się im napisze, co się będzie więcej płaciło. Albo to pisanie co kosztuje? I tak im się nie płaci.

Dawid. Nie, tate, ja ci tu przynoszę podatek od tego dzierżawcy z Tarajewa. Nu, co to za szajgec! jak on się kręcił, ale ruble dał. Ty idź jutro i obejrz jego konie a naznacz dobrze, coby się nie pomylić, bo za tydzień ja i Monsze idziemy u jego ekonoma konie kraść.

Szmul. Nie zapłacił?

Dawid. Nu! to chazirowate! on winien za trzy miesiące. Szkapy trzeba wziąć.

Szmul. To się weźmie. Ja przez rogatkę przewiodę i w mieście postawię. To będzie najspokojniej. One tam stać będą aż do jarmarku a potem w jarmark wywiedziesz nocą i poprowadzisz na granicę. Tam Ajzyk odbierze i przeszwarcuje. Nu a ten Polikarp? kiedy pieniądze da? Mnie jego szkapa kosztuje, bo żywić trzeba.

Dawid. Mówił, co po zachodzie słońca dziś do karczmy przyjdzie a pieniądze tu koło płota złoży. Ot, idzie... a, nie! to Hans i Franz, pewnie idą na kolonię, można ich o Polikarpa zapytać, bo jak dziś pieniędzy nie da, to jego szkapę trza prowadzić dalej a wózek to pachciarz z Lisowczyc kupi.

SCENA V.

CIŻ SAMI, HANS, FRANZ.

H a n s. A! żydki! kłaniam! immer zusammen? i coś sztilują w kąta, aby głupi chłopa okpić.

S z m u l. Pan Hans wesół i miły człowiek. A kluger Mensch! niech żartuje zdrów. My tu okpić nikogo nie chcemy, a jak głupi chłop sam w karczmę się pcha i miedziaki niesie, to czemu nie brać?

H a n s. No, ja! czemu nie brać!

J a n k i e l (w głębi). Mądry bierze, głupi daje!

F r a n z (śmiejąc się). Ja, ja! Jankiel hat recht, mądra bierze—głupia daje!

D a w i d. Pan Franz nie widział Polikarpa, tego od lasu?

H a n s. Herr Polikarp? No, ja jego widział, stał tam koło kredenca z panem Lawdańskim i lamentirowal, ach Gott! Jemu znów żydziowie koń zgesztolowali. Ty, Dawid, du muss wissen, wo ist diese śkapa?

D a w i d. Ja? Żeby jutra tak nie doczekał, jak ja widziałem jego konia! Żebym...

Franz (śmiejąc się). Ach, du dumer Kerl! Niby was cały Land nie zna, co wy tylko tem szwindlujecie! Nasz jaśnie państwo, unsere Herrschaften, mogą być o swoja konia spokojny, oni nawet podatka roczny nie płacą, tak jak inni.

Hans (uderzając Szmula po ramieniu). Ty stara malpa! ty masz kopf na taki interes, ale schulala mnie dobrze. Jakby zechciala ze stajni ode dwora konie wziąć, to Hans i Franz werden schon schlafen a konie można zabierać fort. Tylko przedtem Geld, bares geld na ręka i to wiele, wiele, eine Menge—an ders nichts.

Jankiel. Aj waj! co też pan Hans gaga! Kóni dziedzicowi wziąć nie można... To się nie godzi...

Hans i Franz (śmiejąc się). Das ist famos! nie godzila się! nie godzila się!

Szmul (do Dawida na stronie). Das wäre a geschäft, jakby się nie wydało. Można w inny powiat konie odprowadzić i ztamtąd reb Mojsze podstawić.

Dawid (cicho do Szmula). Zobaczymy, tate, ile oni zechcą. Tylko dziedzic goły, on już ze wszystkiem szlepeł, a szkapy niewiele warte. Nu—to się zobaczy...

Szmul. A nie zajrzą panowie do karczmy? Mam teraz fein wódkę, nie prostą

śmierdziuchę, ale dla pięknych gości.... dla mejuches...

H a n s. Nein, my wódki nie pila nigdy, my lubimy tylko Bier; to ładna rzecz, prawda Franz?

F r a n z. Och, ja! W naszym Vaterlandzie to ja mialem osiem roki a już swoje kufel piwa ciągnela w dzień. Ach! Gott! my też idziemy tam za las, na kolonię—tam kulmbacher jest dobry i dzisiaj kränzchen z tańcami.

H a n s. Przeszłego tygodnia my chcieli też iść a nie mogli, bo panna chorowala i za pijawkami Franz jeździl aż do miasta. Ta panna to ciągle chore, die ist so blas! ach, Gott! zu blas!

S z m u l. Nu! wona się w matkę wdała. Jaśnie pani także takie delikatne i zchorowane. Jak wczoraj byłem we dworze, to mi mówili, że panna ma się znów gorzej.

F r a n z. No, ja! ona dziś podobno cały dzień stękala. A pijawka na złość wszystkie wyzdychala. Jakby gorzej bylo, to znów musiałby Hans, albo Franz, do miasta laufen. Ach, Gott! my dziś uciekala na kolonią, niech nas szukala ta glupia państwa!... Hans i Franz nie tak dumm, żeby się po noca tlukla za glupia pensya i ordynarya!

H a n s (patrzy w górę). Ja! Teraz deszcz pewno będzie padała... Komm, Franz, wir haben a Stückelen Weg—komm, schnell!

F r a n z (do żydów). Adieu!

H a n s. Ich empfehle mich! gute Nacht!

S z m u l. Gite nacht!

D a w i d. Gite nacht!

(Odprowadzają ich).

H a n s (stojąc na drodze). A jakby chcieli ten Geschäft z pańska stajnia zrobicz, to tylko przyjść i pogadać.

(Odchodzą).

S z m u l. Git! git!

SCENA VI.

SZMUL, JANKIEL, DAWID, później POLIKARP i MAŁASZKA.

S z m u l. Jankiel, masz ty rewolwer?

J a n k i e l (w głębi). Nu, cobym nie miał mieć!

S z m u l. Dawid, chodź ty do karczmy. Jankiel wird hier blejben. Ten Polikarp pewnie przyjdzie, wir werden durch Fenster patrzyć, czy on wszystko zrobi jak należy.

(Szmul i Dawid odchodzą do karczmy, pozostaje sam Jankiel, który, nucąc piosenkę,

opatruje rewolwer i chowa się za krzak, rosnący za płotem. Chwila milczenia).

Polikarp (wchodzi spiesznie). Mówili mi, że to ondzie należy położyć te pieniądze! Psy żydowskie! Tylem napłacił się za konia i tę nieszczęśliwą linijkę, a oni taki duszęby z człowieka wydarli. Każą mi się opłacać za to, że mi dobytek skradli. Nie moja była wina. Zda mi się, że w lesie ktoś sosny klejmuje. Zlazłem z lenijki i kruszynę wszedłem w las. Wracam — a tu ani kobyły, ani wózika. Oj, dołoż moja! (wyjmuje z zanadrza węzełek i liczy miedziaki). Są wszystkie! A na tom Lawdańskiemu ordynaryę sprzedał, boć inaczej ciężkoby grosz z groszem złożyć. Gdzież to ten kamień? Aha! ondzie pod płotem. Przeżegnajmy się, bo to pewnie tu jakaś sobaka żydowska gdzieś siedzi i jeszcze człowiekowi w łeb kulą świśnie, jak się obejrzeć chętka przyjdzie.

(Żegna się, potem powoli zbliża się do kamienia, kładzie pieniądze i szybko odchodzi. Jankiel podczas tego wysuwa się tak z za krzaka, aby był widzialny dla publiczności, z wyciągniętą ręką, w której trzyma rewolwer).

Polikarp (odchodząc). Ach, Boh! żeby tylko te koniokrady zrobili tak, jak przy-

rzekli i szkapę o północku do chaty przywiedli!

(Znika).

Jankiel (chwilę jeszcze stoi nieruchomy, nareszcie, widząc, że Polikarp zupełnie odszedł, opuszcza rękę i chce przejść przez płot, aby zabrać leżące na kamieniu pieniądze). Głupi goj!... Oni wszyscy tacy głupie... Jeden tylko żyd jest a kluger Mensch! jeden tylko żyd!

Małaszka (wpada nagle). Ni maty! ni gromady! Czort wie, kędy siedzą, a tu o maju ani słychu! Boh mój! nie będąż tańcowali? Aż mi nogi skaczą, żeby tak wyciąć tropaka!

(Tańcząc, nuci):

Nie płacz, nie płacz, dziewczynianka,
Taka twoja dola:
Polubiłaś smarowoza,
Do misiacza słoja!

Jankiel. Ot, myszygene dziewka.... w drogę wlazła...

Małaszka (j. w.).

Oj, szczob ty, dziewczynianka,
Todi za mąż poszła...

(Urywa nagle, gdyż kończąc, spostrzega czerwony gałganek, w którym są zawinięte pieniądze, leżące na kamieniu).

Małaszka. Ot, co to? zatumanienie? krasna szmatka? dla mnie? Ja to wezmę i na głowę uwiążę, jak panna miała tam w sadzie (porywa gałganek, rozsypuje pieniądze, nie uważając na nie i zawiązuje go na głowie). A tom harna! a tom krasna! hu! ha!

(Śpiewa, j. w.):

Oj, Boże mój!
Harny chłopiec to nie mój!

(Jankiel równocześnie strzela w górę z rewolweru. Małaszka przykuca ze strachu na przodzie sceny i zakrywa oczy. Jankiel rzuca się na pieniądze i, zebrawszy je, ucieka do karczmy).

Małaszka (klęcząc). A to co? nieczysta siła? czy ki licho?... Ot, durna Małaszka, a toś się nastrachała! Czego? ta podnieś łeb a poglądnij, co tak huknęło kędyś z pod płota? Jak przelistnik, to się go nie boję. Mam w zapasce zaszyty czartopołoch...

(Wstaje powoli i idzie do płotu. W tej chwili wchodzą z lewej strony Lawdański i Warka).

SCENA VII.

LAWDAŃSKI, WARKA, w głębi MAŁASZKA.

L a w d a ń s k i. Ty durna dziewka, nie uciekaj, kiedy pan do ciebie mówi!

W a r k a. Pan Lawdański sobie naśmiewa tylko ze mnie... Gdzie mnie do was! Ja ot prosta córka a pan Lawdański pan na całą okolicę...

L a w d a ń s k i. Przez to dla ciebie większy zaszczyt, że na ciebie patrzę i do ciebie się zalecam. Korale ci dałem i wzięłaś.

W a r k a. Korale wziąć nie grzech a jak dacie więcej, to wezmę jeszcze.

L a w d a ń s k i (śmiejąc się). Ty bo nie taka durna, jak się z pozoru wydajesz. Ty nie darmo się koło pokojów kręcisz i tam rozumu nabierasz. Czy ta stara Mizel cię rozumu uczy?

W a r k a. E! gdzie ta! Mizel nie do uczenia. Ja tak sama ze siebie naukę biorę.

M a ł a s z k a. Korale ma! korale ma!

L a w d a ń s k i. Ty, Warka, dobrze zrobiła, żeś do dworu poszła. Ciebie na wieś do prostej roboty szkoda, ty ładna dziewczyna.

W a r k a. E! gdzie znowu! tam we dworze pan Lawdański ładniejszych się napatrzy poddostatkiem. Ach, panie! tam bywają krasne, jak łabędzie a szaty wkoło nich złociste, aż rozkosz patrzeć.

L a w d a ń s k i. Ty nie wiesz, co ładne. Te wielkie panie to takie wymokłe i blade, aż przykro patrzeć. Co chwila zdaje się, ot! padnie która i będzie po niej.

W a r k a. Jak nasza panienka. Dmuchnij a zda się już niema... Dziś tam jęczy biedniaczka i znów dychać nie może, ale pan Lawdański wymanił mnie aż tak daleko ode dworu a tam może potrzebować będą.

L a w d a ń s k i. A to niech potrzebują, co to Warkę obchodzi? Niema to Paraski i Horpyny?

W a r k a. E! one koło panny nie sposobne.

L a w d a ń s k i. E! co nas obchodzi ta galareta! niech się tam trzęsie; mają pieniądze od tego, żeby jej umrzeć nie dali. A teraz chodź do karczmy, kupię ci wódki.

W a r k a. Gromady tylko nie widać. Na rozhyrę tu przyciągną.

L a w d a ń s k i. Ano, to i lepiej—trochę się przypatrzymy, jak to oni tańczyć będą.

W a r k a. A wy nie będziecie tańczyć, panie Lawdański?

L a w d a ń s k i. Ot, głupia dziewka! chamy to chamy a ja to ja! Ot, lepiej chodź tu i nie droż się znów... Paraskaby w ogień poleciała jakbym jej kazał.

W a r k a. To Paraska a nie ja.

M a ł a s z k a (na stronie). Jaka ona durna! jaka durna!

L a w d a ń s k i. No, jak ci o to chodzi, to ja się z tobą ożenię.

W a r k a (śmiejąc się). Ojoj! a kiedy? Wy tak wszystkim gadacie. Jakby to była prawda, tobyście już żon mieli z dziesiątek... Dobre duryły koły prostupaje.

L a w d a ń s k i. E! bo ty za wiele ceregieli robisz!

(Chwyta ją wpół i przyciąga do siebie).

W a r k a. Oho! jaki wartki!

M a ł a s z k a (cicho, zakrywając oczy). Na mnie jakby kto waru nalał.

L a w d a ń s k i. No, jednego całusa! tak! a teraz drugiego!

M a ł a s z k a (j. w.). Ach, żeby tak mnie! mnie!...

W a r k a (wyrywając się, ucieka do karczmy i gubi po drodze sznurek paciorków). A to spieszy! na horiwszy, na boliwszy!



Lawdański (goniąc ją, wpada do karczmy). A to koza! Z żadną nie miałem tyle kłopotu!

SCENA VIII.

MAŁASZKA, później JULEK.

Małaszka (sama). Poszli! A to ma dobrą dolę ta Warka! Taki mołojec, jak ten Lawdański, ją uściska i ucałuje a nawet zaswatać myśli. Żeby tak na mnie spojrzał, ale gdzie jemu do mnie! Choć ja harniejsza jak Warka a gdzie jej uroda do mojej! Tylko, że ja odziać się nie mam w co, ani to zapaski... aż człowiekowi żyć nie miło! (Podchodzi na pół sceny). Jeden! dwa! trzy! oho! tu aż cztery! — jest ich dużo, mnogo! cała siła!... coraz więcej!... Jak sobie pozbieram, nawlokę na nitkę, na szyję uwiążę... Niech mnie Julek widzi! Umyję się nawet, ta włosy zaplotę, niech się dziwują mej urodzie! Może mnie kto ze dworu zobaczy i zawoła do izby i za Warkę albo Paraskę weźmie. A może pan Lawdański!...

Julek (wpada zdyszany). Małaszka! nie widziała ty Hansa, albo Franza?

Małaszka. Zdybałam ich w lesie, szli na kolonię...

Julek. Ach, dołoż moja! lecieć po nich chyba mi przyjdzie. Jaśnie panienka zaniemogła bardzo a tu trzeba z miasta nowego leczenia i pijawek. Ty nie wiesz? na wsi niema pijawek?

Małaszka. Naścia Paziorzycha łapała, ale poniosła do miasta w sobotę.

Julek. Hieronim i Janek poszli na wieś, mnie kazali szukać Franza. Mówili w pokojach, co panienka może skończyć tej nocy, jak nie będzie tego lekarstwa, co go pan doktór nakazał, a tu wszystko ze dworu jakby dziś pouciekało. Na deszcz idzie, gdzie się teraz do kolonii dobić! No, ostań z Bogiem, do lasu muszę i na kolonię szukać tego, coby do miasta duchem pojechał.

Małaszka. Na rozhyrę przyjdziesz?

Julek. Gdzie mnie do rozhyry! panienka tak się skarży, aż koło serca ciśnie. I jaśnie pani płacze; mnie zaraz dusza boli, jak ja cudzy żal widzę.

(Odchodzi).

Małaszka (sama). Jakby Julek rozum miał a umiał swego patrzeć, toby sam do miasta jechał a prosił potem państwa o wynagrodzenie... Tylko on durny jest, nie pójdzie, stracha się burzy... Ot, żebym to ja tak mogła na konia wleźć, tobym pognała! pognała! oj!

(Podczas poprzedzających scen zaciemnia się coraz więcej, w chatach zapalają światła, w karczmie widać płonące ognisko).

SCENA IX

MAŁASZKA, MONSZE, AJZYK, ARON, później SZMUL, JANKIEL, DAWID, BENIAMIN, CHAIMEK, TOŁCE, TREJNE, GOŁDA, troje bachorów.

Monsze (wchodzi z Ajzykiem i Aronem). Nu, kimmta mal! czego tak liziecie? Jankiel pewnie już pojechał.

Ajzyk. Jak on mógł pojechać! Musi czekać na mnie. Ja mam obcęgi od gwoździów.

Monsze. Stile! Chodź do tatełe. Świeci się, pewnie już czekają...

(Wchodzą pod strzechę karczmy i pukają do drzwi).

Ajzyk. Tatełe, Jankiełe, kimt tercin!

Małaszka (na przodzie sceny). A to psy żydowskie! zmawiają się znów na jakie śkapy—wraże syny!

Szmul (wychodzi z karczmy wraz z Aronem, Janklem, Dawidem, Beniaminem, Chai-

mem, Tołcą, Trejną, Gołdą i bachorami). Nu, dobrze, co wy przyszli — to kawał drogi a deszcz poleje...

Ajzyk. Niech leje—hałas większy a gewałt ludzie nie posłyszą...

Dawid. Co oni mają słyszeć! woni dostali po złotówce i spać będą jak należy... Trejne! gibs a farbe! wo ist die wejse farbe?

Trejne (podaje mu garnuszek). No!

Jankiel. Beniamin idzie też?

Szmul. Niech ostanie. Trzeba temu od lasu Polikarpowi odprowadzić szkapę.

Monsze. Zapłacił? bares Geld?

Szmul. Tak, tak! Ale Jankiele, Dawid, Ajzyk, kimt tu bliżej. Ja...

(Mówią wszyscy pocichu, sprzeczając się z sobą).

Małaszka. Strachu im nagnam, tym sobaczym duszom!

(Wydaje nagle dziki wrzask i wpada pomiędzy żydów, wywijając chustką).

Upyr! upyr! kucy idzie! żydy psy do cerkwi weźmie, upyr! upyr!

(Żydzi, przestraszeni, rozbiegają się; pozostają: Małaszka, Beniamin, Chaimek, Gołda i bachory).

Małaszka. No, wy, rude bachory! pomsta na was! Skaczcie mi tu zaraz i śpie-

wajcie, jak wczora; a jak nie, to jednego z drugim poczęstuję i będzie wam ot tak!...

Chaimek. Nu, a co nam za to dasz?

Małaszka. A ty rudy didko! do sadu nocką z wami polezę a przez płot poprzesadzam, tak jak w tamten tydzień.

Gołda. I mnie też?

Małaszka. I ciebie, ty widmo hałubko! No, dalej... ja w seredynie!

(Bachory formują koło, Małaszka pośrodku z gałganem w ręku. Przygrywka).

Beniamin (podchodząc do okna karczmy). Tatełe, wo ist die śkape?

Szmul (z karczmy). Gaj zu die chlewki; wyciągnij wózek a konia ci przyprowadzę!

(Taniec i śpiew bachorów):

Hejde łyde, mame, tate,
Dyabeł skacze tu rogate,
Sam, a szwarce jur!
Hajde, łajde, tate, mame,
Mi od niego uczekame
Do ciemności gór!
Wun nas łapie, wun nas goni,
Aj waj!
I kłojzełe nie obroni,
Aj waj!
Wi a lejb wycząga łape,
Aj waj!

Gwałt! ratunku! mame, pape!
Aj waj!
Hajde łajde, mame, tate,
Dyabeł skacze tu rogate,
A szwarc jur, bo sam.
Hajde łajde, tate, mame,
Rady sobie z nim nie dame!
Da on, da on nam!

M a ł a s z k a (pośrodku bachorów wyskakuje, wydając dzikie wrzaski). Hop! czur! hop! czur!... A nuże, wraże syny! hu! ha!

(Bachory po skakaniu padają bez duszy na ziemię Małaszka kopie ich nogą).

SCENA X.

MAŁASZKA, LAWDAŃSKI, WARKA.

L a w d a ń s k i (wychodzi z karczmy). No cóż? podpiłaś sobie, dziewczyno? a wstydziłaś się niby—hę!

W a r k a. Boście nalegali.

L a w d a ń s k i. Co ty się ze mną hadryczysz! Ty wiesz, co ja zechcę, to każda zrobić musi!

(Spostrzega na ziemi leżące bachory i Małaszkę).

A to co?

W a r k a. A to moja rodnia siostryczka. Hej, Małaszka! a wstań ty! Cóżeś już pokojnica, że leżysz jak bez ducha?

(Małaszka wydaje dziki krzyk i zrywa się na nogi).

L a w d a ń s k i. A to co? waryatka?

W a r k a. E, nie! tylko ją tak czasem nosi... ona tak wrzeszczy, bo mówi, coby ją to udusiło, jakby ze siebie nie wyrzuciła. Ot! (spluwa) nieczysta jakaś siła ma do tej dziewki przystęp...

L a w d a ń s k i (przypatruje się Małaszce). Ano! będzie piękna dziewka, ani słowa, oczy jak tarnina a świecą się po nocku jak kolczyki na jaśnie pani. Chodź tu bliżej! (Małaszka zbliża się powoli z ruchami kotki). Ja cię znam, ja cię widział często koło dwora, jak chodzisz a po oknach zaglądasz. Czego ty tam szukasz?

W a r k a (porywczo). Nie bresz! Ty za Julkiem latasz; cały świat wie, że to będzie twój zażennyj. Patrzcie ją, widma ta! już się pana Lawdańskiego czepia!

M a ł a s z k a (z wściekłością). Hodi ty taka... bo cię pazurami rozorzę!

L a w d a ń s k i. No, cicho! spokojnie mała! (do siebie, zadowolony). Jak się to o mnie źrą—mało się nie pozabijają... To tak zawsze.

(Za sceną przegrywka).

Bachory (zrywając się z ziemi). Idą! idą!

(Wybiegają, wrzeszcząc, naprzeciw gromady).

Śpiew gromady, wracającej z pola:

Do domu, do domu, bo nocka się zbliża
I słońce się chyli za las
I mgła nad łąkami podnosi się świeża,
Do domu, do domu, już czas!
Pożęliśmy niwę, zorali nowinę,
Robota skończona też bron,
Gromadki się schodzą na polną drożynę,
Ze wszystkich powraca lud stron.
Do domu, do domu! z chat płyną już dymy,
Wieczerzać i kłaść się do snu,
Do znojnej się pracy znów jutro zbudzimy
Więc spocząć i nabrać trza tchu!

(Po śpiewie wchodzi gromada: Semen Bolaczka, Benedio, Opanas, Kandzinka, Ułas, Semen, Zazula, Sycz, Dzendżera, Marta Chimka, Jewka Dzinbenka, Modanka, Paraska).

Benedio. Hano, do Szmula nie przeszkodzi zajść a popytać, jak to tam z tymi karaimami, co ich to jaśnie pan chce na arendzie osadzić.

Opanas. Chodźmy. Szkodaby Szmula; już tyle lat karczmę zasiedział — jakby mu to wybierać się przyszło!

Semen Bolaczka. Ot! durnym durno w głowie. Gdzie czort nie może, tam babę pośle. I posłał chyba czort jaśnie panią, aby zawieruchę robiła. Ale ze Szmulem nie poradzisz. Gdzie wola, tam i siła...

Sycz. Sprawiedliwe słowo. Szmul miejsce zasiedział, ta z nim poradzić już trudno.

Dzendżera. Karczmaby w marne poszła, jakby tu inny osiadł a jeszcze, chowaj Bóg, na nasze sadyby mogłoby nieszczęście spaść.

Marta Chimka. Pluńcie, Dzendżera, pluńcie! to może w złą godzinę wyrzekliście.

Opanas. Kto wie, może to płenetna chwila?

Dzendżera. Ot, nie bajdurzcie! płenetnej pory niema, tylko jest płenetny człowiek. A mnie znacie od dziecka, ja nie w poniedziałek odłączony.

Ułas. Dosyć tego... My chodzimy po Naścię Paziorzychę. Przecież to dziś rozhyra!

Parobcy i dziewki. Tak! tak! rozhyra!

Małaszka (podskakując). Pójdę z wami! pójdę z wami!

Marta Chimka. A, ty tu, latawico? (uderzając ją). Masz! na! cobyś się po drogach nie tłukła!

Małaszka (śmiejąc się). Ot tobie ból! Ciebie, maty, więcej boli, jak mnie. Tak! tak, hołubko! Ano, chłopcy, za mną po Paziorzychę!

Ułas. Chodźcie! chodźcie! bo może być nie pora i tak się zciemnia.

Dzendżera. Trza Szmulowi kazać, coby smolaki dał.

(Wchodzi do karczmy).

Zazula. A wy, dziewki, nogi przygotujcie. Jak Naścię na maju przywieziemy—koło niej trepaka; a jak się nie pomęczycie, to czerebiaczka!

Małaszka (wyskakując).

Kcło czerebiaczki
Przypadajem raczki!
Albo ju wypijem,
Albo ju wybijem!
Hu! ha!

Marta Chimka. A to czysta projawa!

(Parobcy, powtarzając śpiewkę, wybiegają, Małaszka przed nimi. Kilku gospodarzy wchodzi do karczmy, baby siadają na klocach przed karczmą, dziewki zbijają się w jedną gromadę i popychają się, chichocząc i piszcząc. Z karczmy wychodzi Beniamin i Chaimek, zatykają dwie smolne pochodnie na

słupach. Scena prawie ciemna, chwilami słychać przyciszony grzmot).

Benedio. Ot, grzmi! Bóg swarzy się czegoś! będzie zły czas. A tu tańczyć mają!

Semen Bolaczka. Ot, durnemu durno w głowie!

Benedio. Młode to i durne.

Semen Bolaczka. Durnych nie sieją, nie orzą—ta sami się rodzą.

Opanas (wychodzi z karczmy i niesie blaszanki i flaszkę). W wasze ręce, Semenie! Wam na dolę a na pohybel złym!

Semen Bolaczka (pijąc). Zła iskra i spali i sama zginie!

Marta Chimka (do bab). Ot, nasz Semen Bolaczka ciągle przypowiastki gada.

Semen Bolaczka. Czemu nie? Mnie maty w głowę nie bili!

Lawdański (podchodzi do dziewek). Cóż wy, głupie, tak w kupie stoicie? Zimno wam? hę?

(Głaszcze pod brodę Paraskę, dziewki z piskiem popychają się).

Semen Bolaczka (do Opanasa). Ot, tobie czarcie i szpak!

Lawdański. Jak się macie, panowie gromada?

Semen Bolaczka. Zdrowo! A gromada to wielki człowiek!...

Lawdański. Oj, wiem! wiem! A ze wszystkich pan Semen największy.

Semen Bolaczka. Niema sioła bez chłopa bogatego, psa kudłatego i białej kobyły.

Opanas. Nie napije się pan Lawdański jedną krużkę?

Lawdański. Ja we dworze przywykł do czego innego — siwuchy nie lubię.

Semen Bolaczka. Nie pluj w wodę, bo się z niej napić przyjdzie...

Lawdański (śmiejąc się). Mnie tam już siwuchy pić nigdy nie przyjdzie.

Semen Bolaczka. Oho! harny, jak świnia w deszcz!

Lawdański. Co? jak co w deszcz?

Opanas (do Semena). Ta dajcie pokój, Semenie. Jeszcze wam u dworu zło uczyni....

Semen Bolaczka. Ostawcie! Ja znam, komu dzień dobry a komu dobry dzień!

Szmul (wychodząc z karczmy). Kłaniam! kłaniam! Nu, co to dziś tak długo robota szła koło pola? Już myślałem, co tam i nocować będziecie!

M a r t a C h i m k a. My przyszli, ale wy, Szmulu, z karczmy się wybieracie.

S z m u l. Żartuj sobie, Chimka. Na co ja się mam wynosić? Ja się jeszcze i do twojej chałupy wniosę, jak zechcę.

C h i m k a. A ty wraży synu! ty do mojej sadyby!

S z m u l. Aj waj! czemu nie? Wy, Chimka, jeszcze u mnie szynkować a świece na szabas objaśniać będziecie.

S e m e n B o l a c z k a. Nie tak się bardzo dzieje, jak się bardzo gada. A ty, Szmul, pomnij sobie, co na cudzem podwórku i drzazgi gniją!

C h i m k a. Jak jaśnie pani zechce, to cię wygna, żydu!

S z m u l. Ty, Chimka, wiesz, co ja się twojej pani nie boję!

S e m e n B o l a c z k a. Bez pana dwór płacze, lecz pana chata.

O p a n a s. Myby za naszą nie płakali!

D z e n d ż e r a (pokazując na Lawdańskiego). Pokaranie! Bóg z tobą! Nie widzicie go? Czy wam didko oczy ztumaniło?

L a w d a ń s k i (na przodzie sceny do Paraski). Czemuś wczoraj uciekła z sadu?

P a r a s k a. Bo Mizel szła lipową ścieżką.

L a w d a ń s k i. Jutro przyjdź do sadu za kuchnią i czekaj w południe koło ożynowych krzaków.

Paraska. Kiedy rankiem ciężko się od panny wyrwać. Teraz chora, ta człowieka trzymają, ta więżą.

Lawdański. Wracasz do dworu?

Paraska. Po licha? Jeszczebym na rozhyrze nie była! Niech tam Warka siedzi. (Słychać głośne śmiechy za sceną, przegrywki. Na scenę wpada chór parobków, wlokąc rodzaj wózka, plecionego z drzewek zielonych. Na wózku siedzi Naścia Paziorzycha. Małaszka biegnie przodem, podskakując, obok niej bachory i kilkoro dzieci wiejskich).

Chór parobków.

Wieziem przez ulicę
Babę czarownicę
Na maju, na maju!
Kto koło niej stanie,
Ten się wnet dostanie
Do raju, do raju!
Stańmy wszyscy w koło
I tańczmy wesoło
Przy maju, przy maju!
Potem, nucąc śpiewki,
Pójdziem chłopcy, dziewki,
Do gaju, do gaju!

Solo Naści.

Gdy chcesz, chłopaku, mieć dziewczynę,
Przy maju zaraz łap jedynę.

Jam pani dziś na całe sioło!
Jam czarownica!
Wszyscy w koło
Tańczyć, aż wstanie
Tam na kurhanie
Pyłu metełyca!
Gdy chcesz, dziewczyno, mieć chłopaka,
Wraz z nim przy maju skacz tropaka.
Jam pani dziś na całe sioło!
(etc. etc., jak wyżej).

Chór parobków.

Stańmy wszyscy w koło
I tańczmy wesoło
Przy maju, przy maju!
Potem, nucąc śpiewki,
Pójdziem chłopcy, dziewki,
Do gaju, do gaju!

Naścia (po śpiewie staje na wózku i woła): Hej! Szmul! wódki a prędko! Ja dziś kniahini na całe sioło! Ot i mnie na stare lata królowanie przyszło!

(Parobcy i dziewczęta tańczą dokoła wózka Naści z kieliszkami w rękach).

Małaszka (do matki). Maty, daj wódki swojej doni...

Chimka (napół pijana). Idź, wiedźma! nie mam już.

Małaszka (prosząc). Hotucheczko siwa!

(Wysuwa jej blaszankę z ręki, biegnie na przód sceny i pije).

Lawdański (do Małaszki). Ty mała a mądra! Wódkę jak wodę ciągniesz i kochanka masz!

Małaszka. Bóg z wami! Kochanka nie mam.

Lawdański. A Julek?

Małaszka. Ot tobie raz — taki tam chudzina.

Lawdański. Chudzina nie chudzina, każdy jak przystał do dworu, to chudzina był. I Hans i Franz i...

Małaszka. Ale pan Lawdański nie...

Lawdański. No, ja...

Małaszka. Oj, nie! Pan Lawdański to już był taki zawsze harny mołojec — oj, taki harny i krasny, jak mak...

Lawdański (śmieje się). To żaba!

Małaszka (chwytając go za rękaw). Daj!

Lawdański. Co?

Małaszka (pokazując guzik przy liberyi). To!

Lawdański (śmiejąc się). Masz!

(Urywa guzik i daje Małaszce. Małaszka wydaje okrzyk, wpada z guzikiem w środek

gromady i zaczynają tańczyć w sześć par. Błyskawice, grzmoty).

O p a n a s. Ostawcie tańczenie! wracajmy do chałupy—Bóg się gniewa...

S e m e n B o l a c z k a. Rozum ostawili a szału nabrali!

SCENA XI.

CIŻ SAMI, JANEK.

J a n e k (wpada zdyszany). Gdzie Hans? gdzie Franz?

(Taniec ustaje. Coraz silniejsza burza).

G r o m a d a. Co się stało?

J a n e k. Nieszczęście! Panienka kończy, leków niema, do miasta trzeba w mig!

(Uderza piorun).

G r o m a d a (przerażona). Hospod Boh! hospod Boh!

J a n e k. Jaśnie pani bez duszy leży, a jaśnie pan płacze. Te łotry, Hans i Franz, poszli i stajnię na skobel zamknęli...

O p a n a s. A Jakób, furman?

J a n e k. Bez pamięci pod krzakiem berberyzu leży. Już pije od Zielonych. Jabym pojechał, Bóg widzi, alem już stary i do niespokojnych nie sposobny. Kucharz za-

chorzał od rana, bo się pańskich ślimaków objadł a kuchciki, to drobiazg, w taką słotę pojechać ani weź. Hieronima wysłali na drugą wieś po pijawki i wrócił z niczem.

(Słychać grzmot).

Benedio. Jaby nawet za guldena na taki czas przez las nie wyrywał.

Janek. Pani kazała pytać: może kto z parobków jechać chce. Zapłacą...

Ułas. A nam co do nich? Mnie życie miłe. Jakby ja zabolał, toby jaśnie pani po nocy i burzy nie leciała za lekami dla mnie.

Janek. Ależ zapłacą!

Ułas. Ja ta na ich grosze nie łakomy! Dobrego mi tam nic nie zrobili a przeszłego roku to bez powodu krowę zabrali, bo niby im koniczynę zeżerała.

Janek. Panienka umrze!

Naścia Paziorzycha. Ta niech umiera; u nas tyle doczek pomarło a dwór ledwo na domowinkę cztery deski dał.

Janek. Jaśnie pani mówiła, że ten parobek, co leki przywiezie, to na miejscu Hansa, albo Franza ostanie.

Sycz. Niech ta, my nie łakomi na takie wywyższenie...

Parobcy. Tak, tak, my nie łakomi!

(Słychać grzmot).

M a ł a s z k a (gorączkowo). Gdzie Julek? Julek!

(Biegnie w stronę lasu).

Julek!

C h i m k a. Hospod, zmiłuj się! Ta nawiedzona w las poleciała! Siarczysty ją roztrzaska!

J a n e k. Ach, miły Boże! Gdybyście wy, ludzie, widzieli panienkę, tak jak ja, od małego dziecka... Zawsze to było jak przylepeczka, dobre, grzeczne. A teraz to tam zajrzeć nie można, bo aż mnie, staremu, do ócz łzy biją potokiem! No, namyślcie się! Ułas! ty najwartszy z całej wsi, chodź ze mną, siadaj na konia a jutro już we dworze miast Franza będziesz...

U ł a s. Ja na waszych koniach jeździć nie potrafię a u nas takiej zdrowej szkapy a silnej w nogach niema... Potem burza, aż lśni w oczach, ja przez las nie pojadę, bo tam didko na rozputajach szaleje.

G r o m a d a. Prawda! prawda!

(Słychać grzmot).

SCENA XII.

CIŻ, MAŁASZKA, JULEK.

M a ł a s z k a (biegnie z lasu, ciągnąc Julka). Julek! Julek jest! on pojedzie!

J a n e k. Tyby chciał?

J u l e k. Na kolonię biegłem, ale wicher w lesie szaleje, drogi dopytać nie mogłem... Panienka kończy! O! Boh mój, Boh!

J a n e k. Ty dobry chłopak, Julek...

O p a n a s. Nie jedź, Julek, w taki czas marnie skończysz, didko cię porwie... lisowyk zatumani...

G r o m a d a. Tak, tak, przepadniesz!

M a ł a s z k a (chwytając się gorączkowo Julka). Ty nie wierz, Julek! oni wszyscy dernowaci! Ty jedź! ja chcę! ja każę! Słysz! jak ty pojedziesz a wrócisz, to za lat trzy zaswatać mnie możesz.

J u l e k. Ciebie, Małaszka, ciebie!...

M a ł a s z k a (j. w.). Ty, Julek, na miejscu Franza masz być... mówił Janek! Ty będziesz pan, jak ten niemiec w krasnej odzieży... Ty jedź—nic ci nie będzie! Tyś z wisielakiem dobrze razem grał — on ci nic nie zrobi...

J u l e k. Panienka chora...

J a n e k. Chodź!

(Uderza piorun).

G r o m a d a. Ostań, Julek! ostań!

M a ł a s z k a. Jedź, Julek! jedź...

J u l e k. Bóg z wami! pojadę!

(Wybiega z Jankiem).

O p a n a s. Zatumanił, czy co?... Świat się pali wokoło a ten chłopak rwie się przez las!

Naścia Paziorzycha. Na przepaść leci! na przepaść!

Semen Bolaczka. Będzie, co Bóg da.

Małaszka. Ach, Boh! żeby wrócił a lek przywiózł, tożby była złota dola...

(Grzmoty i błyskawice. Po za płotem na koniu przelatuje Julek. Gromada klęka).

Gromada. Hospod, nad sierotą zlituj się!

Małaszka (podnosząc ręce). Julek wracaj, albo... kark złam!

(Piorun uderza).

Kurtyna zapada.

AKT DRUGI.

Scena przedstawia bardzo elegancki zamknięty salonik. Ściany błękitne, meble i portyery tegoż koloru. Pianino, etażerki z kwiatami, stoliczki do robót, fotel na biegunach, na stołach drobiazgi.

SCENA I.

MARTA, MADMOISELLE LATOUR.

(Za podniesieniem zasłony Marta siedzi przy pianinie i gra przegrywkę, potem śpiewa przy akompaniamencie):

Na mem okienku kwiatek usycha,
Bez blasków słońca mrze.
W sercu mem wstaje tęsknota cicha,
Snać umrzeć tak i mnie!
O, sny me cudne! o, mary złudne! } bis.
Nie dla mnie szczęście, nie! }

O! jak mi smutno u życia proga!
Już w śmierci patrzę mgłę;
Nikt mi już w życiu nie powie: „droga!“
Nikt nie pokocha mnie!
I łkam boleśnie na jawie, we śnie,
Nie dla mnie szczęście, nie! } bis.

(Po skończonym śpiewie, Marta pozostaje chwilę zamyślona przy pianinie).

Mad. Latour (lekki akcent francuzki). O czem myślisz, moje dziecko?

Marta. Mizel, ile ja mam lat?

Mad. Latour. Matka mówi, że siedemnaście.

Marta. To źle, Mizel, źle bardzo...

Mad. Latour. Dlaczego? Chciałabyś być starszą?

Marta (wstaje od pianina i siada na fotelu). Wolałabym mieć trzydzieści lat; suchotnicy, gdy dojdą lat trzydziestu, mogą żyć jeszcze długo.

Mad. Latour. Znów zaczynasz swoje gorączkowe brednie. Ależ, ma cherie, jest to czyste przywidzenie, ty masz najzdrowsze płuca.

Marta. Daj spokój, Mizel! Nie zmuszaj mnie, abym przed tobą komedyę grała. Mnie to tak męczy, że przed mamą i papą udawać ciągle muszę. Nie chcę ich mar-

twić; niech myślą, że jestem zupełnie zdrowa, gdy tymczasem... O! Mizel! to okropne!

Mad. Latour. Biedne dziecko moje! Wierz mi, tu twoja wyobraźnia gra tylko główną rolę—wyglądasz tak ładnie.

Marta. Ach, moja droga, żartujesz chyba! (bierze lustro ze stolika). Widzę aż nadto dobrze swą zapadniętą twarz i mogę śmiało powiedzieć: la comedia e finita!... (Chwila milczenia). Mizel, czy są jeszcze słodowe cukierki?

Mad. Latour (zaglądając do bombonierki). Jest kilka... ale dziś hrabia Jerzy przywiezie kilka paczek.

Marta. Ach, tak! hrabia Jerzy.... (po chwili). Mizel, czy on mnie kocha?

Mad. Latour. Hrabia?

Marta. Tak!...

Mad. Latour. Dlaczegóż nie miałby cię kochać? Jesteś tak dobrą i piękną...

Marta. Ale jestem tak słaba.... Czytałam w jakiejś książce, że mężczyźni chorowitych kobiet nie lubią. Gdyby się Jerzy miał do mnie zrazić!... I tak ukrywam me osłabienie jak umiem i mogę. Ja go kocham, Mizel!...

Mad. Latour (na stronie). Biedne dziecko! (głośno). Wiem o tem, kochanko.

I dobrze robisz. Pan Jerzy jest zupełnie dobrze, partya dla ciebie odpowiednia... jego ułożenie...

M a r t a (wstaje z fotelu i klęka przy Latour). Nie tak, Mizel! nie tak mów do mnie, proszę cię! O świetnej partyi, tytule hrabiowskim i o ułożeniu Jerzego mówi mama a czasem papa — ale ty, moja staruszko, coś mnie na rękach wyniańczyła, coś podczas nocy bezsennych, schylona nad mojem łóżkiem, ratowała mi nędzne istnienie—ty mów mi inaczej o tym, któremu mam się oddać cała, bez podziału, na życie całe, do zgonu! Ja nie wiem, Mizel, dlaczego, ale ja się mego losu boję i zda mi się, że to jakaś przepaść otwiera się przedemną. Jerzy mówi, że mnie kocha; wierzę mu, bo ta wiara — to życie moje i w chwili takiego wyznania daleką jest odemnie myśl o świetności partyi lub o hrabiowskim tytule.

M a d. L a t o u r. Sądzę, że i wewnętrzne przymioty pana Jerzego...

M a r t a. Widzisz, Mizel, to dziwne, według mnie, zawieranie małżeństwa. Toć idzie o śmierć i życie, a ja z przyszłym mężem moim dwóch słów, ponad konwenans nakreślonych, zamienić nie mogę... Chciałabym go poznać, zbadać stan jego serca, duszy — trudno! niepodobna! Konwenanse! i wiecznie

konwenanse!... (zamyśla się i kaszle). Mizel, daj mi cukierek!

Mad. Latour (podając). Masz, moje dziecko!

Marta. Jak tu duszno! gdyby okno otworzyć...

Mad. Latour. Nie można, dziecko moje. Już po czwartej — jeszcze jesteś rekonwalescentką...

Marta (ze smutkiem). Prawda! ja zawsze jestem albo chorą, albo rekonwalescentką. Gdzie mama?

Mad. Latour. Pani ubiera się do obiadu. Zapewne niedługo tu z panną kanoniczką przyjdzie.

Marta. Mnie do obiadu zejść niewolno?

Mad. Latour. Nie, kochaneczko, mogłabyś się przeziębić — lepiej zostaniemy tu.

Marta (uśmiechając się smutnie). W więzieniu! (po chwili). Mizel, czemu kanarek nie śpiewa?

Mad. Latour. Jakiś smutny. Nie wiem, co mu sie stało.

Marta. Jemu duszno w tym pokoju — w tej atmosferze lekarstw i balsamów.... Otwórz mu klatkę, Mizel, i wypuść go na wolność, prosze cię!

(Mad. Latour otwiera klatkę i wypuszcza kanarka przez uchylone okno).

Marta. Poleciał?

Mad. Latour. Och i jak szybko!

Marta. Gdyby mnie tak!...

SCENA II.

TEŻ SAME, JANEK.

Janek. Jaśnie pan zapytuje, czy jaśnie panienka wstała. Za chwilkę tu przyjdzie.

Marta. Powiedz ojcu, że już od godziny jestem ubrana.

Janek (całując Martę w rękę). Och! jaśnie panienko! jakże ja rad jestem, że panienka już chodzi i na twarzy dobrze wygląda!

Marta. Mój poczciwy Janku! dużo wam wszystkim przysparzam kłopotu swoim brakiem zdrowia.

Janek. Ach, panienko! królewno!... to nasz psi obowiązek służyć i jaśnie państwu dogadzać; ale mnie, przez wzgląd na samą panienkę, żal zawsze za serce chwyci, jak panienka w chorobie legnie. Jan panienkę widział, o, takuteńkę! (gest) i niech się panienka nie gniewa... ale ja... ja... panienkę kocham, jakby moją donię, która mi dawno

już zmarła. Niech się panienka na mnie starego nie gniewa... proszę pokornie.

Marta. Mój Janku, toż nie gniewać się, ale dziękować ci chyba za dobre słowa twoje.

Janek. Och, złota panienko! ja wiem, co się komu należy po sprawiedliwości. Ja chłop a panienka moja pani!... Ale to już jaśnie panienki wina — tak nas ośmieliła, że my zawsze z prośbą do panienki jak w dym.

Mad. Latour. Oho! znów coś przeskrobali. No, o cóż to chodzi?

Janek. E! to marnota, ale to dla biedaków koniecznie potrzebne. Polikarp złapał Naścię Paziorzychę, jak sobie chrust w lesie zbierała, a w chruście było kilka polan z sągu, co go Jankiel wczoraj ustawił. Odebrał Naści świtkę... To starczycha, panienko, bardzo biedna; niech panienka do jaśnie pana przemówi słowo, to Polikarp wyda świtkę. Naścia stoi tu pod oknem i zmiłowania czeka. Przyniosła jaj i kurę. Weźcie, panienko, bo jej będzie przykro, że panienka jej nędzą gardzi.

Marta. Dobrze, mój Janie, weź kurę i jajka. To (wyjmuje ze stoliczka pieniądze) daj Naści i powiedz, że świtkę dostanie.

Janek. Jeszcze coś, panienko. U Opanasa zmarła najmitka, ta za co pochować niema. Ot, kilka desek na domowinkę... Ty-

le teraz tarcic Szmul wywozi a po drodze gnije ich niejeden dziesiątek. W tym lesie koło kolonii, wie panienka, gdzie teraz fabryka...

M a r t a. Jakto, Janie? fabryka?

J a n e k. No tak, proszę panienki. Tam Szmul teraz rąbie i wywozi co najpiękniejsze sosny masztowe...

M a r t a. Sprzedał papa? sprzedał las.... dlaczego?

J a n e k. Nie wiem, jaśnie panienko.

M a d. L a t o u r. Janek się myli. Przejeżdżałam tydzień temu do kolonii—ani śladu traczów lub żydów.

J a n e k. Bo oni tam w głębi i cicho to robią a przed okiem ludzkiem się tają. Od pola i drogi to las cały stoi jak mur a we środku!... Ale co tam gadać po próżnicy.. Ot marnieje, topnieje i tyle.

M a r t a (na przodzie sceny). Słyszysz, Mizel, las papa znów sprzedał. To straszne! I płynie wszystko jak woda; jak ja widzę tę ruinę, która zagraża lada chwila upadkiem! Ja czuję tę nędzę, którą jedwab' pokrywa... Mizel, ja jestem bardzo nieszczęśliwa!...

M a d. L a t o u r. Nie płacz, Maciu! Ty wiesz, jak wszelkie wzruszenia ci szkodzą...

M a r t a. Czyż nie lepsza śmierć, niż takie życie?...

Janek. Och! jaśnie panienka płacze?! O, panienko! Bóg mnie skarze, jeżeli chciałem wam żałość uczynić! Ja myślał, co panienka także wie o tem i dlatego mej żałości ulżył; bo mnie to także boli, jak widzę żydów szarpiących te szumiące chojny moje... Ja też chłop, panienko, to mnie bór drugi dom. Teraz żyd bór zabiera i mnie sadybę moją rozwala. O, ciężki los! pokaranie na starość przyszło...

SCENA III.

CIŻ SAMI, WARKA.

Warka. Jaśnie pan hrabia przyjechał.

Marta (uradowana). O, Mizel! jak to dobrze, że on przyjechał—chodźmy...

Mad. Latour (powstrzymując ją). Kochanko, nie możesz wychodzić z pokoju...

Marta. Prawda! A więc czemuż on tu nie przychodzi?

Warka. Jaśnie pan jest w gościnnych pokojach. Przebiera się.

Marta. Ach, prawda! konwenanse! Chodź Mizel, poprawisz mi włosy. Gdybyś mnie jako inaczej uczesała, bo w tem uczesaniu jestem jeszcze mizerniejsza.

Mad. Latour. Chodź, spróbujemy.... Może róże we włosy wepniesz?

(Marta i mad. Latour wychodzą).

Janek. Biedna gołąbka!.. Aż serce się ściska pomyśleć, komu ją za żonę dadzą!

Warka. Pan Janek by nie tumanił! Pan hrabia aż gładko patrzyć, taki wertki chłop. Panienka będzie dobrą miała dolę za takim królewiczem.

Janek. Oj ty durna! ty dużo wiesz! Janek stary już i dużo widział. Ja ci mówię, że pan hrabia to sużennyj dla naszej panienki! (ogląda się). On chytry jest na dobytek—o zapomogę panny więcej dba, jak o nią a jej głowę tumani i o miłości rozpowiada. Co mi to za pan hrabia! taki biedak, że aż w pięty się bije. Ot, didko ich oplątał, żeby takiego anioła dawać na taką niewolę.

Warka. Jan niepotrzebnie jakieś osnowy rozkłada... Bóg ich przysądził sobie i już się nie rozejdą. To już taka Boża wola! Ot jak i naszych. Ot, Julek dziś pojął Małaszkę... Dobrze to starzy mówią: sądzonego to i koniem nie objedziesz.

Janek. Także do tego przystąpiła! Dziewka niepoczciwa, latawica, będzie mu złą mołodycą. Byłaś na dziewiczym wieczorze?

W a r k a. Byłam, ale nie zabawiłam długo, bo Mizel kazała mi wracać. Karowaj piękny nad podziw a kwitków i świeczek co niemiara. Ale wiecie, co się stało? Jak parobcy wikę przynieśli do izby i, jak się godzi, Julek przywiązał swoją kalinę i owies, Małaszka wstaje z pokuti i idzie do stoła. Prydanki śpiewają—a tu Małaszka wikę przewraca na świeczki i całe się palą. Tak ich bukiety zgorzały a śwityłka mówiła, że to zły znak...

J a n e k. O, zły znak!...

W a r k a. Julek, choć sierota, mógł inną dziewkę zaswatać. Małaszka urodę ma, ale niepoczciwa a chytra jest i wysoko się obnasza. Ani do niej przystępuj! Ot, musiała go oczarować! Ona jeszcze jak mała była, to czysto wiedźma po rozputajach latała a brzyczała. Nigdy jej w sadybie nie było, zawsze w sadzie pode dworem siedziała. Słyszę, mają z korowajem do dworu przyjść. Ona się napiera, ta Julek ją przywiedzie...

J a n e k. Ot, to nie nasza, to czysta odmiana — takie to harde a złe. Boże daruj, jaby się jej bał, żeby mnie nie zabiła. Złe oczy ma...

(Warka wychodzi).

SCENA IV.

JANEK, JAŚNIE PAN, SZMUL.

Jaśnie pan. Gdzie panna?

Janek. Ubiera się, jaśnie panie.

Jaśnie pan. Dobrze, odejdź! (Janek chce odejdź). Ale... ale... jak Szmul przyjdzie, nie wpuszczaj go pod żadnym pozorem! Gdzie Julek? Zawołać go!

Janek. Julek, jaśnie panie...

Jaśnie pan (porywczo). Zawołać! Do miasta jechać musi!... Przysłać go tu do mnie.

Janek. Dobrze, jaśnie panie!

(Odchodzi).

Jaśnie pan (sam). Żeby tylko Marta zbytnich ceregieli nie robiła. Ślub musi się odbyć jaknajprędzej. Indult mam. Nie można ani chwili zwlekać... Majątek ginie — czuję, że tonę! Zapis Hadenowej uratuje mnie. Marta do chwili pełnoletności zostaje pod moją opieką, pod moją kuratelą; płacić im będę procenta. Kapitał wydźwignie mnie z toni i zwrócę im go w całości. Od córki pożyczyć mogę... A zresztą... vogue la galere!

Szmul (delikatnie odsuwając parapetowe drzwi). Z przeproszeniem jaśnie pana, czy mogę...

Jaśnie pan (z wściekłością). Jak śmiesz, judaszu jeden, pokazywać się tutaj? Czy nie wyrzuciłem cię przed chwilą?

Szmul (j. w.). Nu! jasny pan mi zrobił więcej — ząb mi nawet wybił... Ale niech jaśnie panu to idzie na zdrowie! Szmul mścić się nie będzie... (próbuje wsunąć jedną nogę do pokoju). I choć jest napisane...

Jaśnie pan (j. w.). Jak śmiesz tu wchodzić, oszuście jakiś!

Szmul (cofa się). Niech jasny pan krzyczy. Krzyk zdrów jest, bo przez krzyk to lżej na sercu jest. Ja to wiem. A jaśnie pan wie, że stary Szmul dobra jaśnie pana pragnie...

Jaśnie pan. To dobro, łotrze jeden?! To dobro — fałszywy klejm mieć i po nocy drzewo klejmować?...

Szmul. Aj waj! ktoby miszlał, co to prawda jest! Jaśnie pan nie wie, kto to złodziej jest i jaśnie pana kradnie. To nie Szmul, nie Dawid, nie Ajzyk, ale chłopy, ale baby, ale sam leśnicze.. Ot, niech jaśnie pan się zapyta, czy Polikarp baby wczoraj w lesie nie złapał a świtki z grzbietu nie zdarł... Że tam biedny żyd jaką sośninę

wywiezie, to zaraz gwałt i wrzask a jak baby las roznoszą w fartuchach... (wsuwa się do pokoju) to jaśnie pan nic nie mówi. Ale Szmul jest i pilnuje pańskiego majątku, bo Szmul jasnego pana na rękach nosił i makagigi na Hamana przynosił.

Jaśnie pan (łagodniej). Ty stary złodziej jesteś, ja cię znam...

Szmul (kłaniając się). Nu, to na zdrowie jasnemu panu! niech mnie zna! Ja się tylko chciał spytać, czy Ben może sobie studnię wykopać koło karczmy?...

Jaśnie pan (z wściekłością). Ben znów tam siedzi? Kto mu pozwolił brać tę karczmę? Ja nie chcę, żeby on koło kolei był... Ja tę arendę oddam innemu, rozumiesz?!

Szmul (cofając się za drzwi). Nu a komu?... Z naszych nikt nie weźmie a katolik z przeproszeniem zdechnie z głodu, bo to takie miejsce, że tylko żyd tam siedzieć może....

Jaśnie pan. A tom ładnie się ubrał! Już sześciu koniokradów mam na karku a teraz siódmy mi włazi!

Szmul (za drzwiami). Czy to źle jaśnie panu z nami? Czy kiedy choć raz konie zginęły?...

Jaśnie pan (w najwyższej pasyi). Co? Jakby mi koń który zginął, to posyłam po ciebie i w łeb ci palę, jak psu!

Szmul (z flegmą, wsuwa się do pokoju). Jaśnie pan tego nie zrobi, bo zabić — to nie ząb wybić; a potem, jabym nie przyszedł. I jeszcze co jaśnie panu powiem, że jak się chce kogo zabić, to trzeba uciec na ten czas a możeby jaśnie pan czasu nie miał...

Jaśnie pan (śmiejąc się). Ha! ha! ty nie taki, Szmul, prawda?

Szmul (właząc zupełnie do pokoju). Nu, jak się jasny pan śmieje, to już dobrze. Szmul wie, że za tego zęba to dostanie jego najmłodszy syn tę arendę. On jaśnie panu dobrze zapłaci, bo to bardzo rzetelny i uczciwy żydek. Zresztą, gdzie się to jaśnie panu kłopotać i arendarza szukać, kiedy gotowy jest i już dobrze nauczony...

Jaśnie pan. A tak, nauczony kraść! Ja wiem, że twoi synowie to jeszcze lepsi, niż ty!

Szmul. Nu a co my jaśnie panu ukradli? My od jaśnie pana nie żyjemy z arend, żebym tak zdrów był! Ja chciał co innego jaśnie panu powiedzieć... Ten Smotrycki w Chabarówce, to kapcan jest; on dzierżawy nie płaci. Ot, dziś termin—a gdzie on jest? Jego niema, bo on i pieniądze nie ma. Ja-

śnie pan co z Chabarówki ma? Nic.. A Szmul ma delikatny rozum i krzywdy pańskiej nie chce. Niechby jaśnie pan Chabarówkę w dzierżawę oddał Janklowi. To mądry żydek i zawsze wszystko zapłaci!

Jaśnie pan. Aha, żydzie! mało ci moich karczem? zachciewa ci się jeszcze dzierżawy? Patrzcie go, jaki mi skory! Ja nie chcę żydowskiego gospodarstwa, rozumiesz?!

Szmul. Nu! co to jest niby żydowskie gospodarstwo? Żyd piękniej zasieje, zaorze i pieniądze zawsze jaśnie panu da.

Jaśnie pan. Ziemię mi wydusisz jak cytrynę...

Szmul. Owa! ziemia! to ci rarytna rzecz!—ona będzie zawsze ziemia! A potem, czy to jasna córka? albo, z przeproszeniem, jasna żona?

Jaśnie pan (na stronie). Ma racyę! (głośno). No, to już później zobaczymy. A teraz dawaj pieniądze!

Szmul. Na te lasowe to jutro czas, bo jutro termin. A niech jasny pan każe mi jeszcze sto pięćdziesiąt sosen masztowych dać, bo się przez pomyłkę krzywe pościnało.

Jaśnie pan. Przez pomyłkę? Sto pięćdziesiąt sosen! A to złodzieje! jak oni mnie kradną!

Szmul (dobywa pugilaresu). A to arenda (wyjmuje stos kwitów i kładzie przed jaśnie panem) i jeszcze czternaście florenów i pięćdziesiąt centów.

Jaśnie pan (wściekły). To? Cóż to jest?

Szmul. Co ma być? Kwity na wódkę, co dawał jaśnie pan i pan rządca. Ja u pana rządcy był, on przejrzał i powiedział, co wszystko rzetelnie jest. Ale jak jaśnie pan nie wierzy, to niech jaśnie pan przejrzy.

Jaśnie pan. Idź do dyabła!... Ja nie mam czasu na przeglądanie. I to tak co kwartał mnie kierują...

(Bierze kwitki i wrzuca do kominka, rozsypując po podłodze, sam staje tyłem do kominka. Szmul manewruje tak, aby się dostać do leżących kwitków, które, mówiąc, zgarnia i chowa do kieszeni).

Szmul. Niech tylko wszyscy jaśnie pana tak kierują, jak ja... Albo z tym lasem, proszę jaśnie pana, czy to nie czysta dla nas strata?...

Jaśnie pan. O, ja wiem! wy zawsze tylko tracicie a my na was zarabiamy.

Szmul. Żeby to jeszcze jaśnie pan mojemu Chaimkowi chciał werszki sprzedać... onby zaraz zakontraktował.

Jaśnie pan. Nie chcę.

Szmul. Jaśnie pan będzie litościwy dla rodziny Szmula. Tyle mam dzieciów, to o każdego muszę dbać.

Jaśnie pan (śmiejąc się). Czemu ty, żydzie, tyle dzieciów miał? Czy ja ci kazał?

Szmul (kuca przy kominku i zbiera kwity). No! niech się jasny pan zdrów śmieje! Szmul się nie pogniewa. Szmul dobry a jaśnie pana kocha jak syna i tylko jego dobra pragnie.

SCENA V.

CIŻ SAMI, JULEK.

Julek (wchodzi w ubraniu dżokieja — kurtka ponsowa, blacha na ramieniu — staje w głębi przy drzwiach). Jaśnie pan wołać kazał?

Jaśnie pan. Dobrze, żeś przyszedł. To ty wczoraj w lesie złodziei złapał? Powiedz, jak to było?

Szmul (cicho, podsuwając się do Julka). Nie gadaj nic... ja ci na gospodarstwo krowę dam.

Jaśnie pan. Szmul! odstąp od niego i nie szwargocz. Powiedz, Julek, jak to było?

Julek. Ot, jaśnie panie, opowiem poprostu. Szedłem nocką koło mogiły wisielaka a księżyc świecił jak na dłoni...

Szmul. Niech się jego jaśnie pan zapyta, co on po nocy w lesie robi... może i on kraść chodzi.

Julek (gwałtownie). Ty milcz, żydzie! Ja do lasu grać chodzę; ja nie złodziej—nie żyd!...

Jaśnie pan. No! cicho, ty harda duszo!

Julek (spokojniej). Idę drożyną, aż tu naraz za krajem widzę Ajzyka i Arona...

Szmul. To nieprawda! Niech jemu jaśnie pan nie wierzy, on tak cygani. Jego znają, on szijtewate, on waryat — jemu się przywidziało... on z dyabłem trzyma... (Na stronie). Ja ci tego nie daruję, ty... chamskie kopyto!

SCENA VI.

CIŻ SAMI, MARTA, MADMOISELLE LATOUR.

Marta (całując ojca). Dzień dobry ci, papo! No! dziś możesz być ze mnie zadowolony. Choć blado wyglądam, ale jestem

zdrowa i silna... choć mury łamać, jak to mówił doktór Likunio... Dzień dobry, Szmulu! Coś taki wystrojony? atłasowy chałat!...

Szmul. Wolne żarty, jaśnie wielmożna panienko! to mój zwykły ubiór... a zresztą, ja dziś przyszedł się dowiedzieć o zdrowie panienki. No, chwała Bogu, panienka wygląda jak róża!

Marta (śmiejąc się, do mad. Latour). Słyszysz, Mizel... jak róża... Ale teraz idź ztąd, Szmulu. Mama może nadejść; a ty wiesz, że nie jesteś u niej w łaskach.

Szmul. Ja sobie, z przeproszeniem panienki, wyjdę tak, jakem przyszedł. (Do jaśnie pana). Nu, a co będzie względem Bena? On tam już siedzieć może, prawda?

Jaśnie pan (porywczo). Niech mi się wynosi, ani słyszeć o nim nie chcę! Ja komu innemu karczmę dam...

Szmul. On już tam mieszka — nu, to jak będzie?

Jaśnie pan (j. w.). Niech się wyniesie! bo ja tam z nim każę koniec zrobić... Słyszysz, ty herszcie?!

Szmul (uciekając za okno). Niech jaśnie pan zdrów krzyczy!... Krzyk, to samo zdrowie!...

(Chowa się).

Marta (śmiejąc się smutnie). Biedny papo! oplątany w sieci!

Jaśnie pan. A to skaranie Boże!

Szmul (pokazując się w oknie). Ja powiem Chaimowi, co jaśnie pan mu werszki dał. On jutro w las wjedzie.

(Chowa się).

Jaśnie pan (w pasyi). Niech się nie waży, bo mu w łeb palnąć każę!

Szmul (pokazuje się). Tego jaśnie pan nie zrobi, bo za to jest turma. A werszki będą gniły, bo ich nikt nie weźmie. Ja tu wszystkie zasiedział.

Jaśnie pan (j. w.). Odczep się odemnie, ty pijawko!

Szmul. Dziękuję jaśnie panu za mego Chaimka i Bena...

Jaśnie pan. Julek! wyrzuć tego utrapieńca, niech mi się na oczy nie pokazuje!

(Julek robi kilka kroków, Szmul cofa się gwałtownie).

Szmul. Nie potrzeba, już idę! Aj waj! jaki mi stójkowy...

Marta (do Julka). To ty, Julek? Mówiła mi Warka, że dziś twoje wesele?

Julek. Tak, jaśnie panienko.

Marta (zainteresowana). Cóż, twoja narzeczona ładna?

(Jaśnie pan siada przy biurku i pisze, nie słuchając rozmowy Marty i Julka).

M a d. L a t o u r (cicho do Marty). Ależ, Maciu, to niewypada!

M a r t a. Pozwól, Mizel... ten chłopak ma prawo do mojej wdzięczności. Pamiętasz, że uratował mi życie? Ja byłam bez przytomności, ale później mi opowiadano, że w najstraszniejszą burzę do miasteczka po lekarstwo pędził. (Do Julka). Macie chatę? gospodarstwo?

J u l e k. Nie, jaśnie panienko. Małaszka jeszcze musi przy matce ostać, bo ja własnej sadyby nie mam. Może kiedyś, jak wysłużę jaśnie państwu, chatę dadzą. Teraz nie mam nic.

M a r t a. Twoja narzeczona ładna? Słyszałam o niej.

J u l e k. Och, najpiękniejsza z całego sioła!... To Małaszka, Małaszka, córka Marty Chimki. W zapomogę nie bogata, ale urodziwa, ach, piękna taka...

(Urywa).

M a r t a. Czemu nie kończysz? Miłujesz ją bardzo?

J u l e k. Czy ja ją miłuję, jasna panienko? Toć bez niej niema życia dla mnie, bo ona od małego lgnęła do mnie a za mną

chodziła. Ja ją miłuję, panienko, bardzo... bardzo...

M a r t a. A ona miłuje ciebie?

J u l e k. Ona? (pocichu). Nie wiem, panienko.

J a ś n i e p a n. Julek! pojedziesz do miasta i oddasz sprawnikowi ten list. Powiesz mu...

M a r t a. Ależ, papo! Wszak to dziś jego wesele. Nie czyń mu przykrości, poślij kogo innego...

J a ś n i e p a n. Wesele? a prawda!

M a r t a (klękając przy ojcu). Papo! ja mam do ciebie prośbę. Każ tym ludziom tu przyjść; ja chcę zobaczyć, jak oni od święta wyglądają. Mój papo!

J a ś n i e p a n. Ależ, Maciu, szalona jesteś! Pomyśl tylko, co mama na to powie?

M a r t a. Ach, ja ją tak ślicznie prosić będę!

M a d. L a t o u r. Ależ, dziecko, do czego to podobne!

M a r t a. I ty, Mizel, przeciw mnie? Niepoczciwa! Papo! papeczko! ja się tak nudzę w tem zamknięciu; to będzie dla mnie, jakbym była w teatrze.

J a ś n i e p a n. Ha! jak chcesz koniecznie... (do Julka). A czemu ty przed weselem do dworu z młodą nie przyszedł?

J u l e k. Byłem, jaśnie panie, i ona była, ale... (cicho) jaśnie pani wpuścić nie kazała.

J a ś n i e p a n (do Marty). Widzisz! no i cóż teraz będzie? Mama się pogniewa...

M a r t a. Już ja przeproszę. Idź, Julku, na wieś i przyprowadź pannę młodą i drużków i bojaryna i śwityłki.

J a ś n i e p a n. Marto! a ty zkąd to wiesz?

M a r t a. Mnie Warka mówiła. Widzisz, papo, w samotności mojej lud studyuję. No! no! nie marszcz się... to modne teraz.

(Julek wychodzi środkiem).

J a ś n i e p a n. Maciu! teraz o czem innem chcę z tobą pomówić.

M a r t a. Słucham cię, papo!

J a ś n i e p a n. Hrabia przyjechał—pewnie wiesz o tem?

M a r t a. Słyszałam tylko. Do tej chwili go nie widziałam. Nie spieszy się powitać. Widocznie nie bardzo stęskniony.

J a ś n i e p a n. Nie przesadzaj, Maciu. Życie trzeba brać jak jest. Poematów niema, chyba w książkach. Chodzi tu o przyspieszenie twego ślubu. Chciałbym, aby się odbył za kilka tygodni.

M a r t a. Jakto? tak prędko?

Jaśnie pan. Sądziłem, że cię to ucieszy. O ile mi się zdaje, sprzyjasz hrabiemu. Powinnaś więc być mi wdzięczną za przyspieszenie tego terminu.

Marta. Ależ moje zdrowie...

Jaśnie pan. Weźmiesz ślub tu w pokoju — każę wam urządzić ołtarz. Widzisz, Maciu, nie czyń mi przykrości, odwlekając dzień ślubu. Mam w tem ważne powody, to musi być koniecznie.

Marta (patrzy na ojca, po chwili milczenia). Dobrze, ojcze! Skoro tak być musi, niechże będzie.

Jaśnie pan (całując ją). Ty jesteś dobre i poczciwe dziecko. A teraz spojrz weselej na świat. Zobaczysz, jak będziesz szczęśliwa.

Marta (machinalnie). O tak, będę szczęśliwa! (po chwili). Ty, ojcze, las sprzedałeś? prawda?

Jaśnie pan. Ty wiesz o tem, Marto?

Marta. Tak, ojcze, wiem. Źle zrobiłeś, sprzedając las—to początek ruiny...

Jaśnie pan. A twoja wyprawa, dziecko? A przecież trzeba dać cośkolwiek na zaliczkę twego posagu. Zresztą... nie masz czem się martwić... „Był las—nie było nas, nie będzie nas—będzie las“.

M a r t a. Ach, tak! wyrośnie nowy las! ale kiedy? kiedy?

SCENA VII.

CIŻ, JAŚNIE PANI, KANONICZKA HADEN, PANI ELEONORA, LAWDAŃSKI w ubiorze kamerdynera, frak czarny, otwiera drzwi.

H a d e n. Bonjour, Maciu! Przychodzimy osobiście zapytać, jak się ma la belle fiancée naszego prince charmant?

E l e o n o r a. Raczej możnaby powiedzieć la belle an bois dormant... bo tu wszystko tak cicho comme dans un cloître.

M a r t a (z przymusowym uśmiechem). Raczej comme dans un hôpital, kochana pani. Cóż począć — i dla słabych miejsce na ziemi być musi.

J a ś n i e p a n i. Wiara cuda czyni. Za mało się modlisz, Maciu.

M a r t a. Mamo! wierz mi—sił mi brak.

(Panie siadają, mad. Latour na drugim planie).

J a ś n i e p a n i. Mizel, proszę cię, daj Maci jaki ciepły szal—tu trochę chłodno.

(Mad. Latour wychodzi).

E l e o n o r a. Mizel—to bardzo oryginalne imię, czy nazwisko. Cóż to prezentuje?

Marta. To ja, będąc dzieckiem, nie mogłam wymówić słowa „mademoiselle“ i moja Latour przez skrócenie Mizelcią została.

Jaśnie pani. Osoba dziwnie pobożna. W Sacré Coeur chowana. Przeszła życie bez skazy.

Eleonora (do siebie). Łatwo jej to przyszło. (Głośno). Czy hrabia przyjechał?

Haden (do siebie). Już ją korci, tę kokietkę. (Głośno). Zdaje się, że i Kazio także.

Jaśnie pan. Tak, obaj zmieniają tualetę, za chwilę przyjdą.

Eleonora. Ciekawa jestem, czy pamiętał o moich empletach. Nieoceniony ten hrabia, tylko trochę roztargniony.

Haden. Jak każdy zakochany.

Jaśnie pani. Ja prosiłam o flakonik wody świętej Hermenegildy. Woda ta ma moc nadzwyczajną a tylko Sarcanki posiadają ją niefałszowaną.

Jaśnie pan (ironicznie). Czy gwarantują za jej prawdziwość?

Jaśnie pani. Nie drwij, Pawle. Boli mnie twoja niewiara, ale sądzę, że Bóg się zlituje i oświecić cię raczy...

Jaśnie pan. Wątpię bardzo.

Eleonora. Nie wiedziałam, że ateusz z pana. Choć to teraz zaczyna być modne.

Miasto nam nasyła te niezdrowe prądy. Dawniej ludzie z towarzystwa przynajmniej wyznawali jawnie przekonania swoje.

Jaśnie pan (siadając obok Eleonory). Oho! i pani coś mi się starzeć zaczynasz.

Eleonora. Gdybym miała sakramentalną a tak straszną trzydziestkę, obraziłabym się na pana. W dwudziestym piątym mogę śmiało zapytać, z jakich to strasznych symptomatów wysnułeś to spostrzeżenie?

Jaśnie pan (ciszej). Bo robisz się pani bigotką a tylko stare kobiety są bigotkami.

Eleonora (ciszej, śmiejąc się). Méchant! et madame votre femme?

Jaśnie pan. Ach! to moja żona, ça ne compte pas?

Haden (do jaśnie pani). Tak, droga Olimpio! najgłówniejsze kwestye już załatwione. Jerzy i Macia w dniu ślubu otrzymają cały mój kapitał, który się zapisze na imię Maci. Pojmujesz dobrze, że nie mogę obdarzyć nim otwarcie Jerzego. Ale ty rozumiesz mnie, wszak prawda?

Jaśnie pani. Bądź spokojna. Dla nas i dla świata hrabia pozostanie twoim siostrzeńcem. Skoro twoja siostra tak szlachetnie przyjęła go za swe dziecię a twój szwagier zgodził się—nie mamy powodu rozgła-

szać przed światem to, co wszyscy ignorują zupełnie. Bądź bez troski o szczęście twego dziecka i powracaj do Krakowa, aby w ciszy pokutować dalej za błąd, który popełniłaś. Grzech twój jest ciężki, ale łaska Boża niezmierzona.

H a d e n. E! moja Olimpio! Wolałabym ja więcej popełniać takich grzechów... Ale za późno spadła na mnie ta sukcesya po stryju. Człowiek, którego kochałam a ojciec Jerzego umarł i nie miałam sposobności zostać jego żoną a tem samem matką ze sześciu takich Jerzych. Ale co tam! stało się. Tylko nie sądź znów, abym ciężko pokutowała w tej ciszy. Och, nie! Tytuł kanoniczki nie krępuje mnie bynajmniej. Bywam w świecie a nawet się dekoltuję... Wprawdzie czasem na niektórych rautach jest tak zimno, że mi to dekoltowanie daje lekki przedsmak pokuty, z tem wszystkiem jednak...

SCENA VIII.

CIŻ, LAWDAŃSKI, HRABIA, KAZIO.

J a ś n i e p a n. Otóż i nasi podróżnicy!

H r a b i a (podchodzi do jaśnie pani, potem kolejno wita kanoniczkę, Eleonorę, Martę). Madame! chere tante—mademoiselle!

Eleonora (do Kazia). Ach, comme vous etes change! Doprawdy, spoważniałeś pan jeszcze.

Kazio. To ten herbarz tyle mi czasu zajmuje. Przytem vous avez, moi rodzice chcą, abym się starał o szambelanię. Papiery w nieporządku, alors...

Haden (do Jerzego). Że nie w porządku, to wierzę. Babka jego była kucharką, prawda?

Jerzy. On dit. (Do Marty). Mademoiselle, oto cały zapas cukierków. Sądzę, że wystarczy. (Lawdański podaje olbrzymią pakę słodowych cukierków). Najlepszy dowód mej pamięci o pani; wszak prawda?

Marta. Jestem panu wdzięczna! (do Latour). Mizel, jak on mnie chłodno wita.

Mad. Latour (do Marty). Zdaje ci się, kochanko. Wobec obcych...

Jerzy (do jaśnie pani). Pour vous madame, flaszeczka z wodą świętej... świętej... (na stronie). Que diable, zapomniałem! (głośno). Cette grande sainte, cette sainte qui...

Haden. Skończ, Orciu, bo ci nie idzie.

Jerzy (szukając). Gdzież mi się podziała taka maleńka flaszeczka...

Lawdański (podając wielką flaszkę). Może ta, jaśnie panie?

Jerzy. Justement, ta! (podaje jaśnie pani). Służę pani.

Haden. Ależ to prowizya. Moja droga, będziesz mogła się nawet w tej wodzie wykąpać...

Jaśnie pani. Schowam ją tylko na nadzwyczajny wypadek...

Kazio (do Eleonory). Un blagueur! Przedstaw pani sobie, że on zupełnie o tej wodzie zapomniał. Jadąc, na stacyi zatrzymał się przed karczmą i kazał żydowi nalać w butelkę zwykłej wody. La pauvre dame est enchantée! gdyby wiedziała, jak rzeczy stoją!

Eleonora (do Kazia). Pauvre maman!

Jaśnie pan. Jesteście przynajmniej słowni. To lubię w młodych ludziach. Zapowiedzieliście swój przyjazd na dzień dzisiejszy i oto jesteście!

Jerzy. Pomimo kursów, które mnie szczególniej wabiły ku sobie.

Jaśnie pan. Co słychać w kasynie?

Jerzy. Nic nadzwyczajnego. Była wprawdzie une avanture o tego Jacques'a, którego starsi chcieli koniecznie oddalić, ale my młodsi postawiliśmy się ostro i podtrzymali kandydaturę Jacques'a.

Haden. Czy się kto podawał do balotu?

Jerzy. Redaktor gazety.

Jaśnie pan. Wpuściliście go?

Jerzy. Hm! cóż robić! Miał silną partyę za sobą. Powoli kanaliuje się nasze kasyno.

Jaśnie pan. Radbym tam zajrzał. Nie byłem już kilka lat we Lwowie.

Eleonora (do Kazia). Gra szła?

Kazio. Zapytaj pani Orcia, to jego specyalność.

Jerzy. O! partya niewielka. Kilku z Jass i jeden z Ukrainy.

Eleonora. Szczęście służyło?

Jerzy. O! po mojemu—ważyło się chwilami, ale ostatecznie wyszedłem.

Haden (śmiejąc się). A sce?

Jerzy. A, znowu tak dalece...

Jaśnie pani (wąchając flaszkę). C'est extraordinaire. Woda świętej Hermenegildy ma jakiś szczególny zapach... au direct de l'eau de vie.

Haden. Wódka! ale cóż znowu!...

Kazio (śmiejąc się). To nic dziwnego...

Jerzy (do Kazia). Pst... proszę cię!

(Siada koło Eleonory).

Kazio (przechodząc obok Marty). Jakże zdrowie pani? Wygląda pani uroczo!

Marta. Dziękuję, czuję się zupełnie dobrze. (Na stronie). Ze mną nikt o niczem nie mówi, tylko o mojej chorobie.

Jaśnie pani (do jaśnie pana). Proszę cię, mon cherciu, powąchaj tę wodę świętej Hermenegildy... C'est extraordinaire, jak ona wódką pachnie.

Eleonora (cicho do Jerzego). Dopiero teraz uznajesz za stosowne zbliżyć się do mnie?

Jerzy. Proszę cię, uspokój się, miej takt. Tu, w tym domu, muszę się jeszcze więcej krępować, niż gdziekolwiek indziej. Moja ciotka, oni wszyscy, Marta...

Eleonora. Ta suchotnica?

Jerzy. Passe! istota nieszkodliwa.

Eleonora (z ukrytą złością). Nieszkodliwa? Może się jeszcze zaczniesz rozpływać nad jej przymiotami!... Och! mam czasem ochotę rzucić się pomiędzy nią i ciebie i wyznać głośno, co mnie z tobą wiąże, wtedy...

Jerzy (przerażony). Leno! miej rozum! (Na stronie). A to pijawka! oszaleję!

Marta (do Mizel). Wiesz, Mizel, tak mi smutno! tak smutno! Patrz, pani Eleonora

znowu zupełnie zaabsorbowała Jerzego.... O czem oni mówią?

Mad. Latour. Zapewne pani Eleonora pyta o zdrowie męża i dzieci... tęskni za nimi...

Marta. Za mężem? O! nie, Mizel, oni nie mówią o mężu, ręczę ci.

Jerzy (na stronie). Przywołam do pomocy Kazia, inaczej rady sobie nie dam. (Głośno). Kaziu! pani Eleonora zapytuje się o szczegóły ostatniego smiłjagdu.

Eleonora (z pasyą do Jerzego). Ha! zastawiasz się trzecią osobą! Rozumiem, co to znaczy.

Kazio (zbliża się do Eleonory). Ach, Dieu! nic nadzwyczajnego! Jeleniem, jak zawsze, był nieoszacowany Sender na swym Woltingerze, psami ja i Staś Biński. Gdy Sender ruszył przez Wolę...

(Mówi dalej pocichu).

Jaśnie pan (do Haden). A więc koniec, wszak prawda? Za trzy tygodnie. Daj pani rękę.

Haden. Tapez la dessus! Teraz będę spokojna, widząc tego poczciwego figlarza już w klatce.

Jaśnie pani. Małżeństwo jest sakramentem, nie klatką, moja droga.

H a d e n. Jeżeli chcesz, niech będzie sakramentalną klatką. Ale jakże tam ze zdrowiem Maci?

J a ś n i e p a n. O, wszystko jaknajlepiej. Nigdy nie czuła się silniejszą.

H a d e n. Miłe dziecko — a zatem rzecz ułożona. Sumę, którą mam lokowaną u Malczewskiego, podnoszę a w dniu ślubu oddaję pannie młodej. Chcę stworzyć im byt odrazu niezależny. Pan, jako naturalny opiekun córki, umieścisz te pieniądze na pewnej hypotece a procent do chwili dojścia do pełnoletności wypłacać będziesz. Później zobaczymy. Jeżeli się Jerzy ustatkuje...

J a ś n i e p a n. Wysokość tej sumy?

H a d e n. Umówiona—trzykroć sto tysięcy reńskich. Reszta po mojej śmierci. Nie pytam, co ze swej strony córce dajecie; wiem, że...

J a ś n i e p a n i (słodko). Pozwól, moja droga. Moja córka wnosi ze swej strony prawne pochodzenie.

H a d e n (ironicznie). Z tem wszystkiem przecież możnaby umrzeć z nędzy, bo legalność czasem procentów nie daje.

J a ś n i e p a n (na stronie). Trzeba zażegnać burzę. (Do Marty). Maciu, zbliż się; ułożyliśmy z naszą nieoszacowaną przyjaciółką warunki twego przyszłego szczęścia.

Haden (na stronie). W formie trzech kroć sto tysięcy florenów. (Głośno). Chodź tu, moja córeczko, bo zastępując matkę Jerzemu, mogę cię tak nazwać; wszak prawda? (Marta klęka przed nią). Nie jesteś przecież słabą?

Marta (kryjąc kaszel). Nie, pani!

Jaśnie pan (pochylony do Maci). Nie kaszlaj, bój się Boga!

Marta (ze łzami). Jestem... bardzo zdrowa, droga pani!

Eleonora (do Kazia). Patrz pan, jaka to rozczulająca scena. A ty, hrabio, nie przyłączysz się do tej familijnej grupy?

(Za sceną słychać przyciszony śpiew gromady, podczas dalszej rozmowy coraz głośniejszy).

Jaśnie pani. Cóż to za koncert?

Marta (wstając). Ach, to oni! (biegnie do okna). Idą!

Haden. Cóż to takiego?

Marta. Wesele! prawdziwe wesele! Idą tu, kazałam im przyjść.

Jaśnie pani. Maciu, co ty masz za idee?

Marta. Mateczko! to Julek, Julek — ty wiesz, który dla mnie w nocy po lekarstwo jeździł. On się żeni, ja jestem taka ciekawa, jak chłopi od święta wyglądają.

Haden. Rzeczywiście, chciałabym zobaczyć ich zblizka. Proszę cię, moja Olimpko, każ wpuścić tych ludzi.

Jaśnie pani. Ależ, pomyśl tylko, muszą aż tu przyjść, bo Macia wychodzić nie może a atmosfera, którą wniosą ze sobą, jest fatalna.

Marta. Och, to się wywietrzy... Panie Jerzy, proś pan za mną.

Jerzy. Nie wiem, o co chodzi, ale prośba pani jest dla mnie rozkazem.

Eleonora. Jeżeli dobrze słyszałam, idzie tu o jakieś chłopskie wesele, które Marta pragnie nam sprowadzić aż tutaj. Vrai—byłoby to wcale nie złe, rodzaj divertissement; uśmiejemy się przynajmniej.

Jaśnie pani. Ależ...

Marta. Mameczko, daj się ubłagać!

Haden. Ależ tak! już postanowione! (do Marty). Każ ich sprowadzić! Zróbmy rodzaj amfiteatru.

(Marta dzwoni).

Eleonora (do Kazia). Zbliżają się piękności wiejskie! Niebezpieczne porównanie dla nas, kwiatów cieplarnianych...

Kazio. Niebezpieczne? quelle idée? (na stronie). Spodziewam się!

(Marta mówi coś cicho do Janka, który wszedł—Janek wychodzi).

H a d e n. C'est bien gentil z twej strony, moja kochana, żeś pozwoliła nam na tę rozrywkę. Jestem pasyonowana do chłopów.

J a ś n i e p a n. Ach! gdybyś ich pani bliżej poznała...

J e r z y (do Marty). Masz pani nieraz dziwne pomysły. Pocóż sprowadzać tę całą falangę do swego pokoju?

M a r t a. Chcę zobaczyć, czy wszyscy narzeczeni jednakowo wyglądają.

J e r z y (ze sztucznym zapałem). Och! drugich tak szczęśliwych, jak my, nie znajdziesz pani na świecie.

M a r t a (z przymusem). Tak pan sądzisz? Widocznie szczęście objawia się w rozmaity sposób.

(Za sceną śpiew ustaje).

J a ś n i e p a n. Widocznie już idą.

H a d e n. Nie wierzycie, jak mnie to animuje!

SCENA IX.

CIŻ, JULEK, MAŁASZKA, MARTA CHIMKA, SEMEN BOLACZKA, OPANAS, KANDZINKA, UŁAS, SEMEN, ZAZULA, SYCZ,

NAŚCIA, DZINBANKA, MODANKA, JEWKA, chłopi i chłopki.

Małaszka w stroju hucułki, wieniec na głowie, buty żółte, koszula wyszywana. Dziewki postrojone świątecznie, bez świtek, parobcy toż samo. Wchodzą nieśmiało, poprzedzani przez Lawdańskiego i Janka; w milczeniu kłaniają się nizko, poczem, zbici w jedną gromadę, stoją po prawej stronie. Na przodzie Julek. W grupie, trochę oderwana od tła, Małaszka.

M a r t a (w środku). Moi dobrzy ludzie, powiedzcie mi, która tu z was panna młoda?

(Ruch w gromadzie).

O p a n a s. Jaśnie wielmożna panienko, nim młoda się pokłoni, niech ja, jako każe prowidencyja, do was podejdę a wercz oddam, jako wam z rodu pierwszeństwo należy. Piekła go teszcza a łzami oblała — udał się cudnie, jak i nasz korowaj.

A zaświeć Boże z raju
Naszemu korowaju,
Żeby było widniuteńko.
Krajać go drobniuteńko.

(Przystępuje do jaśnie pana z werczem i kłania się. Ułas wysuwa się na przód).

U ł a s. Do wercza wedle rodu wywołuje się. Jaśnie pan jest?

M a r t a (śmiejąc się). Jest.

J a ś n i e p a n i. C'est extraordinaire.... cóż to za heca?

H a d e n. Laisse donc! ja się wybornie bawię.

(Opanas podaje jaśnie panu wercz).

U ł a s. Jaśnie pani jest?

M a r t a. Jest. Ale co to znaczy, mój człowieku?

O p a n a s. Taka prowidencyja. Drużka musi po starszeństwie wywołać.

M a r t a. E! lepiej dajcie to całe ciasto; już ja tych państwa podzielę.

J e r z y. Jak myślicie — może do tego wywoływania dać im nasze karty wizytowe.

E l e o n o r a (do Kazia). Nie brzydki naród, surtout mężczyźni.

K a z i o. Jabym powiedział: surtout kobiety.

H a d e n. Gdzież młodzi?

O p a n a s. Pokłońcie się.

M a ł a s z k a (do Opanasa). Nie petaj — ja sama zdążę.

O p a n a s. Zawsze harda, nawet we dworze.

(Małaszka wysuwa się na przód; patrzy na wszystkich, potem wolno zgina głowę. Ju-

lek kłania się znacznie niżej; szmer pomiędzy państwem).

Haden. Charmante!

Jaśnie pan. En effet!

Marta. Dieu! elle est belle!

Eleonora. Voila une surprise!

Kazio. Diable...

(Jerzy od tej chwili patrzy wciąż na Małaszkę).

Semen Bolaczka (do gromady). Coś harkają. Udała im się nasza kniahini.

Chimka. Ba! jakby się ta udać nie miała—taki cud.

Semen Bolaczka. Oj, oj! wielkiego rodu a psiego chodu.

Dzinbanka (do Zazuli). Spojrzcie, Zazula, co tam stoi?

Zazula (patrząc na posąg Dyany). Czort zna, niby ta święta.

Dzinbanka. Rogi ma.

Zazula. Jak u peretysłnyka.

(Żegna się ukradkiem).

Marta (do Małaszki). Ty rodziców masz?

Małaszka. Matkę mam—ojciec zmarł.

Haden. Jaki ma miły głos. Ile ma lat?

Małaszka. Kto?

Haden. No wy... ty!

Małaszka. Nie wiem, jaśnie pani.
(Śmiech między państwem).

Małaszka. U nas, jak dziewka, to młoda; starych dziewek między nami niema. To srom!

Eleonora (do Kazia). Doczekała się Hadenówna (Do Małaszki). A, to twój narzeczony! Dawno się znacie?

Małaszka (zdziwiona). Ta niby my? Od małego my już przysądzeni.

Jaśnie pani. Przysądzeni? Cóż to znaczy? Zapytaj się, Maciu.

Marta. Mój panie bojaryn, powiedzcie mi, co to znaczy przysądzeni?

Opanas. I to prowidencyja. To, jaśnie panienko, już Boh przed wiekami zdziałał, że każdemu parobkowi przysądził na żonę taką a taką dziewczynę. I to już przepadło—zaswatać ją musi.

Kazio (do Jerzego). Jaka niedobrana para! On mały, brzydki, a ona jak łania. Szkoda dziewki.

Jerzy. Ja tę dziewkę widziałem już kilka razy, przejeżdżając przez wieś. Piękna jest.

Kazio. Bije w oczy. Na to nie trzeba być nawet koneserem.

Haden. Wierzą więc w fatalność!

Jaśnie pan. Raczej mają ślepą wiarę w Opatrzność. Jest to wcale piękne i wzniosłe.

Marta. Julku, czy ty zawsze tak ładnie grasz na flecie?

Julek. Gram, jaśnie panienko, jak tylko czasu dopadnę.

Eleonora. A więc artysta!

Jaśnie pan. Domorosły.

Naścia (do Chimki). Jakie to mają odzienia — a mnie Polikarp i świtkę w lesie zabrał. W pożyczanej jestem.

Chimka. Milczcie ta z waszą świtką. Ot to ubrana, jak kniahini z kazki.

Semen Bolaczka. Ma być u pana żonka nie piękna, kiedy grosze są...

Kazio (do Jerzego). Reszta dziewuch brzydka. Ale cóżeś się w nią tak wpatrzył?

Jerzy. Laisse donc — ona mi się podoba, czuję to.

Kazio. Miej rozum, proszę cię — obok Eleonory i Marty...

Jerzy (śmiejąc się). Och! spryt od czego!...

Haden (do Małaszki). Niech się zbliży! Pokaż-no te hafty u koszuli.

(Małaszka zbliża się).

Chimka. Patrzcie-no, jak moja donia sobie z państwem rozhowory wiedzie.

Semen Bolaczka. Ot, za pan brat świnia z pastuchem.

Marta (do Julka). Ty Julek smutny? Powinieneś być wesoły, szczęśliwy.

Julek. Ja zawsze taki, jasna panienko. To już od urodzenia.

Haden. Ten haft na rękawie wcale ładny. Dziwnie delikatny deseń. Chciałabym zawieźć próbkę do Krakowa.

Małaszka. Jakby jaśnie pani nie gardziła moją robotą, to ja rada wyszyję taki pas i jaśnie pani przyniosę.

Haden. Dziękuję—elle est bien gentille cette petite.

Marta (do jaśnie pana). Papo! ta chata przy bramie próżna. Słyszałam, jak mówił ci o tem rządca. Daj tę chatę Małaszce, mój papo!

Jaśnie pan. Ależ, Maciu...

Eleonora. I ja chcę ten haft zobaczyć. Chodź tu, dziewczyno!

(Małaszka postępuje kilka kroków ku Eleonorze i spotyka się wzrokiem z oczyma Jerzego).

Małaszka (na stronie). To przysądzony panny. Ach, harny pan!

(Eleonora zajęta oglądaniem haftu. Małaszka patrzy wprost w oczy hrabiemu).

H a d e n (która chwilę rozmawiała z jaśnie panią i Martą). Tak, to będzie najlepiej — niech nam co zaśpiewają. Powiedz im, Maciu.

M a r t a. Moi dobrzy ludzie, zaśpiewajcie nam jaką ładną pieśń. Chcielibyśmy to posłyszeć.

O p a n a s. Jak wasza wola.

(Przystępuje do gromady i naradza się).

M a r t a (do ojca). Papo, cóż z tą chatą?

J a ś n i e p a n. Ty wiesz, że tam musi mieszkać ktoś taki, kto wrota będzie otwierał. Julek śpi w stajni.

M a r t a. No, to ona, to Małaszka robić będzie, papo! Pomyśl, oni nie mają gdzie mieszkać, proszę cię!

O p a n a s (do gromady). Tylko nie hałasić, w ład śpiewać, bo to w izbie, nie na polu. (Do państwa). Kiedy wola i chęć, to słuchajcie, proszę. Smętna pieśń, bo młody sierota, bez ojca i matki.

J u l e k (cicho). Ostawcie, Opanasie.

(Małaszka cofa się na środek sceny i staje przy Julku. Przegrywka do śpiewu).

J u l e k (do Małaszki). Małaszka, co tobie? Ty się trzęsiesz cała a lica ci się palą! Bóg z tobą!

Małaszka. Odczep się!

Julek. Ty chora?

Małaszka. Cur tobie z chorobą. Ja szczęśliwa! ach! jaka!!

Śpiew gromady.

Oj, Julka maty
Przed Bogiem stoi.
Ręce na krzyż trzyma,
Do Boga się modli:
Oj, Boże, Ty mój Boże!
Puść-że mnie na ziemię,
Niech-że dziecko moje biedne
Choć zobaczę ja!
Choć zobaczę ja!
Gdzie je posadzili,
Jak je ożenili,
Tę sierotę nieszczęśliwą,
Sieroteńkę mą!
Sieroteńkę mą!

Opanas. A teraz, młodzi, po błogosławieństwo do jaśnie państwa!

(Podczas drugiej zwrotki Julek i Małaszka klękają kolejno przed gośćmi. Eleonora wstała i podeszła ku Marcie. Przy zakończeniu śpiewu a podczas przegrywki Julek i Małaszka oddają wreszcie pokłony hrabi Jerzemu).

Śpiew gromady.

Julku, sieroto,
Julku, nieboże,
Pokłoń się oto
Państwu w pokorze;
Niech cię, zamiast ojca, maty,
Błogosławić raczą,
By ci było, sieroteńko,
Lekko w świecie żyć,
Lekko w świecie żyć!
Ucałuj w kolana
I panią i pana;
Taż to twoi ojciec, maty —
Dobrze życzą ci,
Dobrze życzą ci!

Jerzy (do kłaniającej się Małaszki). Bądź po zachodzie słońca za wierzbami, koło stawu.

Małaszka (schylając się niżej). Paniczu mój... przyjdę...

Marta (tryumfująco). Małaszko! Papa wam daje chatę koło bramy!

Julek i Małaszka. O, panienko!

(Przy zapadnięciu zasłony osoby grupują się w ten sposób: po lewej stronie Jerzy, koło niego pochylona Małaszka, koło Małaszki Julek, odwrócony ku Marcie, Kazio stoi za Jerzym obok Eleonory, dalej kanoniczka Ha-

den i jaśnie pani, po za niemi stoi jaśnie pan; w głębi mademoiselle Latour po prawej stronie. Gromada na froncie sceny. Opanas, Chimka i Naścia. Z końcem przygrywki zasłona spada).

Koniec aktu drugiego.

AKT TRZECI.

Scena przedstawia wnętrze chaty Julka. Wieczór. U komina zapalone łuczywo, na kominie ogień. U pułapu, po lewej stronie, koło tapczanu, kołyska pleciona (kobiałka), zawieszona na sznurach. W kołysce uśpione niemowlę. Po prawej maluchne okienko, krzywo zalepione papierem. Po lewej tapczan pokryty derką, koło tapczana skrzynia, nad nią lusterko. Nad tapczanem dużo obrazów złocistych i kilka główek kobiecych kolorowanych, nalepionych na ścianie. Po prawej nad oknem półki, na półkach naczynia gliniane i trochę porcelany. Za podniesieniem zasłony chór kobiet siedzi na dwóch ławach po obu stronach komina; kobiety przędą, mając kądziel zatkniętą za pas. Małaszka siedzi na tapczanie, chmurna, z założonemi rękoma; kądziel jej leży na ziemi.

SCENA I.

MAŁASZKA, NAŚCIA PAZIORZYCHA, MODANKA, JEWKA, WARKA, PARASKA, DZINBENKA, chór kobiet.

Śpiew prząśniczek.

Na dworze ciemno, straszna metełyca,
Wicher tak wyje, dmie!
A w chacie ciepło i jasna świetlica,
Wrzeciona trzęsą się.
Zbliżcie się cieśniej,
Słuchajcie pieśni,
Słuchajcie kazek, powieści!
Łuczywo świeci,
Słyszycie, dzieci,
Jak ptak zdaleka leci
I skrzydłem w okno bije.
O miłaż, miła nasza wieczornica,
Kiedy na dworze ciemno, metełyca
I wicher głucho wyje!

Skończone bajki, kazki i powieści,
Ot, starsi wszyscy śpią,
W półcieniu chłopak swą dziewczynę pieści,
Całuje, ściska ją;
Ciemniej i ciszej,
Szept ucho słyszy,
Łuczywo zwolna dogasa,
Święta młodości,

Żar, ptak miłości,
W półcieniu chyba gości —
I skrzydłem w sercu bije.
O miłaż, miła nasza wieczornica,
Kiedy na dworze ciemno, metelyca
I wicher głucho wyje!

Naścia (drąc pierze). Ano, toście w ład i pięknie zaśpiewały. Nawet się Stepanek nie zbudził.

Dzinbenka. Ot, hołubyna śpi a z aniołami rozhowory wiedzie. Jak to małemu to raj jeszcze na świecie.

Naścia. Jak podrośnie, to zazna dolę. A teraz niech się zdrowo chowa a na pohybel złym. Cur im!

Wszyscy. Cur złym!

Naścia (do Małaszki). A ty co, Małaszka, taka chmurna w kącie siedzisz, nie jak na gospodynię przystało? Julek nas do waszej chaty na wieczorynkę prosił, taj przyszłyśmy rade, że się naśmiejemy.

Małaszka (sucho). Śmiejcie się z Bogiem; ja ta nie do śmiechu i do posłowania...

Paraska. Ty, Małaszka, jakaś nieswoja. Dziw do ciebie przystąpił.... Dawniej bywało, jak krzykniesz, to jakby zmałka się

śmiała, tylko bór powtarza; teraz sama w kącie siedzisz i za ludźmi się nie oglądasz.

Małaszka (j. w.). Po czorta mam się za ludźmi oglądać. Ja sobie nie starczę?

Naścia. Et, Małaszka, ty zawsze Bogu obrazę czynisz. Stepanek nieraz w kołysce zawodzi a ty nawet do niego nie przystąpisz... My to dobrze widziały i nieraz dobrze uważały, jaka tu może być przyczyna....

Małaszka. Ja za wami nie chodzę i po sadybach nie zaglądam. Czyńcie jak ja.

Naścia. Ot, nie zważajcie na nią. Jeszcze po słabości nieswoja. Coś jej pewnie dolega a gadać nie chce. Lepiej, jak wam te powoli, to opowiem wam kazkę!

Wszyscy. Ach, tak, Nacia! kazkę! kazkę!

Małaszka (na stronie, z wściekłością). Czort te baby przygnał! teraz będą sobie kazki rozpowiadać.

Warka. Czekajcie, Naściu, niech-no z nogami na ławie zasiądę. Wasze kazki straszne, zawsze o łysych didkach, peretysnikach, latawicach.... Czasem okrutnie się boję.

Naścia. Nie bój się, zazulu! Dziś ci opowiem kazkę o jednej głupiej dziewce o panu Lawdańskim.

Dziewczęta (śmiejąc się). Ha! ha! o panu Lawdańskim!

Warka (z gniewem). Ostawcie takie przyczepki, bo to ni do Boga, ni do ludzi. Pan Lawdański to pan Lawdański, ja na niego dawno nie patrzę.

Naścia. Aleś patrzała, hołubko moja, patrzała, aż sobie oczka wypatrzyłaś.

Dzinbenka (śmiejąc się). Oho! pan Lawdański teraz gdzieindziej zagląda a zachodzi, prawda, Małaszka?

Małaszka (zeskakując z tapczana). Pek tobie! Czego odemnie chcesz, ty projawo jedna!

Naścia. Boh z tobą, Małaszka! Nie sierdź się, mileńka. Że pan Lawdański teraz za tobą chodzi, to prawda wierutna... niema czego odkazywać i kląć nie po Bożemu. Ale teraz kazkę rozpowiadać zacznę. Tylko co chcecie, hołubki moje? czy gadać mam o żar ptaku, czy o szuciu figlarzu i pożce żywuszce, czy o lisowyku, co w topoli siedział a kije i drągi nazad rzucał.

Parasska. Mów, mateńko, o królewiczu, co był taki śliczny, tak krasny, jak ten jasny pan, naszej panienki przysądzony. Jak bywało przyjedzie do dworu, to aż łuna od jego urody bije a my dziewczyny tylko za oknami patrzymy na jego urodę. A ty, Ma-

łaszka, widziałaś go też, jakeś chodziła z werczem do dwora.

(Małaszka gwałtownie zrywa się z tapczana i wybiega z chaty, trzaskając drzwiami).

Naścia. No, tej coś nie do smaku. No, ale dziewki słuchajcie a baczcie pilnie każde moje słowo. Był to sobie jeden król i długo u niego nie było dzieci, aż nareszcie urodziły mu się bliźnięta, ot, królewicz i konik malutki. Ot, miał ich miał, ale rosną jak na drożdżach, nie dniami a godzinami. W kilka lat królewicz już był tak, jakby miał kilkanaście, to samo brat jego, koń...

SCENA II.

TEŻ SAME, LAWDAŃSKI.

Lawdański. Oho! co tu bab!

Naścia. A z Bogiem, panie Lawdański! A zkąd wam to przyszło na wieczorynkę naglądać?

Lawdański. Julka niema?

Naścia. Julek we stajni pod ten czas, wy to dobrze wiecie. Małaszce się dłużyło, ta nas zaprosił do chatyny, nim wróci.

Lawdański. A Małaszka gdzie?

Naścia. Wyszła — tylko patrzeć, jak wróci.

L a w d a ń s k i (siada na tapczanie). Niech tam która da mi ognia, no, prędzej, Paraska!

P a r a s k a. Weź sam, zbereźniku jeden!

(Dziewki się śmieją).

L a w d a ń s k i. Ty dawniej nie była taka harda. We dworze ty była inna!

P a r a s k a. Bo durna byłam. Teraz mnie już nie zmusić, nie zmienić — ja kniahini. A odkąd mnie Ułas zaswatał, to się na pana Lawdańskiego przez plecy patrzę. Ot, tak!

(Dziewki śmieją się).

L a w d a ń s k i. Ty tak dużo nie gadaj, bo....

P a r a s k a (wstając). Bo co? A to wielki pan, bo cały czarno jak pop chodzi... Pan Lawdański już powinien się rozpłacić za wszystkie oszukaństwa i tumanienie... No, chodźcie już, dziewczęta. Późna nocka, do domu wracać a ty, Warka, do dwora.

N a ś c i a. Niech pan Lawdański powie, czy to prawda, co powiadają? Nasza jasna panienka... te... pani hrabina ma syna?

L a w d a ń s k i. Tak na pokojach mówili, co z Warszawy taka wieść przyszła.

N a ś c i a. Ano, patrzcie! patrzcie! Takie to było biedne a zanędzone...

P a r a s k a. Ta chodźcie już raz, Naściu! Łuczywo dogasa a Małaszka nam nie rada, bo z chaty uciekła.

(Kobiety wstają i, śpiewając strofkę piosnki rozpoczynającej akt, wychodzą powoli. Śpiew słychać jeszcze chwilę, poczem ucicha stopniowo).

L a w d a ń s k i (sam). Poszły te utrapione wiedźmy... Gdzie Małaszka? Musiała widzieć, jakem tu wchodził. Czyżby się skryła i wcale nie przyjdzie? Głupiec ze mnie! wszak do chaty do dziecka powrócić musi... (po chwili). Czym ja oszalał dla tej kobiety? co ze mną? Gdy mi się na oczy nawinie, to w głowie czysto młotem wali a ręce się ku niej ciągną. Gdybym durnym chłopem był i wierzył w uroki, mógłbym myśleć, że ta zwodnica mnie oczarowała! Ot, na co mnie przyszło! Ja, Lawdański, jak tuman za jedną babą chodzę a rady sobie z nią dać nie mogę. Harda i pyszna, głowę wysoko trzyma, ale ja ją zgiąć muszę... (po chwili). Ach, Małaszka! Małaszka! takaż ona jakaś, aż dreszcz po człowieku chodzi, kiedy o niej myślę.

SCENA III.

MAŁASZKA, LAWDAŃSKI.

M a ł a s z k a (wchodzi do chaty, nie widząc Lawdańskiego, z pasyą przewraca nogą

ławkę i idzie do skrzyni; przechodząc, potrąca kołyskę). Już skomli to nieszczęście! (klęka przed skrzynią i podnosi wieko). Ten Julek mi nawiódł baby a mnie aż podnosiło, aby jednę po drugiej za kołnierz chycić, ta z chaty wygnać. (Wyjmuje ze skrzyni chustkę małą, batystową). Jest—już żółknie... ta prać jej nie będę, niech ostanie taka, jakem ją po nim naszła. (Pociera chustką po twarzy). Jakie to gładkie a miłe! Ach, Boh! jak jego ręka. Jak oczy zamknę a po twarzy tę szmatę sunę, to tak, jakby on mnie po licu głaskał. Boh! mój Boh! gdzie on! gdzie ten królewicz! ten żar ptak jasny?!... I póki on był, toć me życie się miliło a kraśniałam jak mak w zbożu! Ostawił mnie, ostawił i za tamtą poleciał... a w stronę moją głowy nie obrócił...

Lawdański (przystępując do niej i obejmując ją wpół). Małaszka!

Małaszka (zrywa się). Ki czort?! (odtrąca go). A, to wy! Czego tu po nocku łazicie?

Lawdański (hamując się). Ty, Małaszka, rozum miej! nie odtrącaj mnie i głowy nie noś tak wysoko! Za panem hrabią oczów nie wypłakuj, bo on nie dla ciebie... rozumiesz?

Małaszka. Mnie hrabia w konopiach jest! ja do niego nic nie mam—słysz!

Lawdański. Nie łżyj! (chwyta ją za rękę). Ja cię widział nie raz, nie dwa, ja keś do lasu do niego biegła... Ja cię poznał, jakeś siedziała z nim w uroczysku na Wołochowie. Ty mnie się strzeż, bo ty grzech na sumieniu masz... Ty z panem hrabią się wdała a jakbym ja powiedział...

Małaszka (z krzykiem). Ha! wraży synu! Ty mnie podpatrywał a za mną jak żmij chodził!...

Lawdański. Tak, chodził za tobą, Małaszko, bom cię miłował i teraz cię miłuję! Nie! ja ciebie nie miłuję, tylko mi ciebie trza... chcę cię mieć i będę miał!

(Chce się do niej zbliżyć).

Małaszka (chwytając łuczywo). Ja ci ślepie ogniem wypalę, ty projawo jedna!

Lawdański. Jaka ty harda! a paniczowi toś do nóg padała!

Małaszka. Bo to pan! jasny pan! wielki pan! Jak byłam mała, toś ty mi się zdawał jasnością największą... A cóż ty przy nim? co ty? Ty sługa a on pan! jasny pan! wielki pan!...

Lawdański (szyderczo). A cóż ci z tego pana przyszło? ha! Porzucił cię, jak psa nogą kopnął i z tamtą się ożenił.

Małaszka. Milcz! bo ci język w piersi wtłoczę! On mnie porzucił, ale mnie nazad wziąć musi! (wstrząsając łuczywem nad

głową). Mnie maty nie darmo odminą nazwała... Mnie jakaś widma późną nocką przyniosła i na ziemi ostawiła. Ja, jak inna dziewka, hołosić nie będę i włosy wydzierać. Włosów szkoda! Ja czas mam—i czekać a baczyć będę... (opuszcza łuczywo w stągiew wody—ponuro). Co ma się stać, to nie minie.

Lawdański. Jakby ja zły człowiek był, toby ja ci krzywdę wielką zrobił, Małaszka. Ja Julkowibym o jasnym panu powiedział a onby ciebie z chaty wygnał.

Małaszka. Tyby tego nie zrobił. Ty wiesz, dlaczego?... jabym cię za to struła... (Lawdański mimowoli cofa się kilka kroków). Ja tobie nie powiem, że myślę co złego, albo zadam uroku — nie! Ty taki durny nie jesteś; ale ja ci powiem, że cię struję; ty wiarę miej — bo ja zioła znam a w świecie ich siła a moc wielką mają! ty wiesz! Potem mnie nie strasz, że Julek mnie z chaty wygna. Ja nad Julkiem moc mam, on się mnie boi a miłuje jak nawiedzony, jak ty, panie Lawdański. Taką już urodę mam. Z czarta wzięta, boć nie z maty, ludzie tak mówią, ot niechaj tak.

Lawdański. Gdyby Małaszka rozum chciała mieć a na pana nie czekać i do mnie się przygarnęła, jabym ci korali dał i niejedną krasną wstążkę na szyję włożył.

Małaszka (chytrze). Ja nie od brania — korale dajcie, w bodni miejsca dużo jest. Mnie tylko nie po woli, gdy kto mnie się czepia przez gwałt i siłę. Siłą ze mną końca nie dojdziesz; lęku nie mam, od dziecka jużem rosła taka.

Lawdański. Kiedy z tobą, Małaszko, nijak końca nie dojdziesz, ani złością, ani dobrocią. Proszę — to śmiejesz się, grożę — to odpychasz. Powiedz, jak z tobą trza?

Małaszka. Jak ze mną trza? Czort wie jak! Co mi dziś powoli, to jutro idzie po niewoli. Dziś to miłuję a jutrobym złe ziele zwarzyła i struła. Już ja od małego taka. Jakaś siła zła we mnie jest i coś we mnie gore a tak jakby mnie rozerwać chciało na szmaty. Z wiosną, jak wyjdę w pole, to mnie w górę rwie a nocką spać nie daje. W sadybie mnie ani wysiedzieć a z pola gna znów do chaty. I tęsknica za czemś rwie duszę... Ach! Lawdański, ja nie wiem, co mnie jest, ale ja swoją śmiercią nie zginę; jaby chciała z tego sioła iść precz, gdzieś w dal, bez ustanowienia, tam, gdzie jaśniej, przestronniej, gdzie od jedwabiu szeleści, korale dzwonią a ludu mnogość wielka, jak szarańcza! szarańcza wprost! (prawie jak w gorączce). Ot tam, wiesz Lawdański, tam u nas we dworze było wszystko tak jak ja chcę, jakby mnie było w ład... i bogato i ja-

sno i przestrono! Mnie tam zawieść! mnie tam, mnie tam!...

Lawdański. Szkoda, Małaszka, że ty się jaśnie panią nie urodziła. Byłabyś teraz panią hrabiną i w Warszawie na aksamitnych stołkachbyś się rozsiadała. Szkoda wielka, że to właśnie ona a nie ty w taką dolę poszła...

Małaszka. Cur jej, tej bladej dziewce, co jak latawiec białem licem ludzi straszy! Gdzie jej do mnie!... Patrz, Lawdański—patrz na mnie, jaka ja urodziwa... (obraca się zalotnie, śmiejąc się). Ha! ha! zielone oczy mam, jak kamienie na dnie ruczaju... A mieni się to, błyska! Ha! ha! błyska, jak zła siła! wielka siła! czartowska moc!

Lawdański (namiętnie wyciąga ręce). Małaszka!

Małaszka. Ręce przy sobie miej! Ja nie dla ciebie; ty tylko lokaj a ja wysoko patrzę, bo mi już tak patrzeć sądzono...

(Słychać hałas przed chatą).

Lawdański (szybko). Idą! Małaszka, namyśl się — za hrabią nia płacz, bo to nie dla ciebie!

Małaszka. Ha! ha! ja za nim nie płaczę, tylko za głupotą moją; mnie on w konopiach jest, powiedziałam to raz! A ty bacz, co mówię, ty dworski nędzaku!

SCENA IV.

CIŻ, JULEK, UŁAS.

Julek (w kurtce z szarego sukna, buty i płócienne spodnie). Wejdźcie, Ułasie, Paraska pewno jest.

Ułas. Chciałbym tylko dziewkę zabrać i do sadyby ją odprowadzić.

(Wchodzą. Małaszka cofa się w głąb i zajmuje się układaniem rzeczy w skrzyni).

Julek. A! pan Lawdański? Wszakżeście mówili, że idziecie do garderoby?

Ułas (gniewnie). Znów go po chałupach nosi!

Lawdański. Jaśnie pan kazał powiedzieć, żebyś na jutro o świcie był gotów do miasta. Pojedziesz oddać depeszę w urzędzie. Jaśnie pani hrabina ma syna, państwo chcą o zdrowie pytać.

Ułas. Mogliście mu to wszystko koło stajni powiedzieć a nie po nocku do sadyby włazić.

Lawdański. Co tobie, psi synu, do mnie? A zkąd ci to przyszło do mnie gadać i to z taką śmiałością, chamie?

Ułas (z pasyą). Ty czorci bracie! chamem mi w oczy kolesz, ale chamskich dzie-

wek to ci się zachciewa! Ty chciał moją Paraskę zaprzepaścić, ale ci się nie udało — ha! podłe nasienie! ty dworski gnacie! Odstępuj odemnie daleko, bo jak mi na ręce padniesz—marna twoja dola!

Lawdański (posuwając się do wyjścia). Ot, pies chłopski ujada! Na łańcuch wziąć a rózgą smagać!

Ułas (j. w.). O! teraz nas nie smagać! Te dnie na marne przepadły, jak nas smagano... Tobie dziś baty dać, żeby aż to cienkie sukno spadło z twoich kości... ty!

(Lawdański wychodzi).

Julek. Ot, puścić, Ułasie! Co się srożycie, krwi waszej poprostu szkoda.

Ułas (uspakajając się powoli). Bo ty, Julek, nie wiesz jeszcze, jak to duszę rwie, kiedy się kogo miłuje a za tym kimś inny goni, ta odebrać tobie chce... (Małaszka wychodzi z chaty. Julek przystępuje do kołyski i otula dziecko w płachtę). Mnie on tak z Paraską robił a dziewka, choć się niby drożyła a przecież ślipia jej się czasem świeciły i czut czut nie stało się nieszczęście! Ale ja ich pilnował i upilnował. Paraskę zaswatałem i teraz jużem jej pewny. Ona na tego zbójnika ani spojrzy (ogląda się). Ale ty, Julek, baczenie miej, żeby ci Lawdański do żony nie zaglądał... Może być źle!...

J u l e k (kołysząc dziecko). Małaszka bardzo harda a nieprzystępna. Wiesz sam.

U ł a s. Tak, wiem. Ale Lawdański dworski sługa, właśnie do niej przystęp łatwiejszy może mieć. Ona już taka jest, że co się świeci, do tego gna.

J u l e k (chmurno). Wasza prawda. Dziwna bo to kobieta. Ja sam nie wiem, jak z nią... ot, ciężko, ciężko!...

U ł a s. Całe sioło dziwuje się na wasze życie... Jeszcze jakeście się pobrali to Małaszka była weselsza i kręciła się koło sadyby jak na święto przyodziana, cała w koralach, później ot... podczas jak jaśnie pannę wydali za tego grafa, to wasza Małaszka zaczęła się chmurzyć a krasne suknie rzuciła w kąt i przestała się ludziom wdzięczyć. Prawda?

J u l e k. Wasza prawda. (Po chwili gwałtownie). Ułas! słysz ty, powiedz bracie, co z nią jest? co z nią jest? Ja ją tak miłuję! ach, tak miłuję! jak jeszcze nikogo nie miłowałem na ziemi — i chciałbym jej dać wszystko, co dać mogę a ona chmurna chodzi, odemnie się odwraca, na Stepanka spojrzeć nie chce. Ot, poprostu przepaść! I mnie i dziecko sobie brzydzi, po nockach nie śpi— z chaty wyjdzie, ta stoi i w sad patrzy a patrzy. Cóż w tym sadzie ma? co ją tam cią-

gnie? Toć pustka jest, pustka taj tylko... Dawniej, jak jasna panienka była jeszcze we dworze — ha, myślałem — patrzy, patrzy, ta niech się napatrzy dowoli—ot, ciągnie jej oczy jedwab', ta złoto. Ale odkąd jej nie stało, czego ona tam stoi?—powiedz, Ułas, czego do chaty nie wraca? (Otwiera drzwi, w głębi ukazuje się krajobraz oświetlony księżycowem światłem. Małaszka stoi nieruchomie, wpatrzona w dal). Ot, tak stoi godzinami całemi a mnie z piersi serce mało nie wyskoczy a detyna w chałupie zawodzi i za matką hołowkę obraca... (po chwili). Ułas, powiedz ty, czego jej brak? Ja jej dał co mógł—i chatę przybrał i obrazów nawieszał; ja z sanek kilimek ściągnął i na ścianę przybił, na tapczan derkę z koni dał. Patrz, Ułas, ja te bohomazy dla niej przyniósł i powiesił, żeby się do niej śmiały. Ja jej imbryk od Janka kupił, czerepy skleił i dał, ja za innych drzewo rąbię z tyłu za stajniami, aby grosz mieć i szmatę jej jaką kupić. O! Ułas! jabym pierś swoją rozdarł, ta krew serdeczną utoczył, żeby tylko tej hołubinie nic nie brakowało! (wyciąga ręce w stronę Małaszki). Zazulu moja! zazulu! (Małaszka stoi nieruchoma). Patrz, Ułas, ona się nie odwróci, ona wciąż tak stoi, ta w sad patrzy...

U ł a s. Może to za Lawdańskim?

Julek. O, nie, Ułasie; to nie. Ja wiem, bom słyszał, jak go do czorta z gniewem odsyłała. I ty mówisz, Ułas, żeś ty ból miał, ale tyby ból jeszcze większy czuł, jakby ty widział, że się twoja młodyca od ciebie odwraca i za czemś niebywałem, niewidzianem dla ciebie, goni. Ot, ja się do dziecka obrócił, bo mnie prosto tak nieraz, jakby kto w głowie rozpalił żar... Ja dziecko kołyszę, hołubię, bo Małaszka o niem nie myśli a to sierota, żyje tak bez matki, jak ja... bez żony! bez żony!

(Wybucha płaczem).

Ułas. Ty bo, Julek, nie umiesz z nią. Jaby drąga dobrego wziął, ta do chaty zagnał — do dziecka, do roboty, ot prost jak najmitkę i byłoby tobie i jej w ład.

Julek. Nie, Ułas, tak nie. Z Małaszką nie tak, jak z Paraską, albo z Modanką. Ona inna, jak te wszystkie dziewki z sioła. U niej mądrość i zachowanie jest, choć nie uczona. Ją bić strach, boby się na człowieka jak upyr rzuciła.

Ułas. Boh z taką żonką, coby mnie było po niej—jaby ją cisnął i w świat od niej szedł.

Julek (po chwili). I w świat od niej szedł... Tobie, Ułas, łacno to wymówić, ale uczynićbyś nie mógł, ja wiem. Ja prosty

chłop, to tego wygadać nie mogę jak należy, ale ta niewiasta coś ma w sobie, co do niej prost człowieka tak przywiąże, jak psa łańcuch do jego budy. Ona mnie słowa dobrego nie da a ja ją miłuję i hołubię, bo wiem, żeby jej w tej chałupie nie stało, chybaby mi przyszło być już ze wszystkiem niesamowitym, jak maty moja. Ty znał moją maty, Ułasie. Ty sam za nią po wsi biegał, ta krzyczał i śmiał się, jak ona na rozputi usiadła, ta hołosić poczęła... Mnie później mówili, że to z żałości ona tak od rozumu odeszła, bo ją jej mąż a mój ojciec z sadyby wygnał a z najmitką miłowanie zaczął. Tak i mnie jak coś za serce chwyci, to chce się usiąść gdzie na rozstaje a zawodzić i chychotać się, jak moja matka. O, tu! (wskazuje na głowę) tak mnie coś ciśnie, jakby prosto obręcz...

U ł a s. Już późno. Idź ty, Julek, spać; ja jeszcze do Paraski zajrzę, ta do siebie pójdę.

J u l e k. Spać? O, Ułas! co mi ta po spaniu! Ot, jeszcze tej detynie świeżą zaściołkę dam a potem koło chaty siądę, taj grać będę. W las nie chodzę, bo droga daleka a tu Stepanek płakać może. Trza do dziecka iść.

U ł a s. Ty dziwny, Julek, jesteś. Jaby się tam z detyną wodził, kiedy baba w cha-

tynie jest... Ot, drąga wziąć, ta walić! walić!... No, ostań z Bogiem!

Julek. Idź z Bogiem!

(Ułas wychodzi).

SCENA V.

JULEK, później MAŁASZKA.

Julek (krząta się chwilę koło kołyski, bierze z ławy szmaty, owija niemi dziecko). Tak, synaczku mój, trza cię okryć, bo to nocka zimna, a ty, okruszko, maleńki, to mi zmarznąć możesz... Ot, śpi hołubczyk, ta o świecie Bożym nie wie. Niech śpi, niech śpi!

(Kołysze dziecko. Po chwili drzwi się otwierają i wchodzi Małaszka).

Małaszka (opryskliwie). Sól ty przyniósł?

Julek (pokornie). Przyniósł, za pazuchą mam.

Małaszka (j. w.). A cukier?

Julek (j. w.). Nie, Małaszka, cukru dziś niema.

Małaszka (ze złością). Czemu?

Julek. Lawdański kredens zaparł, dobrać się nie mogłem.

Małaszka (z wściekłością). Tfu! z ciebie nic, tylko na babę zdatny... (Odwraca się, idzie do komina, wyjmuje garnek, wytrząsa kartofle na stojącą na stole miskę. Z półki bierze łyżkę i garnek z kwaśnem mlekiem — to wszystko stawia na stole, poczem obraca się do Julka). Na, jedz!

Julek (wstaje z tapczana i siada koło stołu). A ty, Małaszka, nie jesz?

Małaszka. Odczep się! sam się opchaj! ja nie chcę!

Julek. Jak twoja wola.

(Zaczyna jeść. Chwila milczenia).

Małaszka. Ty, Julek, słysz! Czy to prawda, co gadał Lawdański? Pani hrabina syna ma?

Julek. Ma — taka wieść przyszła do dwora. (Chwila milczenia). Możeby ty, Małaszka, trochę kartofli zjadła?

Małaszka. Nie chcę!

Julek (wstaje i chwilę patrzy na Małaszkę). Widzisz, Małaszka, mnie samemu smutno jeść. Jabym chciał, żeby ty, jak każda żona, z jednej misy ze mną jadła.

Małaszka. Ja lubię poosobno. Ty najmitkę sobie weź, ta niech przeciw tobie na pohuti siedzi i pcha jadło — będzie ci weselej. (Julek idzie do dziecka i chwilę stoi

przy kołysce, mrucząc, spluwa trzy razy, przemierza kołyskę i dziecko. Małaszka patrzy z ironią). Mierz, mierz! coby ci kto nie odmienił... Oj jej! tak się wiedźmy za twoim synaczkiem pewnie czają... Durny!...

Julek. Detyna śpi—ty, Małaszka, także już na spoczynek idź; ja jeszcze pójdę trochę na pole posiedzieć. Nocka, choć chłodna, ale jasna. (Zdejmuje supiłkę ze ściany i wraca jeszcze do kołyski). Jakby Stepanek się ocknął, weź ty go na ręce, ja niedługo wrócę... No, ostań z Bogiem! (Małaszka stoi nieruchoma). Małaszka! ta spojrz, Zazulu, na mnie, nie chmurz się tak ciągle; co ja ci zrobił, żeś na mnie taka krzywa? No powiedz, co?

Małaszka (niecierpliwie). Hodi już z tem gadaniem!

(Odwraca się od Julka).

Julek (wychodząc, na progu odwraca się). Ja daleko nie pójdę, ot tam za chatą Paziorzychy usiądę, gdzie wierzby rosną. Jakby Stepanek się rozkrzyczał, wołaj głośno na mnie, bo widzieć cię ztamtąd nie zobaczę. No! ostań z Bogiem! (po chwili). Tak mi jakoś ciężko ztąd odejść, jakby mnie tu co przykuło. Małaszka, daj mi ty dziś dobre słowo, bom taki zmartwiony, sierota, jak jeszcze nigdy.

(Małaszka odwraca się patrzy na Julka w milczeniu, później idzie do tapczana i poprawia posłanie. Julek wychodzi powoli środkowemi drzwiami).

SCENA VI.

MAŁASZKA, później SZMUL.

Małaszka (krząta się po chałupie, potem zrzuca chustkę z głowy i rozpuszcza dość krótkie włosy kręcone; staje przed lusterkiem, blask łuczywa ją oświeca; patrzy chwilę na siebie z upodobaniem). Poszedł utrapieniec! ostawił mnie samą, abym się napatrzyć sobie mogła. Jaka ja urodziwa! Boh, mój Boh! jaka wyrosła... jaka krasawica. Inne baby to po dziecku spasują a ja tom jeszcze harniejsza a siły we mnie tyle, żebym całe sioło rozniosła... (wyjmuje z zanadrza chusteczkę i wącha). Ot, cały rok ta szmata jest a jeszcze woń ma. Ach! jakaż to woń! jaka woń! Lawdański mnie chce... ha! ha! pek jemu! cur temu lokajowi... Ja po panu na lokaja spadnę... Jeszczeby co! jeszczeby co! (Za sceną flet solo, ten sam numer, co w akcie pierwszym). Już ten nawiżeny gra! Ot tobie raz z takim mężem... na supiłce hołosi — muzyką jemu być! (zaczyna czesać włosy). Jak ja za nie-

go szła, myślałam, co on niedługo we dworze pierwszą osobą będzie. Gdzie jemu, temu durnemu, do jakiej chęci! Ot, siedzi w tych stajniach cały rok i na koniach wygania. Żeby go choć na furmana wzięli. (Stukanie do okna). Ki czort? Lawdańskiego niesie? Ano, trza ożoga wziąć...

(Chwyta za ożóg).

Szmul (ukazuje się we drzwiach i ostrożnie patrzy dokoła i dopiero po chwili wchodzi do chaty). Ty, głupia, połóż ten drąg! Julka niema, co?

Małaszka. Niema—a czego ty chcesz?

Szmul (wchodząc). Ty, Małaszka, nie bądź dla mnie taka harda—ja ciebie dobrze znam i ze Szmulem ty inaczej mów. Ja od ciebie dosyć się grosza za striczki i paciorki nabrał, co prawda, to prawda. Ale ja też wiem, zkąd ty tych pieniądzów brała...

Małaszka (gwałtownie). Ty żydowska żmijo!

Szmul. Nie krzycz i nie hałasuj, bo w tem interesu niema. Szmul wie, jakeś za panem grafem latała, ale Szmul milczy, bo rozum ma. Ty mnie od żmij wymyślasz a ja dla ciebie taki geszeft mam, co ty się aż za głowę z radości weźmiesz.

Małaszka. O, pewnie jaką nową szmacinę chcecie mi wetknąć. Nie chcę, bo te-

raz ani po temu woli, ani pieniędzy nie mam.

Szmul. Ty się nie ciskaj, aż wszystko posłyszysz. Nu, ja, choć głupi niby żyd, ale ja mam delikatny rozum i wiem, co takiej mołodycy jak ty przystoi. Ty masz gładką twarz i cała jesteś nie na chłopkę. Ja to zawsze mówił, co ty z takim durnym chłopem siedzić masz! Na co ty z nim wysiedzisz? Ot, nędzę i ze dwanaścioro dzieciów! (Małaszka zżyma się). Ano, widzisz, ty sama masz rozum i wiesz, co tobie trza. Teraz tobie się zdarza wielka, rarytna rzecz! a grojse geschichte!... co ci tego losu wszystkie baby ze wsi zazdrościć będą. Jaśnie pani hrabina ma syna a że to bardzo delikatne pani, to doktorzy kazali mamkę wziąć. Tu pisali po mamkę, żeby ją ze wsi dać; a mnie rządca zawołał i powiedział: „Szmul! ty wiesz, która tam najfajniejsza dziewka, albo mołodyca—zabierz ją tu, weź zaraz, bo jaśnie grafiątko czeka“. Nu, tak ja pomyślał sobie: Małaszka—choć tam od Dzendżery żeby mogła synowa jechać...

Małaszka (żywo). Kto? Horpyna? Ot, pomsta na ciebie! Gdzie jej do pańskich pokoi, taka ropucha!...

Szmul. No, ty się zabieraj, jak chcesz.

Małaszka. Julka pytać trza.

Szmul. Oj, ty durna głowa... Jakby ty się Julka zapytała, toby ty przepadła. On cię miłuje i nie puści od siebie. Jak ty chcesz w mieście być i los fajny mieć, to na Julka nie patrz—nie pytaj i uciekaj nocką zaraz, póki on do chaty nie wróci. Ja cię na kolej zaprowadzę i sam z tobą pojadę, bo rządca chory a ja i tak mam interes do pana hrabiego. Ny—i cóż? Ty nie bądź głupia i szczęścia nie depcz, kiedy ci samo w drogę włazi.

Małaszka (jak w gorączce). Tak, tak! samo mi szczęście w drogę włazi!

Szmul. Nu, pomyśl tylko, czego ty tam nie użyjesz w tem mieście! U takich wielkich grafów to będziesz tak, jak druga grafini, bo to mamce dogadzać będą i skakać, jak ty im zagrasz. Na aksamitach będziesz się rozsiadać, bo tam to od złotości aż kapie a wszędzie pierwszy plac trzymać będziesz.

Małaszka (j. w.). Wasza prawda!

Szmul. Ja wiem, co moja prawda jest. Ty jeszcze o Szmulu pomyślisz i nieraz mi będziesz, żebym tak zdrów był. Ty mi za to kilka guldenów dasz i czarnego byczka, co go w chlewiku trzymasz.

Małaszka. Po kiego licha ci jeszcze płacić? Nie dam nic.

Szmul. Aj waj! ty bardzo mądra jesteś! Dobrze; jak ty nie chcesz w ten interes wejść, to ja idę do Dzendżery — oni mi zapłacą i podziękują. Aj waj!

(Zabiera się do wyjścia).

Małaszka (przywołując go). Szmul!

Szmul. Ny? czego?

Małaszka. Ty już byczka weź, ale Julkowi powiedzieć trza. Jakże tak z sadyby uchodzić?...

Szmul. Ty nie wiesz, co Julek waryat? On ciebie jeszcze zbije i nie puści. No! nie oglądaj się i nie bądź durna baba, za Julkiem się nie oglądaj, bo co z niego masz?... A tam we dworze w mieście to ci się jeszcze jasne pany kłaniać będą, jak zechcesz... Ny? ja pójdę byczka wziąć. Ben czeka za chałupą, ty rzeczy wiąż; ja tu wnet będę. Spiesz się, bo mnie czas a ten myszygene przestanie grać i do chałupy wróci... Byczek gdzie?

Małaszka. W chlewiku.

Szmul. Nu a dobrać się jak?

Małaszka. Nie zaparte.

Szmul. Ty się tu spiesz. Dużo szmat nie bierz, bo cię tam ubiorą w same fajne suknie. Aj waj, Małaszka! jak ty oczy ludzi ciągnąć będziesz! Za tobą będą sznur-

kiem ludzie chodzić i dziwować się a cmokać... Ot, tobie się los zdarzył, a Glück! a Glück!

(Wychodzi).

Małaszka (sama; otwiera skrzynię, wyrzuca z niej gorączkowo trochę bielizny, szmat, chustek, wiąże część tych rzeczy, resztę porzuca na ziemię. Ot, tobie los się zdarzył... ma prawdę Szmul, to jasna dola, to dobra dola mi się śmieje. Na świat! na świat! Do państwa, do szerokich i widnych izb! A co mi tam tu gnić, ta marnie przepadać! Już mi tak sądzono, żebym w pańską służbę szła... Pójść muszę, bo mnie rwie, bo mnie rozszarpie, jakbym tu dłużej siedziała... (Chwyta tłomoczek i idzie ku drzwiom, nagle potrąca się o kołyskę). Tfu! cóż to?... A, to Stefanek! (Chwila milczenia). On ta nie zmarnieje bezemnie, ja i tak jemu na plewę zdatna. Julek go wyhołubi a potem to ja wrócę... (Chce iść—rękaw koszuli zaczepia się o kołyskę; ona, zgniewana, odwraca się). Tfu! czary, czy co? nie mogę iść—ot, wciąż mnie trzyma... (chce wyplątać rękaw). A to wprost trzyma jak rak (szarpie mocno). Urzekł mnie kto, czy co?! (wyrywa rękaw, zostawiając kawałek płótna). Ot tobie raz.. (idzie kilka kroków, potrąca płonące łuczywo, łuczywo pada; ona patrzy chwilę, potem depce łuczywo nogami). Ogień

mi w drogę zaszedł... to źle!... Może nie trza iść...

S z m u l (we drzwiach). Małaszka!

M a ł a s z k a (jakby walcząc z sobą). A ten nawiżeny ciągle gra!...

S z m u l. Idziesz ty, czy nie?

M a ł a s z k a (j. w.). Idę... idę... (na stronie). Ot, prost jakbym wrosła w ziemię, nóg nie oderwać, siły brak. Tfu! przepadnij! zgiń! ty siło nieczysta!

(Chce się żegnać—ręka jej opada).

S z m u l. Czego ty słuchasz? za czem ty patrzysz?—ty waryatka!... Chodź, bo idę do Dzendżery... No, chcesz, czy nie? Ja idę po Horpynę.

M a ł a s z k a (porywając się). Nie! nie! (Z krzykiem wybiega gwałtownie z chaty. Na scenie zupełnie ciemno; flet ciągle gra).

SCENA VII.

L a w d a ń s k i (wbiega szybko, wydobywa stoczek i zapałkę, zapala stoczek i rozgląda się dokoła). Niema! uciekła! uciekła! A, piekielnica! dyablica! czarcie dziecko! Ja słyszał jej krzyk, jak z chaty leciała. Ja ten krzyk dobrze znam! w uchu go mam; prosto jak puszczyk wyje na rozdrożu! (z roz-

paczą). Co robić? Wstrzymać ani weź! Mnie nie posłuch, jeszcze zabić gotowa. A potem co ja dla niej?—ani brat, ani swat... Ja wiedziałem, że tak będzie... Jak Szmul mówił, że mamki szuka po wsi i do niej też przyjdzie—ja wiedziałem, że ona poleci na to zaprzepaszczenie do miasta i tam ludziom we łbach przewracać będzie... (po chwili). A to zwodnica... Jabym się już był wyszkodował i korale jej dał—kto wie, może i jeszcze co dorzucił—a ona porwała się nagle i ani śladu o niej, ani słychu... (rozgląda się dokoła i siada na kuferku). Teraz już musi przez las iść, za kwadrans dobije się do stacyi. Jabym za nią poleciał, ale to darmo, ona mnie nie posłucha a jeszcze w twarz napluje. Gdybym ja był jej mężem... (Nagle, jakby uderzony myślą, zrywa się z kuferka). Ano, przecież mąż jest, wołać go trza!.... niech leci, niech ją zatrzyma, niech sprowadzi. Ale gdzie on? A! gra—słychać go tu. (Wybiega przed chatę i woła): Julek! Julek! Nie słyszy. Julek! hodi z tem graniem! (Flet milknie, Lawdański wraca do chaty). Tak, tak! niech on po nią idzie, ja pójdę za nim zdala. Jakby przyjść nie chciała, to związać, zbić pomogę a nazad do wsi przywiodę. (Nagle z namiętnością rzuca się na porozrzucane suknie Małaszki i całuje je, jak

w szale). A ty projawo! ty odmino! ty siło nieczysta!... jak ty mnie do siebie ciągniesz! Ty wrócić musisz, albo ja za tobą pójdę; bo ja ciebie, twoich oczu i twego krzyku nawet chcę!...

SCENA VIII.

LAWDAŃSKI, JULEK.

Julek (wchodzi przez drzwi środkowe). Co to? ciemno tak? Gdzie ty, Małaszka? To nie ty mnie wołała? Stepanek się budzi? Gdzie smolaki? trza ogień rozniecić.

Lawdański. Julek, ty ognia nie nieć, a w las biegnij!

Julek. To wy, panie Lawdański? (po chwili). Gdzie Małaszka?

Lawdański. Małaszki niema.

Julek. Może do sąsiady po żar poszła. Wy mnie pewno pisanie do miasta przynieśli. Dajcie, jutro świtem pojadę, choć taki jestem nieswój... Ot, w głowie to prosto jakiś żar, czy co...

Lawdański. Ty, Julek, dobrze słuchaj, co ci powiem. Małaszka uciekła z chaty i już nie wróci.

Julek (nie rozumiejąc). Czego nie wróci?

Lawdański (gorączkowo). Bo Szmul ją zabrał na mamkę do dworu, do miasta, do pani hrabiny... (Julek stoi osłupiały). Ty, Julek, zbudź się! jeszcze czas, oni przez las idą na kolej... dogonisz ich! Chodź prędzej, ja z tobą... (wstrząsa ręką Julka). Czy ty ogłuchł? Może ty nie rozumiesz, co ja ci powiedział? Małaszkę wzięli do miasta w służbę—ona uciekła od ciebie, od dziecka i nie wróci tu nigdy.

Julek (jakby przez sen). Uciekła! uciekła!...

Lawdański. No, patrz! (świeci stoczkiem). Rzeczy porozrzucane; zabrała co lepsze a jej ani śladu.

Julek (j. w.). Ani śladu!

Lawdański. Ale czas jeszcze jest, my ją dopędzimy, żyda zbijemy a ją nazad do chaty przywiedziemy.

Julek (siadając machinalnie na ławce). Przywiedziemy...

Lawdański. Julek! czy ty się wściekł, że ty siedzisz jak bałwan, kiedy ci żona uciekła i ciebie i dziecko na przepaść zostawiła?... Ty nie wiesz, co ją tam gna? Ty nie wiesz, że ona do pana hrabiego leci, aby mu znów do nóg padać i w kątach miłować się pozwolić? (Julek podnosi głowę). A, patrz! patrz jak zwierz! Co cała wieś widziała, ty

jeden nie widział... Twoja żona wnet po weselu była miłośnicą pana hrabiego i, jak szalona, za nim do sadu, albo na uroczyska leciała... A on jej dał niejedno... i...

Julek (zrywa się z ławy i rzuca się z rykiem na Lawdańskiego). Łżesz! łżesz! psi synu!

Lawdański (odtrącając go). Ha, no! toś się poruszył wreszcie, ty trupie!... Mnie nie tykaj, bo cię jednym palcem przewrócę! Ty zapytaj całej wsi, co na to gospodarstwo twojej Małaszki patrzała a potem mi powiesz, kto łże.... (postępuje kilka kroków i plącze się w chusteczkę hrabiego, rzuconą przez Małaszkę; schyla się i podnosi). Ano, patrz!... ot, jego chustka, pana grafa chustka! Ja tę chustkę dobrze znam. Widzisz, między jej szmatami była...

Julek (wyciągając ręce, prawie nieprzytomny). Dajcie!

Lawdański (rzuca mu chustkę). Na! (schyla się nad skrzynią). Ano, patrz! Ty jej kupił taką wstążkę? (wyciąga szeroką, piękną wstążkę ze skrzyni). Prawda, że nie? To Szmul jej przyniósł za pana hrabiego pieniądze...

Julek (j. w.). Dajcie!

Lawdański (j. w.). Ano bierz, bierz! napatrz się, to może się przekonasz. No cóż?

idziesz teraz zemną? Trza nam dobrze biedz bo to i tak późno jest; oni już koło stacyi być muszą. Chodź!

(Chwyta Julka za rękę).

Julek (zataczając się nieprzytomnie). Trza iść... trza iść.. Stepanek się zbudził... O! słysz — płacze... Supiłkę też wziąć trza, bo jak na rozputij przyjdzie z maty siąść, to grać mi wisielak każe... a jak panu hrabiemu o żonę przyjdzie się pokłonić, to znów grać trza... grać trza... grać trza!... A!... (jęk przechodzi w bolesny śmiech, zakończony łkaniem i Julek bezsilny osuwa się na ziemię).

Lawdański (z rozpaczą wstrząsa Julkiem kilkakrotnie). Wstań! wstań! będzie za późno! Ty! kolej odejdzie... ona odjedzie, zginie nazawsze! nie wróci!... Ja sam pójdę po nią! polecę! do nóg jej się rzucę... Niech depce, niech pluje jak na psa, ale niech tu wróci... Małaszka! Małaszka!

(Z krzykiem rzuca się ku drzwiom. Za sceną słychać oddalony gwizd lokomotywy).

Ha! zapóźno! już pojechała!... Niema jej... niema Małaszki!...

(Kopnąwszy nogą Julka, wybiega z chaty.— Cichy bardzo akompaniament w orkiestrze do końca aktu—motyw sola fletu).

Julek (sam, w początkach obłąkania; po chwilowej pauzie podnosi się zwolna, ale zostaje na klęczkach). Młodo zaswatali, młodo pogrzebali.... Widzisz, maty, na co twemu Julkowi przyszło!... Miał żonę — wzięli mu żonę!... miał rozum — wzięli mu rozum!... Tylko dziecko zostawili... Ty, mały, się nie śmiej, że Julek durny był a pan hrabia mu żonę brał... Pan hrabia jasny pan, za to wstążkę dał taką krasną... taką krasną, jak lica Małaszki...

(Podnosi się zwolna z trudnością, idzie ku drzwiom i otwiera je na rozcierz).

Zazulu! ty do chaty idź! już nocka czarna jak przepaść się robi a tobie po co tak koło sadu stać? Pan hrabia dziś nie przyjdzie... Chodź tu, zazulu! Patrz! ja sam, ja sierota — ja taki biedny, taki zmarnowany!

(Osuwa się znów na kolana i wyciąga ręce w stronę drzwi).

Ty nie chcesz tu przyjść, ja wiem! wiem, czemu—bo tobie w chacie ciemno, ta smutno. Tobie do dworu serce się rwie... Ja ci, zazulu, nic już więcej dać nie mogę, jak to, com ci dał. Pokraj ty mnie na ćwierci! weź ty duszę ze mnie, jak chcesz — bo ja biedniaszka, nie mam już więcej nic! nic!...

(Odwraca się po chwilowej pauzie w stronę kołyski).

Stepanek płacze.... Trza dziecku jeść dać!...

(Wlecze się z trudnością do kołyski).

Zasłona wolno spada.

Koniec aktu trzeciego.

AKT CZWARTY.

Za podniesieniem zasłony przegrywka krakowiaka. Sześć par w krakowskich kostyumach stoi ustawionych do tańca. Para pierwsza PANI ELEONORA i HRABIA JERZY, para druga PANNA ZOFIA i HRABIA KAZIO, para trzecia BARONOWA RÓŻA i ROSENKRANZ, para czwarta HRABINA HORTENSYA i jeden z gości, dwie pozostałe pary z osób niemych. Po lewej stronie sceny siedzi MARTA i KANONICZKA HADEN, po prawej stronie stoi MAZAMOWSKI i uważnie spogląda na tańczących. Gdy zasłona jest zupełnie podniesiona, pary tańczą krakowiaka i zatrzymują się przed orkiestrą.

SCENA I

Pani Eleonora (w przegrywce do Marty). Eh bien, Maciu, dites donc, jakiż efekt sprawiamy!

Marta (z uśmiechem). Nie robicie wrażenia prawdziwych ludzi!

Haden (śmiejąc się). Chyba „ludzi“.

Marta. Może się pomyliłam.

Mazamowski (z ukłonami). Jeżeli się ośmielę wtrącić małe słówko względem tańca jaśnie wielmożnych osobistości, to więcej życia nie będzie przeszkodą w osiągnięciu pożądanego skutku.

Panna Zofia (śmiejąc się). Dieu qu'il est diôle!

Jerzy (obracając się do Zofii). Un pauvre diable! Allons! zaczynajmy. Niech pan Mazamowski uważa. Teraz moje solo.

(Śpiewa).

Świeci miesiąc, świeci
Naokoło gwiaździc,
Ja cię szukam hen, tędy,
A ty jesteś Ordzic...

(Obraca się tryumfująco).

A co! to moja inwencya...

Wszyscy. Oh! charmant! charmant!

(Mazamowski z ukłonami prowadzi taniec).

Kazio (na froncie). Panna Zofia!

(Śmieje się).

Panna Zofia. Śpiewaj szambelanie.

Kazio. Zaraz, zaraz!

Jerzy. Zaczynajmy!

Kazio (próbując). Na kamieniu... Nie, to nie tak. E! bo widzisz, ton mi zgubiłeś; teraz nie wiem, jak to...

Mazamowski (z ukłonem). Ośmielę się podrzucić.

Panna Zofia. Eh, laisser donc... Pan nie masz słuchu—tylko się skompromitujesz passer la dessur.

Kazio. Zapewniam panią, że miałem ten ton, wychodząc z domu. C'est irroni.

Jerzy. Teraz na kogo kolej?

Rosenkranz (przepychając się). Teraz ja, Rosenkranz!

Wszyscy (śmiejąc się). Rosenkranz! Rosenkranz!

Rosenkranz. Tylko proszę, cobyście się państwo ze mnie nie wyśmiewali; ja tak sobie tylko zaśpiewam, jak może śpiewać polski szlachcic.

Haden (do Marty). A ten co?

Marta. Ha! c'est sons faible!

Rosenkranz (śpiewa):

Gruszka i pół gruszki,
To półtorej gruszki —
Dama i pół damy,
To półtorej damy.
Hu! ha!

Eleonora. C'est gentil! kto to ułożył?

Rosenkranz. To ja, Rosenkranz!

(Pary się rozchodzą. Eleonora zbliża się do kanoniczki Haden i Mazamowskiego; zostają sami na boku).

Hortensya. Sądzę, że na dziś już dosyć tej próby.

Kazio. Och! dosyć... Ale—co dziwnego zauważyłem, że nam wszystkim nad wyraz dobrze w tych kostyumach, prawda?

Wszyscy. Prawda! Vous avez raison!

Mazamowski (na stronie). Towarzystwo wspólnej admiracyi...

Panna Zofia. Żałuj, Marto, że nie należysz do nas. Zrobimy piorunujący efekt, wpadając do sali balowej.

Hortensya. Czy pozostaniemy dłużej na tym balu?

Jerzy. Nous allons voir, jak się to złoży. Będziemy się starali odseparować od reszty sali i utworzymy osobny cercl.

Róża. Jeśli tak—będziemy mogły zabawić tam czas jakiś.

Eleonora. On dit, że i te panie z teatru będą także w sali... Czy to możebne?

Jerzy. Ha! komitet był mieszany. Sądzę, że się wkradło trochę nieporządku.

Eleonora. Nous espéront, że nas nie zechcecie narażać na tak niemiłe sąsiedztwo

i wcześniej postaracie się, aby damy te nie przybyły.

W s z y s t k i e p a n i e (oprócz Marty i kanoniczki). Och! oui, nous vous suplions!

M a z a m o w s k i (na stronie). Boją się porównań.

K a z i o. Bądźcie panie przekonane, que nous ferons tout notre possible, aby się stało zadość życzeniom pań...

R o s e n k r a n z. I ja także—ja, Rosenkranz!

(Przez ten czas wszyscy posiadali; Mazamowski stoi w kącie, usuwając się ciągle).

H a d e n (cicho do Eleonory). Prosiłam panią kilkakrotnie, ażebyś nie tańczyła z Jerzym. Afiszuje to go niepotrzebnie a i panią także, jeśli to być jeszcze może...

E l e o n o r a (równie cicho do Haden). Niepotrzebnie się pani troszczysz. Pan Jerzy jest dawno pełnoletnim i postępuje według swej woli. Tańczę z nim, bo dobrze tańczy i pasuje do moich włosów. Voila tout!

H a d e n. Jesteś pani bezczelną! Występuję tu w imieniu żony Jerzego.

E l e o n o r a. Czy upoważniła panią do tego?

H a d e n (żywo). Jamais... voila une idée. Ale lękam się, aby nie spostrzegła wreszcie,

co się tu dzieje. Jest tak delikatna i słabowita, że mogłaby to przypłacić życiem. Nie chcę tego! Zakazuję pani prowadzenia dalej romansu z Jerzym!

Eleonora (ze znaczeniem). A chere dame!... Przyznałabym ci zupełną racyę a nawet usłuchała twych rad, gdybyś była matką Jerzego. Ponieważ tylko jesteś jego ciotką, pozwól, że, złożywszy nizki ukłon, odejdę w inną stronę. Au plaisir...

(Podchodzi do grupy, w ktorej znajduje się Jerzy).

Haden (na stronie). Bezczelna żmija! Ale przyjdzie czas, kiedy i ona kąsać przestanie.

(Zwraca się do Marty).

Panna Zofia (do Kazia). Vous avez l'air, zupełnie zniwelowanego człowieka.

Kazio. Ach, ten krakowiak mnie tak zmęczył! Teraz, kiedy usiadłem, zdaje się, że jestem w raju...

Panna Zofia. A gdybyś pan usiadł naprzykład koło naszej kanoniczki, byłbyś także, jak... w raju?

Kazio (z galanteryą). Ach, Dieu! Sąsiedztwo anioła sprawia mi to złudzenie!

Panna Zofia. A aniołem tym?...

Kazio (tłumiąc ziewanie). Pani!

Panna Zofia (na stronie). Szkoda, że tu mamy niema, możnaby ten interes ubić. (Głośno). Cóż ztąd — niedługo już odjeżdżamy... Będziesz pan musiał wstać z tego raju...

Kazio. Szkoda.... Chciałbym tak siedzić życie całe.

Panna Zofia (szybko). Powtórz to pan mamie.

Kazio (reflektując się). Mamie? a to po co? Wszak ja mogę siedzieć przy pani ile zechcę a mama nie będzie nic miała przeciw temu (na stronie). O! byłbym wpadł w pułapkę!

Panna Zofia (na stronie). Nie udało się. Próbujmy jeszcze... cierpliwości przedewszystkiem.

(Rozmawiają pocichu).

Mazamowski (do siebie). Wszyscy posiadali... nie wiem, czy i mnie usiąść wypada. Nogi mnie bardzo bolą a dziś tańczę w tej przeklętej „Meluzynie“. Czuję, że wyjdę z formy i sypnę się... jak statysta...

Róża. Kiedyż druga repetycya?

Jerzy. Sądzę, że jutro.

Kazio. Czy znowu tutaj?

Eleonora. Ach, nie! Zanadto utrudzamy tę kochaną Martę. Jest już tak bladą i zmęczoną, że aż przykro patrzeć.

Marta. Zwodzi was moja twarz. Jestem dziś bardzo silna. Mogłabym nawet z wami tańczyć, gdybyście mnie do swego grona przyjęli.

Rosenkranz. Toby było bardzo pięknie. Panibyś wyglądała w kostyumie jak bóstwo. Ja to mówię—ja, Rosenkranz. Hrabina Zdzisiowa, ta ze Lwowa, co to jej mąż to jest mój kuzyn, to także taka blada jak pani a w kostyumie to była...

Marta (śmiejąc się). Jeszcze bledsza!

Rosenkranz. Ale nie — wyglądała jak róża. Ja to pani hrabinie mówię — ja, Rosenkranz.

Hortensya. Zdaje mi się jednak, że ten krakowiak trochę za długi... możemy zapomnieć figur

Jerzy. Możnaby go skrócić. Panie Mazamowski — gdzież on? A! jest. Niech pan Mazamowski pomyśli, żeby trochę taniec był krótszy.

Mazamowski. Jeśli takie życzenie całego grona tańczącego, możnaby ująć „baranki“, albo „pałataj“. Jedna z tych figur odpadnie bez szkody dla społeczeństwa.

Panna Zofia. Wielka szkoda, żeśmy się nie namyślili wcześniej. Oto pan Kazimierz opowiada mi o jakiemś huculskiem weselu, które widział u rodziców Marty. Kostyumy są malownicze.

Eleonora. Czy taniec miejscowy trudny?

Jerzy. Nie wiem. Mais voila une idée, byłoby nam więcej do twarzy w takich kostyumach.

Eleonora. Czy nie macie rycin lub jakich gravures odpowiednich, aby zobaczyć stroje?

Marta. Rycin nie mamy, ale jest u nas żywy model. (Dzwoni). Będziecie panie mogły obejrzeć dokładnie ubiór, bo na wyraźny mój rozkaz zachowała swój strój, w którym jest jej nadzwyczaj do twarzy. Chciała się przebrać, przyjechawszy do miasta, ale jej na to nie pozwoliłam.

Rosenkranz. Bardzo piękna kobieta. Widziałem ją raz w Saskim ogrodzie, jeszcze w lecie... Ma w sobie jakiś charakter; ja to mówię—ja, Rosenkranz!

(Wchodzi Lawdański).

Marta. Zawołać tu mamkę.

(Lawdański wychodzi).

Róża (do Eleonory). Piękny chłopiec... Zkąd go wzięli?

Eleonora (do Róży). Przywieźli go z domu rodziców—a właściwie dopiero przedwczoraj Jerzy przyjechał z nim razem. Przedtem towarzyszył hrabiemu w podróży.

Róża. Oryginalne małżeństwo! W kilka miesięcy po ślubie mąż odjeżdża od żony i drapie się na szczyty Alp. Je n'y comprend rien.

Eleonora. Moi de meme.

Róża. Musieliście się widzieć zagranicą?

Eleonora. Chwilowo w Gmunden.

Róża. Tak?... A! teraz trochę więcej rozumiem...

(Rozmawiają pocichu).

Rosenkranz (do Kazia). Mój hrabio Kaziu! proszę, powiedz mi ty, panie hrabio, czy to prawda, że ten biedny Orcio ma zatarg ze swoim teściem o jakiś posag?

Kazio. Nie wiem, ty Rosenkranz, nie słyszałem o tem wcale. Wiem, że prosto z podróży pojechał do starego i przedwczoraj powrócił, ale jak to dalej jest—nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

SCENA II.

Lokaje wnoszą zapalone kandelabry i stawiają na słupach. Lawdański otwiera drzwi i w głębi ukazuje się Małaszka, wystrojona, w wełnianej ponsowej spódnicy, koszuli wyszytej, obwieszona paciorkami; na głowie

niebieska jedwabna chustka. Chwilę stoi, patrząc zuchwale na zgromadzonych, poczem postępuje na przód sceny i staje z głową podniesioną i wyzywającym wyrazem twarzy. Panie przypatrują się jej pilnie przez szkiełka.

Róża. En verité—kostyum o wiele piękniejszy od krakowskiego.

Panna Zofia. Nasze kostyumy gasną przy nim zupełnie.

Hortensya. Wyszycie na koszuli jest bardzo pracowite. Niechno podniesie trochę rękę. Chcę obejrzeć to zblizka.

(Małaszka stoi nieruchoma).

Panna Zofia. Mais elle est sourde. Czy nie słyszy, co do niej mówią? Niech rękę podniesie!

Małaszka (nie ruszając się z miejsca, przez zaciśnięte zęby). Pek wam!

Marta. Elle est extrement entetée (do Małaszki). Moje dziecko, te panie proszą cię, ażebyś im pokazała twoje ubranie.

(Małaszka wyciąga ze złością rękę).

Haden (do Marty). Nie potrzebnieś ją popsuła swoją dobrocią.

Marta. Wiem o tem. Pobłażałam jej przez wzgląd na dziecko. Dziś już czuję, że zapóźno. Ulegam jej, bo inaczej musiała-

bym ją oddalić; a ona mówi, że Maryanek rozchoruje się z tęsknoty za nią.

Haden. Kto to wie!

Marta. Och, to możebne! Półtora roku, jak tu ją przywieźli — nikomu nie da przystąpić do dziecka; przez ten czas Maryanek przyzwyczaił się do niej bardzo. Wolę znosić jej kaprysy, niż narazić dziecko na chorobę.

Kazio (do Jerzego, patrząc na Małaszkę). Ja tę twarz gdzieś widziałem.

Jerzy. Nie patrz w tamtą stronę. Nasze panie mogą się o to obrazić.

Kazio. Boisz się żony, czy...

Jerzy. Nie lubię scen, to mi daje na nerwy a jestem już i tak zanadto zdenerwowany.

Róża (do Małaszki). A co wy tańcujecie tam w domu, na wsi? (do pań). Ach! comme c'est difficile rozmawiać z taką figurą...

Małaszka (złośliwie). Tańczymy do woli, co kto chce—tropaka, czerebiaczkę, kołomyjkę — ot, co wola! Ale kobiety do tego muszą być młode i krasne a zwinne, bo jak jest inaczej, to za nic cała ochota.

Haden (do Eleonory). Ona ma spryt! Zaraz nas wszystkie otaksowała na stare i brzydkie.

Eleonora. Vous persez? Sądzę, że powiedziała to bez arrière pensée.

Różą (do Małaszki). To twoje ubranie od święta? Oryginalne. Czy to ze wsi przywiezione?

Małaszka. Nie. Ja tu przyjechała w ochwocie i zapasce, z oczepkiem i namitką, ale jaśnie pani dała mi spódnicę i chustkę, bo to ładniejsze.

Róża. Co do ubrań, sądzę, że jeszcze zdążymy; tylko z tańcem bieda — musi być trudny.

Marta. Zatańcz, Małaszko. Zrób to dla mnie...

Małaszka (grymaśnie). Głowa mnie boli.

Marta. Moje dziecko, ja cię proszę! tylko kilka kroków, tak jak tańczysz sama przed Maryankiem. No!...

Małaszka (udając wstyd). Wstydzę się...

Marta. Czego? Te panie nie będą się śmiały. No, dalej, dalej — tak ładnie tańczysz...

Eleonora (do Jerzego). Coś nasza balerina się droży.

Jerzy (odwraca się do Eleonory, ale nie patrzy na Małaszkę). Zwykły chłopski narów i upór.

Małaszka (patrząc na Jerzego). Pan hrabia!

Marta. Tańczysz, Małaszko?...

Małaszka. Tak, jaśnie pani, teraz zatańczę co wola.

Mazamowski (na stronie). Może i ja co skorzystam. Choć zawsze tańczę ludowe tańce, to przecie nigdy chłopa tańczącego nie widziałem.

(Małaszka tańczy. Obecni rozsuwają się na dwie grupy — po jednej stronie kanoniczka Haden, Marta, Rosenkranz, baronowa Róża; po drugiej stronie hrabia Jerzy, Eleonora, panna Zofia, hrabia Kazio, hrabina Hortensya, Mazamowski. Hrabia Jerzy na pierwszym planie z brzegu, tak, aby Małaszka w tańcu mogła znaleźć się przed nim i spojrzeć mu w oznaczonej chwili w oczy).

Rosenkranz. Nie tańczy źle, prawda, hrabino?

Marta. Musiała się dość natańczyć od dziecka.

Haden. Czy wiesz, Maciu, że ta kobieta ma zły wyraz twarzy. Coś jest w niej niepoczciwego.

Marta. Nie znajduję tego.

Panna Zofia (do Kazia). Zawsze ten taniec jest trochę trudny. Nest ce pas?

Kazio. Krakowiak o wiele łatwiejszy.

(Małaszka w tańcu staje przed hrabią Je-

rzym; chwilę patrzy mu w twarz; później, jakby dalej tańcząc, pochyla się nizko do kolan Jerzego. Reszta obecnych zajęta rozmową).

Małaszka. Pan hrabia.

Jerzy. To ty, Małaszka!

Małaszka (z ukrytą złością). Ja!

(Prostuje się i dalej w tańcu odchodzi).

Jerzy (do siebie). Ona! ona! Dobrze, że tu jest. Ta chłopka na mnie trochę działa. Ożywię się na czas jakiś.

Eleonora (do Jerzego). Ty coś mówiłeś z tą chłopką.

Jerzy. Qu'elle idée — ani mi się marzyło.

Eleonora. Będę dziś w teatrze — loża numer piąty. Przyjdziesz?

Jerzy (znudzony). Przyjdę.

Eleonora. Pamiętaj!—inaczej skandal!

Małaszka (zwalniając tempo, patrzy na Jerzego i Eleonorę). Pek im! Z tą martwicą znów gada. Ławdański prawdę miał... to jego kochanka!

(Nagle przestaje tańczyć i udaje, że wybucha płaczem).

Wszyscy. A to co?

(Małaszka płacze, obcierając oczy fartuchem).

Marta (troskliwie). Co ci jest, Małaszka? Mój Boże! nie płacz... ty wiesz—doktór

nie pozwolił ci płakać. Maryankowi może zaszkodzić. No, już nie tańcz, idź do swego pokoju! (do gości). Biedna! — jest bardzo wrażliwa.... Musiały się jej przypomnieć strony rodzinne, mąż, dziecko. Prawda, Małaszka?

Małaszka (udając smutek). Tak, jaśnie pani.

Panna Zofia. Est ce possible, aby była poetyczną do tego stopnia?

Haden (na stronie). Dziwnie płacze suchemi oczami.

Marta. Każdy ma serce, czemużby ona serca mieć nie miała. Idź, Małaszka, do dziecinnego pokoju, ja tam wnet nadejdę.

Małaszka (wolno wychodząc, mruczy pod nosem). Durne bestye!

SCENA III.

Eleonora. A więc już ułożone... Jutro u mnie ostateczna narada co do powzięcia stanowczej decyzyi. Zresztą, dziś jeszcze mamy raut u Błędowskich, po teatrze przyjadę, może tam co postanowimy.

Kazio. Sprawę tę trzeba wytoczyć przed areopagiem ludzi poważnych. Trzeba się dobrze zastanowić.

Róża. Moglibyśmy się zblamować...

Panna Zofia. Wszystko, byle nie to. (Podczas tej rozmowy wszyscy żegnają się kolejno z Martą i kanoniczką. Jerzy odprowadza damy do drzwi, które na rozcierz otwiera Lawdański; w głębi ukazuje się przedpokój, w którym damy przy pomocy lokai nakładają futra).

Rosenkranz. Pozwoli hrabina, że jej powiem: moje uszanowanie!

Marta. A ja odpowiem: dowidzenia, panie.

Rosenkranz. Rosenkranz — tak, tak, Rosenkranz!

Eleonora (do Marty). Au revoir, mon ange! Połóż się wcześniej—jesteś toute abattuce — potrzebujesz spoczynku. Dowidzenia, kochana kanoniczko!

Haden. Przybędę jutro na repetycyę wraz z Jerzym... chociaż mnie nie prosisz.

Eleonora. Och! jestem zachwycona! (na stronie). Nieznośna gadzina!

Haden (na stronie). Bezczelna kokietka! (do Marty). Maciu, trzeba coś zrobić z tą figurą.

(Pokazuje na Mazamowskiego).

Marta. Ach, prawda! Ten baletnik.... Trzeba go wyprawić.

Haden. Ja to zrobię. (Głośno). Pan Mazamowski zapewne także pragnie się oddalić... Żegnamy!

Mazamowski (z ukłonami zbliża się do Marty i ujmuje jej rękę, na której składa pocałunek). Pani hrabinie należny hołd i szacunek!

Marta. Pan dziś jeszcze zajęty?

Mazamowski. Tak, pani hrabino, robię złego ducha i króla morskich potworów w balecie „Meluzyna“. To moje najlepsze kreacye—ośmielam się powiedzieć.

Marta (j. w.). Nie wątpię... kto ma takie zdolności.

Mazamowski (z ukłonem). Och! pani hrabino! zbytek łaski! zbytek łaski!

Panna Zofia (do Kazia). Czy będziesz pan przy mnie siedział i na dzisiejszym raucie?

Kazio. To się rozumie! (na stronie). Już mnie nie złapiesz!

SCENA IV.

KANONICZKA HADEN, MARTA, JERZY, później MAD. LATOUR.

Haden. Szczęśliwa jestem, że sobie poszli. Nic mnie tak nie drażni, jak to bezsensowne paplanie tych wystrojonych kwoczek. Powiedz mi, Maciu, po co sprowadziłaś tę całą falangę?

Marta. Było to wyraźnem życzeniem hrabiego. Wiesz dobrze, moja ciociu, że on lubi się bawić a ja... lubię to, co mój mąż lubi. C'est simple comme le bonjour.

Haden. Zanadto mu pobłażasz. Wszyscy korzystają z dobroci twego serca. Jerzy powinien dostać od ciebie ostrą nauczkę za tę długą nieobecność i niewłaściwą podróż, jaką odbył bez ciebie, nie wiadomo, z jakich powodów.

Marta. Nie łaj go, ciociu. Skoro na progu domu spotkają go wymówki — zniechęci się jeszcze więcej. On już i tak zniechęcony.

Haden. Ależ, Maciu, źle mnie zrozumiałaś. Bądź pewną, że uczucia Jerzego nie uległy żadnej zmianie — kocha cię zawsze jednakowo.

Marta (z myślą). O, tak! kocha mnie zawsze jednakowo... Z tem wszystkiem pójdę zajrzeć do Maryanka. Nie byłam tam od południa, dziecko nudzić się musi. Małaszka była w złym humorze—może nie zechce je bawić.

Haden. Ty i dziecko psujesz niepotrzebnie.

Marta. Och, c'est plus fort que moi, ciociu! Czem jest dla mnie mój syn? To życie moje, to powód mego na świecie we-

getowania. Muszę go pieścić, muszę go kochać... to silniejsze nademnie!

(Jerzy powraca z przedpokoju).

Jerzy. Niema już nikogo. Sądzę, że mogę już zdjąć z siebie ten ubiór. Jakże moje panie sądzą: czy jestem piękniejszy en frac, czy en kiorczio?

Haden. Mój Orciu, mam z tobą pomówić o ważnych sprawach. Czy możesz mi poświęcić chwilę czasu?

Jerzy. Je suis tout avos ordres! (na stronie). Będzie coś mądrego! (głośno). Tylko spiesz się, cioteczko, bo za małą chwilkę je mesaure.

Haden. Nie obawiaj się — nie zabiorę ci wiele drogocennego czasu.

Mad. Latour (wchodzi z ukłonem). Moja Maciu, Maryanek płacze a Małaszka czegoś grymasi i nie chce zająć się dzieckiem. Kazałam jej dać cukierków, galarety a nawet wina — nie chce nic pić, ani jeść, tylko chmurzy się ciągle. Może ty co poradzisz, car je suis à bont de mes forces.

Marta. Idę... (do Jerzego). Wychodzisz prędko?

Jerzy. A l'iastant. Skoro się ubiorę. Przyjdę jednak, aby cię pożegnać.

Marta. Nie trudź się do mnie. Zastaniesz mnie tu z dzieckiem. Maryanek lubi

wieczorem bawić się w tym salonie. Urządzamy sobie rauty à notre maniére.

(Wychodzi z mad. Latour).

SCENA V.

KAN. HADEN i HR. JERZY.

H a d e n. Masz prawdziwą świętą za żonę.

J e r z y. Zanadto święta. Nie lubię takich sainte Nitouche. Zdaje się, że człowiek popełnia karygodny występek, zbliżając się do podobnej madonny.

H a d e n. Do pani Eleonory przystęp jest o wiele łatwiejszy.

J e r z y (z niecierpliwością). Och! i ty, ciociu, zaczynasz mnie nudzić swemi moralami. Proszę cię, nie doprowadzaj mnie do ostateczności. Nie wiesz i nigdy nie pojmiesz, do jakiego stopnia jestem rozdrażniony. Wszystko sprzysięga się na moją zgubę.

H a d e n. Na twoją zgubę! Spodziewam się; sam lecisz ku przepaści jak szalony, jak ćma do płonącej świecy... Od dziecka miałeś zawsze dziwne upodobanie nie myśleć o jutrze, byle dziś wesoło przeszło. Ileż razy później, podczas twych kawalerskich miłych dni, ratowałam cię z tych przepaści, w które sam dobrowolnie wpadałeś. Co wy-

pełniało dnie i noce całe? Gra, wino, miłostki i długi...

Jerzy (spokojnie). Co do tego ostatniego punktu, pozwól, moja ciociu, że winę przyjmiesz na siebie. Gdybym miał dostateczną ilość pieniędzy, nie robiłbym długów. C'est clair comme la lune.

Haden. Miałeś aż zbyt wiele—ale tobie nigdy nie jest dosyć. Sądząc, że życie rodzinne potrafi cię uspokoić, wyszukałam ci żonę.

Jerzy. Nie powinnaś się chwalić z takim wyborem.

Haden. Dałam ci dziewczynę młodą, piękną, uczciwą i z dobrego gniazda.

Jerzy. Co do owego gniazda, to jeszcze wielkie pytanie.

Haden. I cóż ty zrobiłeś z tem niewinnem a tak serdecznem dzieckiem?... Zgubiłeś jej życie brakiem uczucia i odpychającym chłodem, który ona aż nadto dobrze dostrzega. W swej bezmiernej szlachetności stara się pokryć twój egoizm i, zadając gwałt swemu smutkowi, odpłaca ci serdecznością za twą oziębłość. W kilka miesięcy po ślubie wyjechałeś nagle zagranicę, zostawiając Martę chorą i życia niepewną. Co robiłeś tak długo w Szwajcaryi? Dlaczego właśnie wybrałeś miejsce pobytu w Gmunden, gdzie bawiła pani Eleonora?...

Jerzy. Encore!

Haden. Tak! I mówić będę o tem ci ciągle, dopóki nie zerwiesz tego wstrętnego stosunku, który kompromituje cię w oczach świata.

Jerzy. Ach! mais je ne demande pas un'evel — dawno chciałem to sam uczynić, ale nie mogę.

Haden. Nie możesz? Powiedz raczej: „nie chcę"! Podoba ci się to życie brudu i kału, które pędzisz. Pani Eleonora należy także do komicznych akcesoryj takiego życia. Jerzy! Jerzy! kiedy nadejdzie chwila twego upamiętania?

Jerzy. Zkądże ty tak tragicznie spoglądasz na życie? Ty, ciotko, która do tej chwili brałaś to życie z tak wesołej strony?

Haden. Pozory cię zawodzą. Ja przeszłam wiele i przebolałam niejedno. Dziś śmieję się ze wszystkiego i ze wszystkich, ale tylko wobec ludzi, bo w gruncie mej duszy mam zupełnie inne zapatrywania. Dla mnie życie było ciężką i twardą szkołą... Zdawszy egzamin, śmieję się pozornie z przebytych mozołów, ale w rzeczywistości mam przechowaną całą pamięć lat minionych. Dla ciebie przecież pragnęłam stworzyć inny byt, egzystencyę odpowiedniejszą dla człowieka, mającego piękne imię i byt zapewniony. Ty wszakże roztrwoniłeś nie-

bacznie wszelkie starania moje, tak, jak roztrwaniasz bezustannie pieniądze, które ci dostarczam.

Jerzy (chmurno). To jedno jeszcze mnie zajmuje—nie powinnaś mi bronić tego.

Haden. Masz przecież syna i względem niego obowiązki. Winieneś mu zapewnić niezależność i to powinno cię powstrzymać choćby od... szulerki.

Jerzy (ironicznie). Ciotka jest w błędzie. Nie szuleruję nigdy—gram tylko. To różnica. Dowodem, że przegrywam zawsze. Mam tak zwaną piękną grę...

Haden. Ty szydzisz, Jerzy, kiedy widzisz mnie tak bardzo wzburzoną. Czy sądzisz, że nie wiem o tem szaleństwie. Pojechałeś do teścia z żądaniem usamowolnienia Marty i oddania jej pod twą kuratelę. Wiem, co to znaczy. Pragniesz napocząć sumę, którą wam zapisałam z warunkiem używalności tylko procentów.

Jerzy (gniewnie). Ach, voila assez! Tak, jeździłem do teścia, bo potrzebuję pieniędzy i to gwałtownie, natychmiast. W razie niespełnienia mych życzeń, zagroziłem separacyą i... dałem mu tydzień czasu do namysłu.

Haden. Jerzy! co słyszę!? A więc tak nizko spadłeś, że frymarczysz sobą, jakby towarem?! Nie rozumiem cię — od zmysłów

odchodzę, słysząc takie potworne słowa. Wychowałeś się w Tarnopolu — ojcowie czuwali nad tobą, miałeś w koło siebie najzacniejsze i najpiękniejsze przykłady. Któż winien temu, co się stało? kto?

Jerzy (po chwili, ponuro). Ty, matko!

Haden (słabo). Matko!...

Jerzy. Czy, sądzisz, że nie wiem, jaki jest prawdziwy węzeł, który nas łączy? O! podrostkiem zaledwie już wiedziałem o swem dwuznacznem pochodzeniu i bolałem nad niem. Nie mówię ci tego, aby robić jakieś wyrzuty — nie, wcale. Sądzę, że byłaś dość nieszczęśliwą a pozorna przysługa, którą ci oddała twoja siostra i szwagier, musiała cię kosztować wiele bólu i przykrości. Ale stało się i tego zmienić nie było podobna. Dziś jednak niesłusznie rzucasz na mnie kamieniem, że żyję nad możność i nad stan. Przyzwyczaiłaś mnie do tego, psułaś od dzieciństwa, robiąc ze mnie swe własne bożyszcze i cherubinka salonów. Dzieckiem rozrzucałem już pieniądze — czyż teraz powinnaś się dziwić, że te dłonie, przyzwyczajone do złotego deszczu, mimowoli wyciągają się w stronę pieniędzy i pragną ich jaknajwięcej. Nie nauczyliście mnie praktycznej strony życia. Po co? na co? Niech się bawi! Gdy wyszumi, ożenimy go—ustatkuje się. I zaczęto mnie żenić.

(Z wzrastającą goryczą). Ale z mojem dwuznacznem pochodzeniem trudno było o odpowiednią partyę. Znaleziono suchotnicę anielsko dobrą, ubrano ją w zapis i dano mi na życie. Ach, naprawdę c'est bien dîole, taka kombinacya, której ofiarą pada wolność i szczęście ludzkie! Byłem w twych rękach, matko, manekinem, którym obracałaś wedle woli; oddałaś mnie do Tarnopola, wysłałaś do Monaco, ożeniłaś... bardzo dobrze! Prowadź mnie tak dalej—już ja woli swej mieć nie będę i nie chcę, tylko zagłusz we mnie wszystko brzękiem pieniędzy — Niech ten dźwięk pokryje każde moje pragnienie i twoje sumienie, matko, jeśli się kiedyś obudzi.

Haden. Moje sumienie jest czyste. Starałam się żyć tylko dla twego dobra.

Jerzy. Być może.... (zmieniając ton). Idę przemienić suknie. Jadę na raut... Żegnam cię, ciotko.

(Wychodzi).

SCENA VI.

KAN. HADEN, MARTA, MAŁASZKA.

Haden (sama, po chwili). Czyż byłaby prawda to wszystko, co on powiedział? Dzia-

łałam w najlepszej wierze. Nie sądzę, aby była w tem moja wina. Wychowywałam Jerzego, jak wszyscy młodzi ludzie z naszego świata byli wychowywani. W czem tu zawiniłam? Boże, mój Boże!

(Wchodzi Marta i Małaszka z dzieckiem).

Marta (do Małaszki). Tak! usiądziecie sobie tu na sofce i będziecie się bawić ze mną. Tylko, moja Małaszko, proszę cię, nie dawaj dziecku albumów z fotografiami, ani tych książek z rysunkami. Podarło je zupełnie.

Małaszka (siadając na kanapie). Proszę pani hrabiny, to nie przezemnie. Maryanek chce a dziecku dać trza, co się należy, bo inaczej się rozkrzyczy.

Marta. To ty przynajmniej uważaj. (Do kanoniczki). Co ci to, ciociu? Płaczesz?

Haden. Ależ nie! mylisz się. Nie płaczę wcale. Oczy mnie bolą — przytem mam migrenę. Jeśli nie masz nic przeciw temu, pójdę do swego pokoju.

Marta. Ja cię odprowadzę (do Małaszki). Ja zaraz powrócę. Pa, Maniusiu, pa! A uważaj, Małaszka, żeby Maniuś nie spał— proszę cię! Pa! synku! ja zaraz powrócę.

(Wychodzi z kanoniczką).

Małaszka (sama z dzieckiem). Ot tobie raz! Pa! pa!—ale detynę na ręku pono-

sić, to nie, bo ciężko, bo nie udźwignie! (do dziecka). Cicho, ty projawo jedna! Jak nie będziesz milczeć, to cię uduszę! (wstaje z kanapy). Pan hrabia jest, poznał mnie. Czemu poznać nie miał, przecież w krasę bogata. Mnie się zdaje, że ja powiększałam trochę (patrzy w lustro). Ot, buty już się nie świecą, trza pani powiedzieć, coby drugie kupić kazała (do dziecka). Ty odmino, siedź tam, bo zlecisz! Hrabia taki przyjść tu musi — nie dziś, nie jutro — a przyjdzie. Ot, ty, Małaszka, rozum miej a głowę hardo noś! Ty szalała—a on cię cisnął, ta w świat poszedł; niechaj teraz on ci się pokłoni a ty przez plecy patrz, ta patrz!

SCENA VII.

MAŁASZKA, LAWDAŃSKI.

Lawdański. Sama jest. Dobra chwila. Teraz powiem jej — nie zechce, to sama będzie winna. Niech ją spotka. (Głośno). Małaszka!

Małaszka (z godnością siada na kanapie). A, to pan Lawdański—za czem?

Lawdański (hardo). Zawsze za jednem! Ty, Małaszka, nocką uciekła ze wsi— i męża i dziecko cisnęła. To nic! Ale cze-

mu ty mnie cisnęła—mnie, com cię tak umiłował?

Małaszka (gwałtownie). Ty jeszcze mi zawodzisz, przeklęty nędzaku! Ja ciebie, ani Julka, ani całego sioła znać nie chcę! Słysz!

Lawdański. Ty wracaj do wsi, do sadyby! Wracaj dziś zaraz, ja cię zawiozę.

Małaszka. Ty się wściekł? Ja służbę rzucić? Patrzcie go! Patrz, ty durny a oczy wypatruj! jakie u mnie buty a jakie korale a ten krzyżyk to złoto — a ot, pierścień jaki! I ja miałabym od tego wszystkiego odstać! Ty niesamowity!

Lawdański. Ty wiesz, że mnie nazad wracać trzeba do służby. A potem, choćbym tu dla ciebie został, to ja nie chcę, byś tu była, ot... rozumiesz! nie chcę!

Małaszka. A to wertki—no! no! Tobie pan hrabia nie w ład? No, ty prawdę masz, ale już tak musi być, znasz?

Lawdański. Nie, tak nie będzie! Ty wrócisz! ty musisz wrócić! Ja na ciebie sposób mam. Ty się nikogo nie boisz na świecie, ale ja rozum mam i ze sobą kogoś przywiodłem, co cię weźmie jak swoją...

Małaszka (przerażona). Ty? ty przywiodłeś? kogo?

Lawdański. Kogo? Julka, twego męża!... No! śmiej się teraz jak puszczyk, śmiej się po swojemu. Ja Julka na kolej wziął, bilet mu kupił, ta przywiozł i tu go skrył. U mnie groszy dość jest, ja go przywiódł i trzymać będę wedle potrzeby. On nad tobą władzę ma i radę sobie z tobą da. No cóż? wracasz sama ze mną? mów?

Małaszka (po chwili). Nie!

Lawdański (wściekły). Zostajesz?

Małaszka. Ostaję!

Lawdański (j. w.). Ty się go strzeż! on ci złe uczynić może—on już całkiem niesamowity. A ja mściwy! ja go puszczę jak psa wściekłego, niech z tobą robi co chce... Będzie z tobą źle... będzie źle, ty przeklęta wiedźmo!

(Odchodzi trochę wgłąb).

Małaszka (sama na środku sceny). Wraże syny! wraże syny!...

SCENA VIII.

MAŁASZKA, JERZY, LAWDAŃSKI.

Jerzy (wchodzi we fraku). A! Małaszka... dobre spotkanie... Zbliż się tu, Małaszka. Gdzie pani hrabina?

Lawdański (wysuwa się pomiędzy Jerzego i Małaszkę). Jaśnie pani jest u starszej pani, zaraz powróci.

Jerzy (niezadowolony). Co tu robisz? Odejdź! Każ, niech Juob zajeżdża.

Lawdański. Zaraz, panie hrabio! (do Małaszki). Zostajesz?

Małaszka. Ostaję!

Lawdański. Na marne skończysz!

(Wychodzi).

Jerzy. Małaszka, czego ty się chmurzysz? Gniewasz się, czy co? (Małaszka stoi chmurna i nic nie odpowiada). Tyś tam na wsi była całkiem inna. No, spojrz się na mnie po dawnemu i roześmiej się tak, jak ty to umiesz.

Małaszka (chmurno). Ja się śmiać zabyłam a na pana patrzeć nie chcę.

Jerzy. Czemu?

Małaszka. Bo od patrzenia w słonko oczy bolą. Po co mnie oczy boleć mają?

Jerzy. Jesteś bardzo zabawna! Drożysz się, jak księżniczka. (Na stronie). To na mnie w szczególny sposób działa.

Małaszka. Pan hrabia jest dla siebie więcej jak pan hrabia—a ja dla siebie więcej jak kniaziówna. Ot co!

Jerzy (przysuwając się ku niej). Ty i dla mnie więcej jak każda kniaziówna... (na stronie). Elle est bien dîole.

Małaszka (patrząc mu zalotnie w oczy). Bo urodę toć królewską mam... Pan hrabia pewnie już nie wie, jak ja wyglądam. Niech się pan napatrzy a potem mnie w spokoju zostawi.

Jerzy. Kiedy ja cię w spokoju zostawić nie chcę i nie myślę (na stronie). O! elle m'agace, to dziwne!

Małaszka. Ostawił mnie pan raz — ostawi i drugi.

Jerzy. Ach! o to chodzi! Ale przecież zabrać cię z sobą nie mogłem.

Małaszka. Mniejsza! Ja ta nie płakała. A że tu przyjechałam, to nie przez tęsknicę, ani przez żałość; ot, tak padło i niech będzie tak.

Jerzy. Więc nie tęskniłaś za mną?

Małaszka (głosem puszczyka). Ha! ha!

Jerzy. Ale ja cię zawsze lubię, Małaszko!

Małaszka. Wy więcej lubicie tę panią Loorę, co to ma żółty łeb i wyprawne oczy. Ot, ta do miłowania! Stare to i brzydkie...

Jerzy (śmiejąc się). Ależ ja ciebie wolę.

Małaszka. Takie mi wolenie, bo jej niema. A jakby była i na was teraz zawołała, tobyście za nią pognali a na mnie nie spojrzeli.

Jerzy (do siebie). Jaka dziwna ambicya w tej chłopce! C'est extraordinaire! (głośno). Miałem jechać do niej, ale teraz zostanę w domu. No, cóż? cieszysz się?

Małaszka. Obaczę. Wielkiej ta znów uciechy mi sobą nie robicie — ale jak wola, to ostańcie...

Jerzy (przyciągając ją ku sobie). No, ale teraz nie chmurz się i bądź taka, jak dawniej.

Małaszka (podając mu usta do pocałowania). O! paniczu!...

(Całują się gorąco; ona wydziera się pierwsza, odskakuje i staje znów chmurna i gniewna).

Jerzy (do siebie). Ta kobieta dziwni całuje. Cały płonę i drżę, jak student. To głupie!

Małaszka (patrząc na Jerzego, do siebie). Ha! wraży syn! wziął lep! Niech mu na pohybel idzie!

Jerzy (roznamiętniony). Czegoż uciekasz? Chodź!

Małaszka. Ostawcie mnie!

(Bierze dziecko na rękę i zasłania się dzieckiem).

Jerzy (odsuwając się). To szatan, nie kobieta!

SCENA IX.

MARTA, MAD. LATOUR, JERZY, MAŁASZKA.

Marta. Biedna ciocia! jakaś nieswoja... Nie mogę pojąć, co jej się stało. (Do Jerzego). Zdaje się, że Piotr już na dole czeka.

Jerzy. Niepotrzebnie, już nie pojadę.

Marta. Zostajesz?

Jerzy. Tak.

Marta (z nieśmiałą radością). O, to ślicznie, to bardzo dobrze z twej strony! Spędzimy ten wieczór z naszym Maryankiem Mizel, moja droga, powiedz, niech Piotr odjeżdża. Pan dziś nigdzie nie wyjedzie. A! niech nam tu podadzą herbatę i niech na kominku zapalą. Będzie weselej.

Mad. Latour. Dobrze, moje dziecko! Nie zapomnij o lekarstwie; za pół godziny zjawię się z flaszeczką.

Marta (j. w.). Dobrze, dobrze!

(Mad. Latour odchodzi, Małaszka także chce odejść).

Marta. Zostań, Małaszko; Maniuś będzie bez ciebie płakał (do Jerzego). Nie przeszkadza ci? Może zostać?

Jerzy (obojętnie). Niech zostanie; dla mnie to wszystko jedno!

Małaszka (wściekła, na stronie). Brochuń!

Marta (do Małaszki). Usiądź, Małaszko, bo tak dziecku bawić się niewygodnie. Możesz usiąść na dywanie... o, tak! Maniuś przy tobie. (Małaszka siada na ziemi i sadza dziecko). Cóż, dobrze wam tak?

Małaszka (hardo). Nizko!

Marta. Weź kanapkę—o, tę, która stoi koło pana; zbliż się śmiało — pan ci nic złego nie zrobi. (Do Jerzego). Żenujesz ją; nie uwierzysz, jaka to dziwaczna istota! Harda, dumna, ale nieskalanie uczciwa.

(Wchodzi lokaj i zapala ogień na kominku).

Jerzy. Oho!...

Marta. Ależ tak! tak! Dla mnie to prawdziwy skarb taka kobieta. Mogę jej dziecko bez trwogi powierzać. A przytem, jaka piękna... Spójrz, proszę cię, Orciu, jaki to kształtny profil—a oczy!...

Jerzy (z udaną obojętnością). Laisse donc, wiejska prostacka twarz... nic więcej.

Marta. Ale mylisz się—przeciwnie.

(Chwila milczenia).

Jerzy. Czy napisałaś do ojca list, o który cię prosiłem?

Marta (cicho). Nie jeszcze.

Jerzy. To źle. Ojciec postępuje nieprawnie—raz temu trzeba koniec położyć...

(Chwila milczenia).

Marta (do Małaszki). Podaj dziecku zabawkę; widzisz, jak rączki wyciąga... Czy chcesz, aby ci urządzić weczorynkę?

Małaszka. Jak jaśnie pani wola.

Marta (wstaje i gasi świece w kandelabrach). Teraz już jest dość ciemno. (Do Jerzego). Nazywamy to wieczorynką. Ogień na kominku tylko nas oświeca, my siedzimy prawie w cieniu a Małaszka opowiada bajki. Czy chcesz, aby nam teraz opowiadała?...

Jerzy. Owszem—to będzie przynajmniej oryginalne.

Marta. Proszę cię, Małaszko, opowiedz nam cośkolwiek. Mów śmiało, pan się nie będzie śmiał z ciebie... Pan bajki bardzo lubi...

Małaszka. Jak każecie...

(Staje tak, że pada na nią żar kominka. Jerzy naprzeciw patrzy na nią uważnie. Marta bierze dziecko na kolana i siada obok Jerzego).

Małaszka (deklamuje przy akompaniamencie orkiestry):

Czemu ty, biała hołubyno,
Tak od ziemi się odbiła?
Czemu, mała ty ptaszyno,
Tak sokoła polubiła?
Ha! ha!

Sokół weźmie w swe pazury,
Przyhołubi, ta pobawi,
Potem ciśnie na rozputij
I bez żalu cię ostawi.
Ha! ha!

Wernuś się do ziemi hyżej,
Pokąd jeszcze cię nie zmanił.
A cur jemu za zmanienie!
A pek jemu, że ostawił!
Ha! ha!

(Ostatnie słowa mówi, patrząc na Jerzego. Akompaniament orkiestry cichnie, flet gra sam).

Małaszka (słucha chwilę, potem krzyczy z przestrachem). Julek!

Marta (zrywa się). Co to jest, Małaszka? Co ci się stało?

SCENA X

CIŻ SAMI, MAD. LATOUR, później LAWDAŃSKI i JULEK.

Mad. Latour. Ach, Maciu!... nie wiem sama, jakby ci to powiedzieć... Na dole jest mąż Małaszki, ten Julek, którego tak bardzo lubiłaś... Chce koniecznie tu wejść i widzieć się z tobą. Prosi, by go puścili do panienki. Jest bardzo mizerny i zbiedzony. Mówi tak niewyraźnie... Nie chcieli go wpuścić, dopiero Lawdański zlitował się nad nim i wziął go do kredensu. Teraz siedzi na progu i gra. Przyniósł z sobą swój flet i gra tak, jak na wsi wieczorami pod kredensem grywał.

Marta. Julek? Zkądże on się tu wziął?

Jerzy. Prawdopodobnie koleją, jak inni. Zapewne chce, ażeby mu za żonę zapłacić. Bardzo słusznie. Trzeba to uskutecznić. Niech Małaszka pójdzie i zapyta go, czego chce.

Marta (żywo). O, nie! Mógłby ją jeszcze namówić do powrotu—a ja tego nie chcę. Ona mi tu potrzebna.

Małaszka (przysuwając się do Marty). O, jaśnie pani!

Marta. Nie bój się, przemocą cię nie weźmie. Trzeba zapytać, czego chce i odesłać go czemprędzej. Jeżeli potrzebuje gospodyni — da mu się pieniędzy, niech sobie wynajmie. Tylko niech idzie dziś jeszcze... Moja mizel, pójdź do Lawdańskiego i powiedz, aby go tu zaraz przyprowadził. Muszę się z nim widzieć i rozmówić — winna mu jestem wiele.

Mad. Latour. Tylko się tak niepotrzebnie nie egzaltuj. Cała jesteś jak w gorączce.

Marta. Jakże chcesz?... Pomyśl tylko, coby się z Maniusiem stało, gdyby ją zabrano?...

Małaszka (udając płacz). Detyna-by zmarniała... i ja bez niej także.

(Latour wychodzi; flet milknie).

Jerzy. Pozwolisz, że się oddalę?

Marta. Proszę cię, zostań; ten chłop rozgoryczony może stać się zuchwałym. Obecność twoja go pohamuje.

(Lawdański wprowadza Julka. Julek jest obszarpany, brudny, bosy. Włosy w nieładzie, głos zachrypły, w ręku fujarka i zawiniątko ze szmatami. Staje nieśmiało w progu i patrzy w ziemię).

Marta. Boże, jak on wygląda!

Lawdańśki. Pani hrabina pozwoliła go przywieść. On prosi, aby mu oddali żonę, bo i on i dziecko i dobytek marnieją bez niej. Pani hrabina każe Małaszce spakować rzeczy i powracać na wieś z mężem.

Marta. Czemuż on sam nic nie mówi?

Lawdańśki. On ze smutku mówić przestał (trąca Julka). Mów ty! Oto jaśnie panienka — ty chciał gwałtem do jaśnie panienki iść... Ot, jest! No, co powiedzieć.

Małaszka (na stronie). Dyabli syn! czorci syn!

Julek (nieprzytomnie). Jaśnie panienka? Nie! Ty mnie, Szmulu, tumanisz... to nie jaśnie panienka, tylko jakaś blada martwica... Ot, upyr prost! W lesie to takie martwice z za liści patrzą i jęczą, ta zawodzą...

Marta (cofa się). Co on mówi?

Julek (j. w.). Ja idę z wielką żałobą... idę szukać dla mego Stepanka maty, bo mu strasznie zatracona dola idzie... Niema ni żony w mej chatynie, ni szczęścia! Tu duża izba, ale ciemno. Ot, przepadnij a nie odszukasz ani żony, ani chustki pana hrabiego. Ach, to był dobry pan!... żonę mi wziął, ale za to i wstążek dał i korali na szyję nawiązał.

Jerzy (gwałtownie). Wygnać go! Lawdański! wyrzuć go natychmiast!

Lawdański. Zaraz, panie hrabio. (Do Julka, chwytając go i obracając w stronę Jerzego). Tam pan hrabia, ten, co ci Małaszkę wziął...

Jerzy. Wyrzuć go!

Julek (poznając Jerzego). Ha! to ty, panie hrabio?... (rzuca się ku Jerzemu, popchnięty przez Lawdańskiego). Ty wielki pan a ja tylko chłop, ale ja siłę mam! Ty mi żonę wziął, ja tobie życie chcę wziąć!... Ty mnie w serce się wżarł i ja twego serca chcę...

Jerzy. Lawdański! trzymaj go, to waryat!

Lawdański (udając, że Julka powstrzymać nie może). Rwie się! nie mogę utrzymać.

Marta (przerażona). Boże! co za scena!...

(Dzwoni gwałtownie).

Lawdański (popychając Julka w stronę Małaszki). Ot, Małaszka! patrz Julek, Małaszka!...

Julek. Zazulo, moja zazulo! (osuwając się na kolana). Ot, jest zguba moja — jest hołubyna serdeczna!... Chodź, Małaszka, chodź już do chałupy! Chodź, Stepanek płacze —

on za tobą zawodzi! Ja idę do stajni, jaśnie pan jutro do miasta rankiem jedzie... Ale ja cię nie zbudzę, nie!... Cukier masz — ja go ukradł, ale ja bez winy; to dla ciebie, zazulo, żeby ty się śmiała. Pan hrabia to ci wstążek dał i chustkę bogatą...

Jerzy (przerywa gwałtownie). Wyrzucić go! (do służby, która weszła przed chwilą). W tej chwili odwieźć go na kolej i wyprawić do wsi! Hieronim! ty go odwieziesz. Za kwadrans przyjdź do mnie po pieniądze na drogę.

(Lokaje chwytają Julka, który jest znów nieprzytomny).

Julek. Och, dobrzy ludzie! wy nie widzieli mojej żony? Ona tu stała taka harna i krasna, jak wtedy, kiedym ją zaswatał. Ale teraz już jej niema—ot tak... poszła nocką z chałupy! a ja idę szukać, szukać... Małaszka!

(Lokaje wyprowadzają Julka, który zatrzymuje się we drzwiach; na przodzie sceny Małaszka po lewej stronie, po prawej Jerzy, trochę głębiej Marta, oparta na m. Latour).

Małaszka (oddychając swobodniej). A!

Marta (podaje jej dziecko). Weź Maniusia i odejdź do mego pokoju.

Julek (spostrzegłszy dziecko, rzuca się ode drzwi, lokaje przytrzymują go). Stepa-

nek! ty tu?... Nie, Stepanek w chałupie spał co w tej cerkwi-by robił? To odmina! odmina! wiedźma podrzuciła swoje... Pek tobie, ty nieczysta gadzino! zgiń, przepadnij nie swoją śmiercią!... Niech ci wraża dola świeci—martwicą ty bądź!... Na pohybel tobie!... na pohybel!

(Marta zemdlona pada na ręce mad. Latour. Jerzy gwałtownym ruchem wskazuje Julkowi drzwi. Lokaje uprowadzają szamoczącego się Julka).

Koniec aktu czwartego.

AKT PIĄTY.

Pokoik zamknięty, jasny, wytapetowany; firanki przy oknach muślinowe. Troje drzwi w głębi po prawej stronie. Łóżko Małaszki czysto posłane, dywanik nad niem, koło łóżka kołyska, zasłonięta firankami i pękami wstążek. Na przodzie sceny maluchny stolik i cztery foteliki. Niedaleko olbrzymi koń na biegunach. Po drugiej stronie nizka sofa i miękkie dwa fotele. Pomiędzy drzwiami szafki do bielizny i półeczki z zabawkami. U stropu lampa niebieska zapalona. Łagodne światełko oblewa scenę. Na sofie śpi Małaszka i dziecko.

SCENA I.

MAŁASZKA, MARTA, MAD. LATOUR.

Marta (wchodzi na scenę w balowym stroju, za nią mad. Latour). Cóż tutaj tak

cicho? A! zasnęli oboje... Pst! mizel, nie trzeba im przeszkadzać.

Mad. Latour. Ja sądzę, że wypadałoby obudzić Małaszkę, niech Maniusia rozbierze i do kołyski ułoży.

Marta. Daj spokój, mizel, ona jest tak nerwowa od ostatniej sceny z tym nieszczęśliwym obłąkanym człowiekiem, że lękam się każdego silniejszego dla niej wstrząśnienia.

Mad. Latour. Bo też dziwnie przykra to była scena. Moja jest poczęści w tem wszystkiem wina. Prosiłam cię, ażebyś się z nim widziała. Nie przypuszczałam nigdy, że przyjdzie do takiej ostateczności.

Marta. Nie uwierzysz, jakie wstrząsające wrażenie wywarła na mnie ta klątwa, rzucona na głowę Maniusia. Gdy pomyślę, że ziścić się może, życie ze mnie ucieka. Na pohybel—to straszne słowo u ludu. (Po chwili). Czy ty wierzysz w moc przekleństwa? powiedz mi otwarcie.

Mad. Latour. Nie jestem wcale przesądna i tobie radzę nie przywiązywać zbytecznej wagi do tej sprawy. Nie zawiniłaś nic a tembardziej to biedne dziecko, dlaczegoż mielibyście cierpieć za winy niepopełnione?

Marta. Za winy niepopełnione... Otóż w tem tkwi zagadka! Voila le mot de l'enigme!... Nie przyszło mi nigdy na myśl, że ta kobieta, wyrwana z pod rodzinnej strzechy, pozostawiła pod nią dziecię i męża.

Mad. Latour. Wyrzuty, które sobie czynisz, są nieuzasadnione. Przecież przybyła tu z dobrej woli. Szmul zaręczał, że zgodziła się chętnie a nawet i teraz nie zdaje się tęsknić do swej rodziny. Przestań więc dręczyć się bez powodu i ciesz się z tak miłego wieczoru, jaki zamierzasz przepędzić.

Marta. Miły wieczór! O! moja mizel! najmilszą dla mnie chwilą byłaby ta, którą spędziłabym w tym pokoju w towarzystwie mego dziecka. Żaden z najsławniejszych artystów nie zdoła swą melodyą poruszyć tak mej duszy, jak to czyni mój Maryanek swym naiwnym szczebiotem. Chętnie zdjęłabym z siebie te jasne jedwabie i, włożywszy mój szlafroczek, urządziłabym sobie wieczorynkę z moim aniołkiem. Patrz, mizel, jak on cudnie piękny, jak niewinnie uśmiecha się w tem półsennem marzeniu. Powiedz, mizel, czy jest równie piękne dziecko na świecie?...

Mad. Latour (z uśmiechem). Każda matka mówi to samo.

M a r t a (klękając przed dzieckiem). O, nie! nie każda! Niewiele jest kobiet, któreby tak kochały swe dzieci. Jest to jakieś bałwochwalcze przywiązanie—coś, co stanowi mnie samą i przy życiu utrzymuje. W dziecku tem mam zamkniętą całą przyszłość moją, przez niego i dla niego istnieję!... To mój Anioł Stróż, gwiazda mojej smutnej, o! bardzo smutnej doli!...

M a d. L a t o u r. Z tem wszystkiem, trzeba Maniusia zanieść do kołyski a ciebie zaprowadzić do salonu. Goście za chwilę zjeżdżać się będą a i wielki artysta zapewne niedługo się zjawi.

M a r t a. Czy przyjdziesz wysłuchać koncertu?

M a d. L a t o u r. Nie. Gdy otworzę drzwi swego pokoju, usłyszę doskonale ową wiolonczelę. Wolę zostać przy dziecku.

M a r t a. Poczciwa! kochana mizel!

(Mad. Latour bierze dziecko i odnosi je do kołyski; przysuwa kołyskę do łóżka Małaszki i zaciąga będące nad łóżkiem firanki, tak, aby kołyska zakrytą została. Podczas następnych scen krytemi drzwiami wchodzi ktoś, zabiera dziecko i kładzie na miejsce dziecka odpowiedniej wielkości lalkę).

SCENA II.

TEŻ SAME i KAN. HADEN.

H a d e n (wchodząc). Domyśliłam się, że jesteś tutaj. Goście zjeżdżać się już zaczynają.

M a r t a. Idę do salonu (kaszle). Dziwna rzecz, jak się czuję dziś osłabioną.

H a d e n. Życie to, które pędzisz, jest zupełnie dla ciebie niestosowne. O! wiem, co mi odpowiesz... „Taka jest wola Jerzego“. Ale czyż ty nie masz własnej woli?

M a r t a (ze smutnym uśmiechem). Nie, ciociu. nie mam i nigdy nie miałam. Istoty tego rodzaju, jak ja, słuchają zawsze a nigdy nie rozkazują.

H a d e n. Jednak, gdy idzie o... życie.

M a r t a (żywo). Nie, ciociu! nie życie towarzyskie mnie zabija, to raczej kłopoty i zmartwienia są dla mnie trucizną... Wiesz dobrze, co jest głównym powodem smutnego rozdwojenia pod naszym dachem. Pieniądz i zawsze pieniądz.

H a d e n. Starałam się przecież zabezpieczyć wam przyzwoity i stały dochód.

M a r t a (wzdychając). Jerzy chciałby rozporządzać sam kapitałem.

H a d e n. Na długoby wystarczył!

M a r t a. Wiem o tem — a przecież z całego serca oddałabym mu te pieniądze, aby tylko spokój i szczęście zapewnić. Ojciec jednak nie chce nawet słyszeć o oddaniu tej sumy a powód tego oporu jest mi, niestety, aż nadto dobrze znany.

H a d e n. I ja się domyślam...

M a r t a (z nagłym wybuchem). O, ciotko! ciotko! jak ciężkie jest to życie! I gdyby nie dziecko...

H a d e n (chmurnie). Dziecko?—to także złudzenie... Nie licz nigdy na miłość lub wdzięczność dziecka. Dasz mu życie w mękach i bólu, później całą wiarę, nadzieję, miłość złożysz w tej istocie, która z krwi twej początek swój wzięła, zaprzesz się swego „ja“, oddasz duszę na podnóżek synowi, by rósł w sławę, szczęście i uśmiechy—a on ci za to kiedyś błyśnie w oczy szyderstwem i powie: „Twoja wina, matko, żem niegodziwcem; tyś mnie tak wychowała!“

M a r t a. Nie mów tak, ciotko... Gdyby to była prawda, jakiż cel miałabym w dalszem istnieniu?

M a d. L a t o u r (wraca do kołyski). Maniuś śpi—czy zbudzić Małaszkę?

M a r t a. Daj spokój, mizel; ty wiesz, że ona tego nie lubi—obudzi się sama.

Mad. Latour. Idźcie do salonu, ja z mego pokoju nad dzieckiem czuwać będę.

Haden. Czy Wolff przybędzie?

Marta. Obiecał swą bytność — posłaliśmy powóz. Jerzy był u niego, prosząc, aby nam nie odmówił.

Haden. Słuchać go będę z rozkoszą. Wiolonczela w jego ręku skarży się prawie ludzkim głosem. Chodźmy.

Marta (idzie ku drzwiom, po chwili wraca się i idzie do kołyski). Nie wiem, co mi jest—odejść ztąd nie mogę, jakieś złe przeczucie szarpie mi serce... Ach! dlaczego właśnie ten koncert dziś wypadł!

Haden. Cóż znowu? Maniuś nigdy chyba nie był zdrowszym i nie spał smaczniej... Nowy turkot powozu... znów ktoś przyjechał.

Marta (po krótkiem wahaniu). Nie wiesz, ciociu, czy Eleonora już przybyła?

Haden. O! ta jest zawsze najpierwsza. Widziałam ją w salonie rozmawiającą z Jerzym.

Marta (cicho). Z Jerzym!

Haden. Czy byłabyś zazdrosną?

Marta. Ja? Czyż mam do tego jakiekolwiek prawo?...

Haden. Jesteś żoną.

M a r t a. Prawda! Zapomniałam o tem! (kaszle). Chodźmy do gości. (Otula dziecko). Śpij spokojnie, mój skarbie! śpij spokojnie...

(Wychodzą).

SCENA III

MAŁASZKA, MAD. LATOUR, później LAWDAŃSKI. (Ta ostatnia porządkuje chwilę porozrzucane zabawki)

M a d. L a t o u r. Tak! wszystko teraz w porządku. Ta Małaszka jest strasznie niedbałą; ale cóż dziwnego! wszyscy ją tak psują, zacząwszy odemnie. Czegóż-bo się dla dziecka nie zrobi! Ciekawa jednak jestem, jak jej smakować będzie chleb razowy, gdy do domu powróci?... Przecież raz musi na wieś wrócić, bo całe życie piastować Maniusia nie będzie. Oj, będzież jej wtedy ciężko! nie chciałabym być na jej miejscu. Dziecko śpi. Pójdę troszkę do swego pokoju i dokończę Ponson du Terail'a. Zajmujący a powściągliwy — dobra szkoła! dobra szkoła!

(Wychodzi. Chwila pauzy).

M a ł a s z k a (przez sen rzuca się niespokojnie). Nie chcę wracać! zapomniałam

drogi... Ostawcie mnie tu... tu dobrze... dobrze...

Lawdański (wchodzi, niosąc na tacy kolacyę dla Małaszki. Stawia na stole, patrząc przez chwilę na uśpioną). Codzień ładniejsza a dostać jej ani weź! ani się zbliż! Ot, przez nią na wieś nie wracam, tylko przy tym dyabelskim hrabi siedzę i słuchać muszę, jak codzień nad ranem podchmielony wraca — a klnie, że znów się w karty zgrał... Oj, gdybym ja na jego miejscu był, to zdrowiabym nie szargał, pieniędzy nie marnował; a jakby mi takie szczęście (pokazuje na Małaszkę) pod bokiem było, tobym mu nie darował... O! nie darował!... Ona mnie wprost oczarowała, bo za nią chodzę jak cień! Ot, nawet jej służę, kolacyę sam przynoszę, aby tylko patrzeć i zagadać do niej... Hrabia też przystępu nie ma, bom sam słyszał, jak go odpędzała, ale żeby ja hrabią był, tożbym sobie z nią radę dał... Czego ona chce? na co ona czeka?

Małaszka (przez sen). Nie, Szmul, nie... tak ostawić sadyby nie można, po Julka iść trza. Idź Szmul! idź!..

Lawdański. Ot, sumienie ją je... To dziw... ona chyba we śnie tylko niby serce ma, bo tak na jawie to gorsza dyablica, gorsza upiora. I Julka się nie bardzo zlękła;

ot, stała jak kamień a tylko oczy się zieleniły...

Małaszka (przez sen z trwogą). Nie! nie! tam ogień... prost rzeka ognia!... To ten smolak, co spadł i za mną się wlókł... Jakiś człowiek... Puść mnie... nie szarp... Kto ty? kto ty? (budzi się z wysiłkiem i, wpatrując się w Lawdańskiego, krzyczy). Lawdański!

Lawdański. Czego wrzeszczysz? dziecko zbudzisz. Kolacyę ci przyniosłem.

Małaszka. Czego się ty tu przywłóczysz? Ja tobie zakazała, ty psie jeden!

Lawdański. Ty ze mnie psa zrobiła, bo ja taki nigdy nie był... Ja myślę, że dobrocią dojdę z tobą ładu. No cóż, Małaszka, nigdy nie będzie z nami zgoda?

Małaszka. Ty czorcie czubaty! Ty na mnie Julka nasłał i do pokoju go przed państwa przywiódł!... A taki pan hrabia wygnać go kazał — a jak pójdzie dobrze, to i ciebie pan wygna i jeszcze obić każe...

Lawdański (z tamowaną wściekłością). Ty, Małaszka, mnie nie dręcz! ty mnie panem nie strasz! Ja się ani pana, ani ciebie nie boję i jak ty na mnie tak napadać będziesz—ja z tobą straszny koniec zrobię...

Małaszka. Ha! ha!

Lawdański. Ty się jak puszczyk śmiej a taki ja tobie prawdę mówię... Ja

ze złej rodziny wyszedł. Matka za podpalanie trzy razy turmę odsiedziała a ojciec za zabicie w turmie zmarł.

Małaszka. Ja też lęku nie mam.

Lawdański. Nie kłam; ja przed chwilą widział, jakeś się we śnie ciskała i bała. Ciebie sumienie je!

Małaszka (czelnie). Za co ma mnie jeść?—ja nic złego nie zrobiłam.

Lawdański. Ty? Niech będzie tak. Ty nic złego nie zrobiłaś. (Po chwili). Słuchaj, Małaszka, co ty z panem hrabią zrobić chcesz? Choć ty go od siebie odpychasz — ja nie ślepy, ja widzę, jak ty mu wciąż pod oczy podchodzisz.

Małaszka (spokojnie). Ano tak... pod oczy podchodzę, aby na mnie patrzył wciąż.

Lawdański. I długo to będzie?

Małaszka. Boh wie!...

Lawdański. Powiedz ty lepiej „czort“, bo ty z Bogiem nie trzymasz. Ale ja teraz pojął, czego ty chcesz. Ciebie złość gryzie za to, że on cię ostawił i pojechał w świat, nie odwróciwszy głowy za tobą. Teraz ty go tumanisz, aby cię chciał... No, co?...

Małaszka (zimno). Może i tak!

Lawdański. Ale niech się tobie nie widzi, że on za tobą przepada. O pani ja

nie mówię, bo to prawie już trup jest, ale są inne, piękne, bogate panie, które go kochają i on je też kocha... a ty, durna, myślisz, że on bez ciebie schnie i za tobą zawodzi...

Małaszka (wściekle). Milcz! milcz!

Lawdański. Onby nawet ciebie już nie chciał, ja to wiem. On mi raz to mówił, jak późno w noc wrócił i jakem go rozbierał... Tak, tak! ty nie patrz na mnie jak waryatka — pan hrabia mi nieraz dużo opowiada a tajemnic przedemną nie ma. Pan hrabia mówił mi o tobie, żeś durna i brzydka a chcesz, żeby on przed tobą może jeszcze na kolana padał...

Małaszka. Ja durna i brzydka!...

Lawdański. Tak, tak!... Pan hrabia ciebie teraz znać nie chce—on ma już inne kochanki; ja wczoraj bukiet do teatru poniósł a do pani Eleonory też bukiet zaniósł. O, patrz (wyjmuje karteczkę z kieszeni). Ja umyślnie list przez drogę otworzył, przeczytał... a potem tej pani powiedział i listu nie oddał. Ja chciałem ci tę kartkę pokazać, bo choć ty czytać nie umiesz, to proś kogo, niech ci przeczyta a zobaczysz, czy Lawdański kłamie... Pan hrabia ma dosyć sobie równych, które... które mu wystarczą a takiej chamki, jak ty, to ma na raz dosyć...

więcej się w tę stronę nie obróci (daje jej kartkę). Na! weź! przekonaj się — zjedz to pismo, będzie ci na zdrowie... No! czego się ty teraz jak puszczyk nie śmiejesz? Bywaj zdrowa! Ja tu po zastawę jeszcze wrócę za jaki kwadrans (odchodzi ku drzwiom i wraca się). A nie zapominaj, com ci powiedział... Pan hrabia cię nie chce i ty to w uwadze miej. Chamka dla chama a wielka pani dla pana! Jak się namyślisz, to pamiętaj, że Lawdański zawsze na ciebie czeka i on to ci do nóg padnie... ale nie pan hrabia! nie pan hrabia!...

(Wychodzi).

Małaszka (sama). Ty mi do nóg padniesz, psie jeden? ty? Otóż nie ty, ale on, ale twój pan! wielki pan! jasny pan! On mnie nie chce, on za mną nie patrzy. Łgarstwo ten brechuń szczeka! Jak zechcę, jeszcze dziś pan mnie umiłuje... bo ja siłę złą mam i wiem, jak chłopów stumanić można. (mnie w ręku kartkę). Ha! wraży syn ten hrabia—co on tych bab ma... To pisanie do jednej!... Trza pani hrabinie na oczy cisnąć. Niech się dowie i tę babę wygna precz a psami wyszczuje. Ona tu przyjdzie jeszcze nocką zajrzeć do dziecka; tu papier położę... (kładzie papier na brzegu kołyski). Niech się dowie i ona (zasuwa firanki nad

łóżkiem dziecka i idzie na przód sceny, zdejmuje zapaskę, chustkę i rozpuszcza włosy). Ot tobie, panie Lawdański; ja pokażę, kto silniejszy, czy ja, czy te baby, co to tylko zęby suszą a jak na odpust zawsze wystrojone chodzą. Ja tylko prosta chamka, jak ty mnie zwał — a taki pan hrabia mnie już miłował i polubił... (idzie wgłąb i otwiera drzwi na korytarz, oświetlony à giorno i przystrojony kwiatami). Tędy te martwice idą a szeleszczą jedwabiem, aż chrzęści. Jaby też lepiej szeleściła, jakby się za mną taka płachta wlokła — jakby ja była taka pani. Ha! ha!... (W głębi korytarza ukazuje się Jerzy, z przeciwnej strony nadchodzi lokaj. Jerzy mówi z nim pocichu). Ot i on! (prostuje się i posuwa na środek drzwi). Wraży syn! psi syn! Pójdź! pójdź!

SCENA IV.

MAŁASZKA, JERZY.

Jerzy (w korytarzu spostrzega Małaszkę; patrzy na nią chwilę). Cóż ty, Małaszka, nie śpisz jeszcze?

Małaszka (sucho). Niech się pan hrabia nie stracha — toć mu jego wiedźm nie urzeknę, jak się na nie popatrzę. Ja nie czarownica.

Jerzy (j. w.). Ale owszem, jesteś czarownica, boś mnie oczarowała... (po chwili). Czy dziecko śpi?

Małaszka (usuwając się). Nie. Może pan hrabia zechce obaczyć Maryanka, ta pocałować?

Jerzy (wchodząc). Chętnie... (cokolwiek zmieszany). Gdzie dziecko?

Małaszka (sucho). Śpi.

Jerzy. Czemuś skłamała?

Małaszka. Bo tak!...

Jerzy. Cóż to znaczy „bo tak“?

Małaszka (odwraca się, patrzy chwilę hrabiemu w oczy i śmieje się sobie właściwym śmiechem). Ha! ha!

Jerzy (który drgnął mimowoli). Jak ty się dziwnie śmiejesz, Małaszko, aż przykro słuchać!

Małaszka. To niech pan hrabia nie słucha... Ja tak z maleńkości się śmiała a las mi odpowiadał. W lesie lisowyk siedzi i tak się śmieje — ja prost od niego się nauczyła.

(Chwila milczenia).

Jerzy (do siebie). Czuję, że mam wcale niemądrą minę; ale co tu począć z tą ko-

bietą, jak do niej mówić? Strasznie nieprzebłagana! (idzie do okna i otwiera je). To dziwna, jak jej upór mnie utrwala w raz powziętem postanowieniu! Czuję, że gdyby się zgodziła, nie miałaby dla mnie tego uroku—tak jak jest, bawi mnie to i drażni. Ça une repose po Eleonorze et tentes les autres. Mam już zanadto tych łatwych kokiet! (odwraca się od okna). Małaszka!

Małaszka (hardo). Czego pan hrabia chce?

Jerzy. Żebyś ty była inna dla mnie, taka, jak dawniej, tam na wsi, w sadzie... pamiętasz?...

Małaszka. Przepadło!

Jerzy, Nie, Małaszko, nic nie przepadło. Ty teraz jeszcze piękniejsza, to będę ciebie sto razy więcej kochał. Do wsi cię nie odeślę, zawsze tu zostaniesz a strojów ci nasprawiam, ile sama zechcesz...

Małaszka. Nie! wy już tak nie mówicie, jak pierwej do mnie mówili — tamto gadanie było inne i to inne...

Jerzy. Bo gdybyś chciała mnie posłuchać i przyjść na chwilkę do zielonego pokoju—wiesz, tam na górze, koło Hieronima tam mówiłbym do ciebie tak, jak wtedy, kiedy do sadu biegłaś i do nóg mi padałaś (zbliża się do niej). No! Małaszko, nie bądź

taka zła, bądź inna, uśmiechnij się raz i drugi—tyś taka śliczna, jak się śmiejesz! (obejmuje ją, ona stoi nieruchoma). Cóż? przyjdziesz?

Małaszka. Wy czasu nie macie. Tyle innych kobiet was miłuje a wy ich. Na Małaszkę czasu nie starczy.

Jerzy (z wzrastającą namiętnością). Ja ciebie wolę, jak tamtą; tyś zdrowsza, silniejsza, młodsza...

Małaszka. Aleście mnie ostawili z tą krasą i młodością, ha?

Jerzy (j. w.). A! nie mów ciągle o tem. No, cóż? przyjdziesz?

Małaszka (krótko). Nie!

Jerzy (przechadza się wolno po pokoju i zmierza ku drzwiom; nagle staje i mówi zmienionym głosem). Namyśl się — ja poczekam.

Małaszka. Myśleć niema co. Pan hrabia nie pomyślał, jak w świat szedł a za Małaszką głowy nie obrócił...

Jerzy (przypadając do niej, z wybuchem). Ty ciągle jedno mówisz!... Już raz zapomnij o tem i przestań siebie i mnie męczyć... Słuchaj ty! uśmiechnij się! Ja ci każę—ja twój pan, rozumiesz?

Małaszka (hardo). Ot tobie raz!... mój pan!... A kiedy ty mnie kupił — ty, panie nrabio?... Nie tak do mnie mówić trza... Może mnie jeszcze bić chcecie... co?...

Jerzy. Ty możesz do tego doprowadzić, boś harda, jak nikt na świecie!

Małaszka. Jak z kim.

Jerzy. No cóż, przyjdziesz?... Słuchaj! Idź zaraz — czekaj na mnie. Ja za chwilę wymknę się do ciebie; tam pomówimy, co z tobą dalej będzie. Nie pożałujesz...

Małaszka. Ani mi to w głowie cni!

Jerzy (rzucając się ku niej z najwyższą pasyą i namiętnością). A! niegodziwa żmijo, jak ty śmiesz!...

(Małaszka chwyta go za ramiona i chwilę patrzy mu w oczy; on, zmęczony, powoli osuwa się do jej stóp. Pozostają tak krótką chwilę — ona ciągle ręce trzyma na jego ramionach).

Małaszka (wybucha śmiechem). Ha! ha!... (po chwili). Teraz przyjdę!

SCENA V.

CIŻ i LAWDAŃSKI.

(Lawdański staje we drzwiach i, widząc hrabiego klęczącego u stóp Małaszki, stoi osłu-

piały ze zdziwienia. Małaszka odwraca głowę i patrzy tryumfalnie na Lawdańskiego. Jerzy, nie widząc Lawdańskiego, wstaje zmieszany).

Jerzy (do siebie). Zdaje się, że zrobiłem okropny nonsens. Ze znużenia tą głupią walką, osunąłem się mimowoli przed tą dziewką na kolana. Zgodziła się!... hm... cały urok stracony.... Dziwną mam naturę, bardzo dziwną... Zły jestem na siebie! (wychodzi powoli, nie patrząc na Małaszkę; w progu spotyka Lawdańskiego). Ty tutaj?

Lawdański. Tak, panie hrabio, księżna pani przybyła.

Jerzy. Księżna... a!...

(Wychodzi szybko).

Lawdański. Małaszka! co to było?

Małaszka (tryumfująco). Widział ty? widział ty?... On mnie nie chce? za mną nie patrzy? Ot tobie takie gadanie... a taki przedemną klęknął... klął... pan! hrabia!... Ha! ha!

Lawdański (gorączkowo). A ty co?

Małaszka. Ja?... (miarkuje się). Ta nic; manię, taj tyle!

Lawdański. Czy pewno?

Małaszka. Głupi ty! (po chwili). Lawdański! ja do ciebie wielką prośbę mam.

Lawdański. Czego chcesz?

Małaszka. Ja ci nigdy o nic nie gadała, ani od ciebie chciała... Ty mi zrób to a ja jeszcze tam z tobą pogadam... Ja nie taka zła, tylko czasem w sobie taką chorobę mam, co mnie ciska na ludzi jak wściekłą... (Lawdański postępuje ku niej). Tylko zdaleka stój!

Lawdański. No, powiedz, co chcesz?

Małaszka. Ty wiesz, Lawdański, że jak kto od małego do czego zwyczajny a potem nie dadzą mu tego — tęsknica ogarnia i aż go nosi, takby dostać tego rad... Lawdański, ty mi wódki daj!... mnie za wódką tęskno... słysz!

Lawdański. Tobie wódki niewolno.

Małaszka. Et! ty choć durny nie bądź! Co mi tam będzie! No! ty gądasz, że mnie miłujesz a nic dla mnie zrobić nie chcesz...

Lawdański. Ha, dobrze! niechaj! Ja tobie nic odmówić nie mogę. Przyniosę ci tę wódkę, ale ci tylko przez drzwi podam, bo na salony muszę iść.

Małaszka. Dobrze, dobrze!

Lawdański. A jakiej ty wódki chcesz?

Małaszka. Takiej, jaka u nas na wsi, prosta—ot, nasza hucułka.

Lawdański. Zdaje się, że stróż ma.

Małaszka. No idź, już idź! (wypycha go za drzwi i pozostaje sama; gorączkowo narzuca jedwabną spódnicę i chustkę na głowę). Pójdę! pójdę! Teraz wiem już, że ostanę tu na zawsze; jasny pan aż przedemną kląkł... co zechcę—robić będzie. Niech tak! niech tak! (nasłuchuje w stronę kołyski). Ta odmina znów hołosić zaczyna. Zaczekaj, hołubyno, będziesz spała—zrobię tak, jak u nas baby na wsi robią: dam mu wódki, niech śpi... Jakby wyć zaczął, mizel-by tu przyszła i zaczęła mnie szukać. A nużby mnie naszli... No, niech się napije!

Lawdański (wsuwa głowę przez drzwi i podaje Małaszce flaszkę z wódką). Na! wódkę weź. Dużo nie pij, bo to starka — innej niema. Wziąłem z kredensu. Jak sobie trochę odlejesz, butelkę schowaj, ażeby kto nie znalazł. Na! masz! tylko się nie upij!

(Małaszka bierze flaszkę z wódką, Lawdański znika. Za sceną słychać grę na wiolonczelli).

Małaszka (sama). Spieszyć się trza! Tak... teraz korale i niebieską striczkę. Ręce czyste mam. (Idzie do kołyski i przechyla się nad nią, obracając się plecami do publiczności). Ot tobie, hołubko! Na! pij! będziesz spać i ludzi krzykiem nie straszyć!

Nie chcesz? nie lubisz? Ot tobie! jaki mi jasny pan! Pij, pij!... U nas po chatynach to mołodyce het dzieci poją, żeby w nockę spały. Tak! tak! No, teraz dosyć ma! Już mnie szukać nie będą. Ot, już śpi... (kołysze chwilę kołyskę, później cicho posuwa się ku drzwiom). Pan pewnie już czeka — trza iść. A kto tak zawodzi? Czysto jakby ludzki głos. Tfu! co to za głos?

(Wybiega. Chwilowa pauza).

SCENA VI.

MAD. LATOUR wchodzi w nocnem ubraniu, z książką w ręku.

Mad. Latour. Wolff już gra. Z tego pokoju lepiej słychać—posiedzę tu chwilę. (Ogląda się. Gdzież Małaszka? Zapewne gdzieś wyszła. Chce się przyjrzeć strojom. Nic dziwnego—ją to zajmuje. Szczególniejsze upodobanie ma do strojów ta kobieta! (chwilę słucha). Rzeczywiście, gra pięknie! Ile czucia! ile rzewności w tej melodyi! (nadsłuchuje w stronie kołyski). Co to jest? jakieś stłumione jęki! Czyżby to Maniuś? (biegnie do kołyski). Boże! co temu dziecku jest? nieprzytomne! oczy w słup! ono ma konwulsye! Maniusiu! dziecino! Ależ

ono kona!... (dzwoni gwałtownie i wraca do kołyski). Co tu czynić, zanim doktór nadejdzie? głowę tracę... Co się to stało? gdzie ta mamka? Małaszka! Małaszka! (wpada lokaj). Biegnąć po doktora — dziecko bardzo chore! Iść do salonu, wywołać panią hrabinę; powiedz, że Maniuś umiera! (lokaj wybiega). Boże mój, co począć? Jakież dreszcze wstrząsają tem dzieckiem! Może trochę wody kolońskiej! Ale tu coś czuć — spirytus! Co to znaczy?

M a r t a (wbiega szybko; przerażona rzuca się do kołyski). Mizel! Maniuś! Co się stało? (wydaje rozdzierający krzyk). A! nie mam go już! nie mam! zabili mi go!

M a d. L a t o u r. Ależ, Maciu, nie rozpaczaj — to są zapewne chwilowe konwulsye. Posłałam po doktora—to przejdzie!

M a r t a (czepiając się dzwonka i dzwoniąc gwałtownie. Ratujcie! ratujcie! (do służby, która wchodzi). Biegnijcie po doktorów! wołajcie ich wszystkich! niech tu przyjdą! Powiedzcie, że dziecko me umiera! Idźcie!! O, ludzie! miejcie serce! mnie syn kona!!

(Służba wybiega).

M a d. L a t o u r. Maciu! spokoju! miej nadzieję...

Marta (w najwyższej rozpaczy). Nadzieję? Nie, mizel, serce matki się nie myli! Maniusiu! dziecko moje! otwórz oczy! spójrz na matkę — uśmiechnij się do mnie! Ja nic nie mam na świecie, prócz ciebie! Twój ojciec w tej chwili ze swą kochanką, uśmiechnięci, zapatrzeni w siebie, siedzą tam w sali balowej i nie wiedzą, nie myślą, że ja istnieję na świecie! I ty mnie opuszczasz? i ty odemnie odchodzisz? O! nie zostawiaj mnie tu samą, synu mój jedyny! Jam bardzo nieszczęśliwa! bez ciebie mi nie żyć, nie istnieć już więcej!

(Pada przy kołysce, opierając głowę o krawędź).

Haden (wchodzi szybko). Maniuś chory? co się stało? tak nagle? Był najzdrowszy.

Mad. Latour. Nie rozumiem, co się stało. Zostawiłam dziecko śpiące pod dozorem Małaszki. Gdy weszłam w godzinę później, zastałam dziecko w konwulsyach.

Haden. Gdzie mamka?

Mad. Latour. Nie wiem. Kazałam ją szukać.

Haden. Ach, ta kobieta!... Nienawidziłam ją zawsze! (do Marty). Maciu! dziecko moje! uspokój się! Ja sądzę, że w tem nie-

ma nic nadzwyczajnego. Lekarze za chwilę nadejdą.

Marta (zrywając się z ziemi). Dlaczegóż oni nie przychodzą? Czyż nikt nie ma Boga w sercu? Czy dozwolicie memu dziecku skonać?!

Mad. Latour. Może posłać po hrabiego?

Marta. Byle nie on! byle nie on! Ten człowiek zabija mi dziecko swojem spojrzeniem, tak jak mnie zabił! Nie wołajcie go! nie wołajcie go!

SCENA VII.

TEŻ SAME i DOKTORZY.

Doktór I. Dziecko podobno chore?

Haden. Zasłabło nagle. Sądzę, że to konwulsye.

Marta (nieprzytomna z bólu, czepia się doktorów). Panie doktorze, uratuj go, uratuj go! Jeśli potrzeba, weź życie moje i wlej w syna mego! Ja was osypię złotem, ja wam oddam moje brylanty, moje kosztowności—wszystko, co mam! (zrywa z szyi medalion a z rąk bransoletki). Macie! bierzcie! dajcie waszym żonom! córkom! Ja wiem, że to mało, ale ja mam więcej!

Doktór I. Zechciej się pani uspokoić. Przedewszystkiem musimy dziecko zobaczyć.

Doktór II (do kobiet). Proszę nam dopomódz. Zechciejcie panie odsunąć panią hrabinę i przytrzymać ją chwilę. Przeszkadza nam.

Marta. O, nie! Nie bierzcie mnie! Ja już będę spokojna, tylko niech wiem, że ono żyje, że jeszcze oddycha!

(Doktorzy pochylają się nad kołyską).

Doktór I. Ależ to dziecko jest otrute!

Wszyscy. Boże!

Doktór II. Najniezawodniej—i to wódką, mocną wódką!

Mad. Latour. Wódką?

Doktór I. Starą wódką. O! bielizna dziecka cała oblana, wydaje silną woń wódki. Olbrzymią dozą dziecko napojono (do drugiego doktora). Już kona!

Doktór II (cicho). Istotnie. Za chwilę skończy.

Marta (która z natężeniem śledziła ruchy doktorów). No i cóż? Prawda, że on jeszcze może być uratowany? Milczycie?... Dlaczegoż stoicie tak bezsilni — wy tak mądrzy i podobno silni wobec choroby?... A! dlaczegoż was dwóch tylko? Więcej ich, wię-

cej sprowadzić! Syn mój nie może umrzeć! Ja zapłacę! ja zapłacę!

Haden. Maciu! niezbadane są wyroki Boga!

Marta (gwałtownie). Bóg!—prawda, jest jeszcze Bóg nademną! Gdy wy jesteście bezsilni, On pokaże moc wielką, On mi dziecko powróci! (klęka). Boże miłosierny! nie dałeś mi nigdy szczęścia!—nie skarżyłam się przecież, dla siebie nie prosiłam Cię o nic. Wzięłam mój krzyż na barki i poddałam się Twojej woli, ale dziś ja się do Ciebie modlę, ja Ciebie zaklinam, żebrzę Twej litości. Nie bierz mi dziecka! niech ono nie kona! Zwal na mnie wszystkie nieszczęścia, ale oszczędź mi tego ciosu. Tyś wielki! Tyś mocny! Tyś Bóg! (po chwili). I cóż? ono kona? A! niema Boga! niema Boga!

Doktór I. Kto tu winien?

Mad. Latour. Gubię się w domysłach, zrozumieć nie mogę.

(Słychać graną na flecie piosnkę Julka—melodramat).

Marta. A! waryat miał racyę! powiedział: na pohybel ci! i na pohybel poszło mej dziecinie. Musiało iść, musiało!

(Służba powoli zaczyna napełniać scenę — wszyscy okazują smutek, kobiety klękają. Mad. Latour zapala gromnicę i klęka przy

kołysce. Wszyscy płaczą. Marta na klęczkach czołga się do kołyski).

Doktór II. Pod łóżkiem znalazłem flaszkę z wódką. Zapewne na tem łóżku sypia piastunka dziecka.

Wszyscy. Małaszka! Małaszka!

Haden. Gdzie ona? gdzie ona?

Wszyscy. Nie wiemy!

Lawdański (który wszedł przed chwilą, do siebie). Ha! teraz ją wygnają! (głośno). Chodźmy ją szukać.

Haden. Uwięzić ją!

SCENA VIII.

CIŻ SAMI i HRABIA JERZY.

Jerzy. Co słyszę? co się tu dzieje?

(Chce dostąpić do kołyski—Marta zrywa się i odtrąca go gwałtownie).

Marta. Precz od kołyski, precz!

Jerzy. Marto!

Marta. Jakiem czołem śmiesz pan tu przychodzić!? Czem jesteś dla tego dziecka, które w tej chwili odejdzie, aby nie powrócić więcej? Nie byłeś przy urodzeniu — nie masz prawa być przy śmierci! Byłam wdową a dziecko me było sierotą! Nie czułeś

syna żyjącym, nie ujrzysz go martwym, umarłym! Wracaj do salonu, baw twoje kochanki—a dziecku dozwól umrzeć spokojnie! Przy tobie nawet skonaćby swobodnie nie mogło!

Jerzy. Rozpacz cię unosi, Marto. Wszak jestem ojcem Maryana i mężem twoim.

Marta (j. w.). Prawa ojca straciłeś dawno—prawa męża nie miałeś nigdy. Zabierz moje pieniądze i pozostaw mnie z bólem moim. Będziesz dobrze zapłacony.

(Klęka przy kołysce).

Haden (do Jerzego). Małaszka w niepojętym dla nas celu straciła dziecko wódką.

Jerzy. Małaszka? A, niegodziwa! Oddać ją do więzienia!

Haden. Otóż ona! prowadzą ją!

(Głębią Lawdański i inni lokaje wprowadzają Małaszkę).

SCENA IX.

CIŻ i MAŁASZKA.

Jerzy. Posłać po policyę! niech ją w tej chwili wezmą do więzienia! Słyszycie?

Małaszka (wyrywając się, podchodzi do Jerzego, patrzy mu bystro w oczy i mó-

wi dobitnie). Słysz ty, wraży synu! Jak ty mnie do więzienia wsadzisz — ja powiem głośno, że ty moim kochankiem był! ja to wszędzie mówić będę. A jak z więzienia wyjdę—o! bo mnie puszczą, ja to wiem—to ja cię zabiję! zabiję!

Jerzy (zmieszany). To żmija! Boję się jej!

Małaszka. Ty to na uwadze miej!

(Obraca się do ludzi, którzy jej drogę zastępują).

Odstąpcie się! Pan hrabia każe puścić mnie!

(Ludzie się rozstępują. Lawdański jej zachodzi drogę).

Doktór I. Jakto, panie hrabio? puszczasz ją pan na wolność?

Jerzy (zmieszany). Ona to zrobiła bez złego zamiaru. Panie doktorze, na litość Boską, nie robić skandalu!

Lawdański (do Małaszki). Chodź! ty teraz moja! Ja cię do sioła zawiozę.

Małaszka (wybiegając). Precz, psi synu!

Mad. Latour. Nad tą niewinną duszą ulituj się Boże!

Doktór I. Umarło!

M a r t a. Dozwólcie mi skonać z nim razem!!...

(Pada zemdlona na ziemię. W głębi służba częścią klęczy, częścią stoi. Po lewej stronie kanoniczka Haden i drugi doktór, po prawej stronie hrabia Jerzy).

Koniec aktu piątego.

AKT SZÓSTY.

Scena przedstawia wolną okolicę. Wieś. Po lewej stronie od widzów brama wjazdowa pałacowa, trochę zniszczona, drewniana. Obok bramy chata Julka, koło chaty i za chatą drzewa ogrodowe. W głębi widać wieś i las. Po prawej stronie chata, porządniejsza znacznie od chaty Julka, ubrana pękami zieleni i białemi chustkami. Na scenie ciemno, w oknach chaty po prawej stronie bardzo jasno, u Julka ciemno. W głębi w chatach stopniowo zapalają się światła.

SCENA I.

Julek (sam; wychodzi z chaty, niosąc w ręku pęk szmat; wychodząc, przymyka drzwi i idzie wolno w kierunku pałacowej bramy). Cyt, cyt! biedniaszko! Śpij, hołubyno, ja zaraz powrócę. Trochę szmat wy-

piorę w tej sadzawce, co jest w dworskim sadzie. Do stawu za wieś daleko. Stepanek płakać może, albo go widma odmieni. Dziecka trza strzedz! trza strzedz! Może mi z chatyny uciec i samego zostawić! Samego! samego!...

(Zatrzymuje się koło bramy. Aron, Jankiel, Szmul, Ben, Dawid wchodzą z prawej strony).

Szmul. Spieszyć się! Teraz wszyscy na weselu w chałupie u młodej, służba też. Stajnia otwarta, Franz tylko dla niepoznaki założył. Wyprowadzić wszystkie!

Aron. Wszystkie? Ja miszlał, tatełe...

Szmul. Ty Aron nie myśl—ja za wszystkich myślę. A ferfluchte dame, pójdzie się teraz swojemu Bogu pomodlić. Ja jej wszystkie szkapy zabiorę za te krzywdy, co ona mi chciała zrobić! Bodaj ją pokręciło, te szejtewate!

Jankiel. Czego ty klniesz, stary, a krew sobie psujesz? Ty nie klnij, ale tej... pokaż, że Szmul, jak zechce, to i dworskie konie skradnie a ona sama ze swoim językiem zostanie.

Szmul (wściekły). Wona znów karaimów chciała na mnie nasłać. Nu, ja jej dam karaimy! Żeby moje wrogi we wszystkiem takie szczęście mieli, jak ja jej życzę!

Jankiel (do braci). Szmaty są? Trzeba dobrze nogi powiązać koniom, coby nie hałasiły.

Dawid. Szmaty są, bracie Jankielu, ale nie tyle, jak na wszystkie szkapy.

Jankiel. No, to kapotę zdejm a podrzej ją na części. (Dawid zdejmuje kapotę i chowa pod pachę). No! a teraz idźcie; ja poczekam. A niech wam Gott, a tate, pomaga!

Aron. Czego ty, Jankiel, nie chcesz iść z nami?

Jankiel. Ja nigdy z wami nie chodził, ja tu postoję. Gdybym z wami chodził, tobym chyba nie miał klepki. Po co chodzić, kiedy was jest dosyć?

Aron. Ty, Jankiel, wielki majuches... No, chodźmy!

(Idąc, spotykają Julka).

Dawid. To ten szejtewate!

Szmul. Usuń się, ty, Julek! My do dworu idziemy. Ty puść!

Julek. Ani weź — nie można! Jaśnie panienka umiera—koło drzwi trza stać a pilnować, coby tędy martwica nie wyszła...

Dawid. Das ist a interes... nimot die szejtewate won die bramkes... a sznel!

Szmul. Wird a lamentiren, wusy dues?

Jankiel (do braci). Weg! (zbliża się do Julka). Tak, ty Julek pilnuj dobrze, bo jaśnie panienka umiera. Ty sobie tu pięknie ze mną usiądź i wciąż na drogę patrz... Jak śmierć będzie po pannę szła, o, tędy (odprowadza Julka kawałek od bramy i wraca ku drodze; przez ten czas żydzi kolejno wchodzą przez bramę) to ty jej drogę zajdziesz i nie puścisz.

Julek. Ostaw mnie, Lawdański. Ja za nią już gnać nie będę, bo nigdzie jej nie najdę...

(Siada koło bramy).

Jankiel (na stronie). Trza z tym myszygene pogadać trochę — może posłyszeć, jak konie przez wodę wieść będą i wszystko będzie ferfał! (staje przy Julku). Za kim ty, Julek, iść nie chcesz?

Julek. Ty niby nie wiesz... Oj, Lawdański, czego ty mnie do reszty tumanisz?... Toż ona — ta moja serdeczna poszła, ta do tej pory nie wróciła...

Jankiel. Mówi o żonie. Nu, czemu to u nas żydów żony w domu siedzą a po świecie nie latają? Jak którą opęta, to pewnie przez goima—a tak, to niczem jej z domu nie wywleczesz. Czemu żona jemu uciekła a moja Trajne spokojnie w alkierzu sie-

dzi?.... Nu, nu, to jest wielkie pytanie! a grojse Frage!

Julek. Widzisz, Lawdański, jak się tam miesiąc kraje na niebie?... Będzie widna noc i wisielak znów wyjdzie z mogiły. Wyjdzie, ta stanie i w koło spojrzy, ta na mnie hukać zacznie.

Jankiel. Ty go widział?

Julek. Nie raz, nie dwa. Blady był, ot tak jak ty... O! taką głowę miał... Czego ty, Lawdański, tak się zmienił?... Ty jakoś inny był.

Jankiel. Ja nie Lawdański; ja Jankiel, ten, co pod lasem karczmę ma.

Julek. Ostaw mnie! Chcę spać! Głowa taka duża, prost jak beczka a z niej tylko ogień bucha... O! słup idzie w górę... iskra się rozpada, rozpada... leci na sadyby... Patrz! patrz! ona miała taki wzrok... skry tylko padały.

Jankiel (z litością). Biedny ty! U nas żydów nie miłuje nikt kobiety, ani ja swojej żony, ani stary swojej, ani Dawid Tołcy, ani Aron Gołdy. A przecież ja to sobie w myśli przedstawiam. To musi być wielka boleść taka boleść, to musi być ciężka krzywda taka krzywda!

Julek. Krzywda? Co ty mi, wisielaku, o krzywdzie majaczysz! Ja cię nigdy

nie ukrzywdził i zawsze na supiłce grał... Supiłka! ta moja... ta serdeczna... och!...

(Za sceną słychać wesołą muzykę i gwar, który stopniowo wzrasta).

Jankiel. Wesele nadciąga. Czy aby tamci sprawili się ze wszystkiem i staw przebrnęli? (Gwiżdże przeciągle. Po chwili z oddalenia dolatują dwa urywane gwizdnięcia). Już! No, teraz mnie iść na rozłóg. Ja dalej ich powiodę... (patrzy w górę). Ładna noc, jasna noc, królewska noc!

(Wychodzi wgłąb pomiędzy chaty i znika).

Julek (sam; kołysze ramionami, jakby miał uśpione dziecko na ręku). Cyt, cyt! Śpij dziecino... maty wróci — poszła patrzeć w sad; ja cię przyhołubię a ona korali na szyję nawiąże... Śpij! śpij!...

SCENA II

JULEK, UŁAS, SEMEN BOLACZKA, NAŚCIA PAZIORZYCHA, BENEDIA, OPANAS, KANDZIUBA, SEMEN, ZAZULA, ORCHIM, SYCZ, DŻENDZERA, MODANKA, PARASKA, WARKA, dziewczęta, parobcy, młodyce, gospodarze, dzieci.

Za wejściem dziewczęta stoją po jednej stronie, parobcy po drugiej. Warka przed rzę-

dem dziewcząt, Ułas przed parobkami. Drzwi od chaty Ułasa otwierają się i w nich pokazuje się rodzic Ułasa, niosący chleb i sól. Rodzice czekają na progu chaty.

Śpiew dziewcząt.

Pływała po miodzie czaszeczka,
Wiedzie nam młodą drużeczka,
Krasną, jako kwiat kaliny,
Wiodą nam młodą dziewczyny.

Śpiew parobków.

Pod lodem czaszeczka pływała,
Panna młoda dwóch zaswatała.
Dziś jeszcze ją weźmie ze sobą,
Ostanie bojaryn z żałobą.

Śpiew dziewcząt.

Pływała po miodzie czaszeczka,
Wiedzie wam młodą drużeczka,
Z jej sadyby wiedzie w twój próg,
Niechże was błogosławi Bóg!

Śpiew parobków.

Pływała czaszeczka pod lodem,
Spieszcie się z waszym pochodem,
Rodzice czekają w sadybie,
Matka chlebem i solą was zdybie.

(Wszyscy tańczą tropaka. Po tańcu ustawiają się parami).

Semen Bolaczka. Ot tobie raz! jak się to wszystko tłoczy, jak bydle na święto! Gnaj je w porządek, ono zawsze bokami wyłazi.

Naścia (pijana). Semen, ostawcie raz wasze przypowiastki a po ludzku gadajcie.

Semen. Powiedziała co wiedziała.

Modanka (do Warki). Czegoś taka zahołoszona?

Dżendzera. Puście — każda dziewka jak ją za mąż dają, to wyczytuje a zawodzi.

Orchim. A oczy to się jej jarzą, jak cerkiewne świece.

Parobcy. Tak, tak!

Paraska. Ot, że nie! To tylko siłowanie, bo każda woli siedzieć u rodziców, jak z chłopem na przepadek iść.

Orchim. I ty?

Parobcy (śmiejąc się). Ha! ha!

Warka. A to bochuny! Czego się śmiejecie?

Bolaczka. Cicho tam! Baba w gromadzie—kłótnia gotowa!

Parobcy. Tak, tak!

Modanka. Oj, jakie to wszystko skórki na buty! Myślałby kto, że warte zajrze-

nia — a to jedna w drugą jak rosochate lipy.

B o l a c z k a. Hodi już, hodi! Rodzice czekają.

N a ś c i a. Nu, młodzi, do pokłonów!

(Orkiestra gra przygrywkę poprzedzającej piosnki. Paraska i Ułas kłaniają się rodzicom trzy razy. Matka żegna ich chlebem i solą, poczem wszyscy wchodzą do chaty. Podczas sceny Julka, w chacie gra ciągle muzyka).

J u l e k (sam). Dużo ludzi było... po co przyszli? Wesele to, czy stypa? O! jak grają! Jeszcze mi Stepanka obudzą. Ha! ha! (zaczyna się śmiać przyciszonym głosem, poczem przechodzi w płacz spazmatyczny, dalej mówi coraz przytomniej). Grają! oj tak! i mnie przecież tak grali kiedyś... Aj daleko! daleko! ale grali ci, sieroto, grali! Boh mój, jak mnie głowa boli, jakaś inna... Ot, prost ogień mi z głowy to granie wyciąga! (pauza). A bór tak szumiał a drzewa hołosiły w krąg i wisielak słuchał a ja grał, grał, o tak... (dobywa z zanadrza fujarkę i powoli grać zaczyna. Gra długą chwilę, poczem z zupełną przytomnością wpatruje się w swoją chatę i, rzucając fujarkę, z okrzykiem boleści wybiega ze sceny. — Chwila pauzy).

SCENA III.

LAWDAŃSKI, MAŁASZKA.

Lawdański. No, jesteśmy wreszcie na miejscu; ale ty, Małaszka, jeszcze dobrze zważ, co ty czynić chcesz. Do Julka nie wracaj, bo z nim życia nie mozesz być pewną...

Małaszka (ponuro). Co robić mam?

Lawdański. Ja ci to już mówił, Małaszka, ale ty mnie słuchać nie chciała. Ja na tyle pieniędzy mam, że ze dworu odejść mogę i zabrać cię gdzieś w inne strony.

Małaszka (gwałtownie). Z tobą? nie!

Lawdański. Dlaczego?

Małaszka. Boś psi syn! Nie chcę cię!

Lawdański (hamuje się). Małaszka! ty ze mną tak teraz nie mów. Gdyby nie ja, byłabyś w więzieniu gniła. Pani hrabina cię łapać kazała, ja ledwo cię schował i wywiózł. Pan hrabia byłby cię nie obronił, bo ty była dla niego tylko sługą, niczem więcej. Ja cię z miasta wywiozłem i tum się za tobą przywlókł, ale to ci mówię, że teraz musi się raz z nami skończyć. Ja się tak więcej mordować nie będę.

Małaszka. Ty, żmijo, gadasz, coś mnie ratował? a kto na mnie Julka nasłał i chciał mnie zgubić? Ja w duszy złość na ciebie wielką mam i niech mnie czort porwie, jak ja ci to daruję!

Lawdański. Jeszcze ty do mnie przyjdziesz pod mój próg, jak cię Julek z chałupy wygna.

Małaszka. Pek tobie! to moja sadyba. Ja dostała od jaśnie pana, jakem z werczem do dwora chodziła. Ja ci pokażę, kto tu gospodarz!

(Idzie ku chacie Ułasa, bierze jedno ze smolnych łuczyw, zatkniętych za belkę i chce wejść z palącem łuczywem do chaty Julka).

Lawdański. Małaszka! ty oszalała! gdzie ciebie niesie?

Małaszka (po chwilowej pauzie). Do sadyby wracam, dziecko chcę obaczyć.

Lawdański. Dziecko? Ty tumanisz się tylko—dziecko dawno zmarło.

Małaszka (z przestrachem). Zmarło!

Lawdański. Ostawiłaś je samo waryatowi na ręce, to zmarnieć musiało.

Małaszka. Musiało!

Lawdański. Poszłaś do jasnego dziecka, bo ci się za dworem, za kochankiem majaczyło.

Małaszka (jak we śnie). Za kochankiem, za kochankiem...

Lawdański. Nie chodź do chaty — może cię spotkać nieszczęście. Lepiej idź ze mną.

Małaszka. I czemu dziecko zmarło?

Lawdański. Z głodu.

Małaszka. Łżesz!

Lawdański. Aha! łżę... Jakeś poleciała za hrabskiem dzieckiem, to twoje prosto zmarniało, bo Julek do dziecka niezwyczajny, zabiedował je.

Małaszka. Krowy nie miał?

Lawdański. E! co tam krowa! No, chodź, Małaszka; ty tu nie masz co robić. No, cóż stoisz jak głupia koło chałupy. Już nic nie wypatrzysz... Stepanek dawno w mogiłce—ty chodź!

Małaszka (odpycha go gwałtownie). Ja do chaty wracam! Ty precz!

Lawdański. Patrzcie—do chaty wraca! Jaka mi gospodyni! Już późno, ryb'ko, do chaty wracać..... Julek ci zwaryował, a dziecko na mogiłkach dawno gnije.

Małaszka. Ty łżesz jak pies. Dziecko musi żyć, bo po kiego czorta-by zmarło? Julka, kiedy niesamowity, z chaty wygnam na cztery wiatry — niech idzie na rozputaje

a dziecko ostanie przy mnie, bo to moje... słysz!

Lawdański. Gadasz za dzieckiem, jak suka szczeka za szczeniakiem. Ale nie tobie takie gadanie. Ty tu długo nie usiedzisz i znów na marne polecisz.

Małaszka. Odczep się, ty projawo jedna! Drogi mi nie zastępuj. Ja do swej sadyby wracam.

Lawdański (z wybuchem długo hamowanej namiętności). No! teraz już raz koniec z nami musi być... Ty mnie niby odpychała a tymczasem tumaniła i oczami ciągnęła. Ja za tobą jak cień się włóczę — a ty dobrze to widzisz. Lepiej ślepie sobie wypal a na mnie tak nie patrz, bo się stać może coś strasznego! Słyszysz, Małaszka?... coś strasznego! Ty mnie nazywasz projawą — to ty projawą na świat przyszła, tobie czort ogień w ślepiach zaniecił, żebyś ludzi ciągnęła na zaprzepaszczenie! Gdzie ty się ruszysz—tam nieszczęście, albo trup!

Małaszka (jak w szale). Trup! tak, trup! martwica!

Lawdański (coraz gwałtowniej). Ale i na ciebie koniec przyjdzie—i ty staniesz się martwicą, trupem tylko! Ty marnie zginiesz, tak jak na marne tyleś ludzi ciągnęła!... Słysz, Małaszka, ja ciebie raz jeszcze

pytam: czy ty chcesz być moją po dobrej woli?

M a ł a s z k a. Nie!

L a w d a ń s k i. Czemu?

M a ł a s z k a. Ty na mnie państwa wiecznie szczuł i Julka nasłał. Ja już taka z rodu jestem—ja nie zapomnę, o nie!

L a w d a ń s k i (z wybuchem). Ha! szalona! ty się sama w marny koniec prosisz! Ty sama mi w ręce leziesz, żebym cię zgniótł jak gadzinę! Ja mam dosyć takiego życia, ty czarownico jedna! Ja tak jak Julek nie pójdę włóczyć się i zawodzić... ja ciebie... zabiję!

M a ł a s z k a (patrzy chwilę na niego, potem spluwa pogardliwie). Lokaj!

(Wbiega do chaty, zabierając łuczywo).

SCENA IV.

LAWDAŃSKI, później JULEK.

L a w d a ń s k i. Lokaj!... Ha! wężu pohany! ja ci pokażę, co lokaj może! Julek zwaryował, jasny pan cię kopnął a lokaj... Ha! czerwono mi w oczach! w głowie huczy! krew bije jak młotem... Straszno mi... boję się siebie... Jakiś szatan mną szarpie... Będzie źle! będzie źle!

Julek (wchodzi wolno, ale dość przytomnie patrzy dokoła i zatrzymuje się przed chatą). Gdzie ja był?... w lesie?... a tak, w lesie. Po co ja chodził? po chrust? nie.. nie! chrustu po nocy zbierać nie można... (po chwili). To moja sadyba — widno w oknach! dlaczego? kto ogień rozniecił?... Tam przecie nie ostawiłem nikogo, nikogo!

Lawdański. Julek! to ty, biedaku?

Julek (patrzy chwilę). Nie wiem dobrze, kto ty. Ja cię znał, znał dawno już, ale mnie głowa boli i nie wiem, gdzie ja cię widział... Kto ty?

Lawdański. Lawdański.

Julek. A! to Lawdański!... (myśli chwilę, potem z nagłym wybuchem). Małaszka!

Lawdański. Wołaj jej, bo ona jest tu niedaleko, szuka dziecka a ciebie chce wygnać z sadyby.

Julek (z dziką rozpaczą, po raz drugi). Małaszka!

Lawdański. Jest tam, w chacie. Jak ją chcesz ujrzyć, wołaj ją dobrze — a wnet przyjdzie po to, aby cię dalej mordować. Julek, ty powinieneś skarać ją za twoją niedolę — ona ci dziecko zabiła, bo rzuciła go na śmierć pewną a sama pognała w świat jak szalona.

Julek (j. w.). Dziecko zabiła... tak... twoja prawda! ona dziecko zabiła!

Lawdański (gorączkowo). Ona i ciebie zabije jeszcze kiedy, aby sama się ostać i do kochanka wrócić. Ona ci nie daruje.

Julek. Dziecko zabiła, Stepanka zabiła, czarcia córka! Przeklęta! przeklęta!

Lawdański (gorączkowo). Ty litości nad nią nie miej, bo ona litości nad nikim nie ma. Jak tobie sił nie stanie, to ja ci pomogę—słysz! ja ci pomogę!

SCENA V.

CIŻ SAMI i MAŁASZKA.

Małaszka (wychodzi z chaty, trzymając łuczywo zapalone). Niema dziecka! (spostrzegając Julka). On! strach mi!

Julek (patrzy na Małaszkę i po chwili rzuca się do niej z wściekłością). To ty, czarcia córko!

(Chwyta ją za gardło i wywleka z chaty przed próg. Łuczywo wypada jej z rąk i wpada do sieni. Chwilę walczą z sobą, poczem Małaszka wtrąca Julka do chaty i zaryglowywa drzwi).

Julek. Boh mój, Boh! sił brak!

Lawdański. Nie zabił jej!

Małaszka. Uciekać trza!

Lawdański (zastępując jej drogę). Gdzie?

Małaszka. Puść—w świat iść chcę!

Lawdański. Aby ludzi manić i zaprzepaszczać? Nie pójdziesz już ty, przeklęta duszo!

Małaszka (wściekła). Ja ciebie zagryzę! ja ciebie rozszarpię!

(Chata Julka zaczyna płonąć).

Lawdański. Chcesz mnie miłować?

Małaszka. Rozpadnij się, ty czorcie!

Lawdański. Ha! już mi teraz nie wyjdziesz! Ja się już za tobą włóczyć nie będę! Ja ci te ślepie raz na zawsze zamknę i żar twój ostudzę!

Małaszka. Gore!

Lawdański (jak w obłędzie). I mnie w duszy gore.. Niech będzie czerwona na tej pogrzebnej stypie...

Julek (w płonącej chacie). Boh mój!

Lawdański (j. w.). Słysz, martwico! jeszcze jeden trup twój! jeszcze jeden się na ciebie skarży! Ale tego dość! Słysz — dość!

(Chata prawie cała w ogniu).

M a ł a s z k a (w trwodze). Czego chcesz wraży synu, czego chcesz?

L a w d a ń s k i (j. w.). Ja już teraz od ciebie nic nie chcę. Ty mnie sama od siebie odpychała — teraz ja ciebie pchnę, ale tak, że już nie wstaniesz. Idź w ogień! Niech ci się spalą twoje przeklęte oczy i ty cała—upiorzyco jedna!

M a ł a s z k a. Lawdański! Lawdański!

L a w d a ń s k i. Tybyś mnie miłować może już chciała... ale ja teraz ciebie nie chcę. Giń! przepadnij! spal się, ty ćmo nocna! Ja za to w turmie zgniję, ale z tobą skończę! (Chwyta ją wpół i całą siłą wrzuca w płomienie. Ona mu się wyrywa chwilę, poczem słabnie i pada w płonącą chatę. Pauza. Lawdański patrzy na ogień i po pauzie wybucha nagłym krzykiem). Małaszka! Małaszka! Ja ją spalił! ja ją spalił! A!... a!...

(Z krzykiem ucieka w las).

SCENA VI.

Z chaty Ułasa wybiegają chłopi.

W s z y s c y (z okrzykiem). Gore! gore!

S e m e n B o l a c z k a. Nasze sadyby się zajmą!

O p a n a s. Na strzechy wodę lać!

Naścia. Waryat podpalił! waryat!

Ułas. Moja chatyna się zajmie! Boh mój, jak iskry lecą!

Semen Bolaczka. W chacie musi ktoś być—jęczy ktoś...

Wszyscy. Julek!

(Pauza. Nagle rozlega się przeciągły śmiech Małaszki:

Ha! ha!

Wszyscy. Małaszka!

(Pożar rozszerza się zwolna na chatę Ułasa i zabudowania. Gromada rzuca się do ratunku).

Zasłona spada. Koniec sztuki.

ŻABUSIA

SZTUKA

w trzech aktach.

OSOBY:

BARTNICKI.
MILEWSKI.
MILEWSKA.
JULIAN.
HELENA.
MARYA.
MANIEWICZOWA.
FRANCISZKA.
NIAŃKA.
MAŁA JADZIA.

Rzecz dzieje się w Warszawie, w domu Bartnickich.

AKT PIERWSZY.

Scena przedstawia salonik umeblowany z mieszczańskim komfortem. Dużo japońskich wachlarzy i parasolek, po kątach porozpinanych. Zbiór rozmaitych małych garniturków. Nad kanapą na lewo wielka fotografia, przedstawiająca roczne dziecko w koszulce. Po obu stronach fotografie Heleny i Bartnickiego. Dużo cacek i drobiazgów ręką kobiecą wykonanych. Atmosfera ciepłego domowego kąta, kwiaty, pianino. Troje drzwi, jedno w głębi wiodące do przedpokoju. Widać tam lustro, konsolkę i szaragi. W chwili podniesienia kurtyny Bartnicki w domowej kurtce siedzi po lewej na fotelu i trzyma na kolanach Jadwinię uśpioną.

SCENA I.

BARTNICKI, później FRANCISZKA.

Bartnicki (kołysząc dziecko, nuci).

A! a! a! koty dwa,
Szare, bure obydwa.

(Przez drzwi z lewej wsuwa się Franciszka, trzymając kuryer).

Bartnicki (szeptem). A co tam?

Franciszka. Kuryer.

Bartnicki. Ciszej, bo mi dziecko obudzisz.

Franciszka (ciszej). Kuryer.

Bartnicki. Słyszę! połóż na stoliku! nie tu! nie tu, ciemięgo... tu leży pani robota. Ty przecie wiesz, że pani nie lubi, skoro się coś nie na swojem miejscu znajduje.

Franciszka (kładzie kuryer na krześle). Pewnie, że wiem.

Bartnicki. Nie tu!.. pani nie lubi, jak się gazety po krzesłach przewracają.

Franciszka. O, Jezu! jaki to pan kapryśny. Pan wszystkie kaprysy na panią zwala a wie się przecie, że kto dokuczy sługom, to pewnie nie pani, czysty anioł.

Bartnicki. No dobrze, dobrze! niech będzie, że to ja wszystkiemu winien (dziecko się budzi). Cyt! cyt! lulaj... Mama zaraz przyjdzie i cukierków Nabuchodonozorowi przyniesie.

Franciszka. A może niańki zawołać, żeby Buchozora wziena i do łóżka położyła?

Bartnicki. Nie trzeba! pani wychodząc prosiła, żeby panienka u mnie na ręku siedziała, to niech siedzi.

Franciszka. A to niechże siedzi.

Bartnicki. A nastaw samowar, bo pani

przyjdzie zziębnięta. I kup cytrynę, bo panią głowa bolała.

Franciszka. O! Jezu! a czemu też to pani w taką niepogodę poszła... jeszcze się biedactwo przeziębi.

Bartnicki. Mówiła mi pani, że jej przechadzka na ból głowy pomoże.

Franciszka. Mógł pan też był panią nie puścić... i zakazać chodzić w taką chlapaninę.

Bartnicki (patrzy przez chwilę na Frańciszkę i wzrusza ramionami). Ja? nie puścić? ja cokolwiek pani zakazać? co też Frańciszka wygaduje!

Franciszka. Nicem głupiego nie powiedziała... pani to czysty dzieciaczek a pan powinien umieć się z panią obejść...

Bartnicki (wyniośle). Niech Frańciszka idzie nastawiać samowar.

Franciszka. O jej! idę....

(Wraca się).

Bartnicki. Czego jeszcze?

Franciszka. Ano zapomniałam... szewc przyniósł od podzelowania te buty, co w nich pan do biura chodzi, to trza zapłacić.

Bartnicki. No to jak pani przyjdzie, to pani zapłaci.

Franciszka. Ano to dobrze!

(Wychodzi na lewo).

SCENA II.

BARTNICKI sam, później MANIEWICZOWA (ściemnia się).

Bartnicki. A! a!... koty dwa... Ściemnia się a Żabusia nie wraca. Już dziś nie pójdę na czarną kawę do cukierni, bo będzie zapóźno... szkoda... ciekawy jestem co się dzieje we Francyi. Czy Arton już przyjechał? Kto jest na liście panamczyków!... Ciekawe bardzo, jak Boga kocham!.. Żebym choć kuryera mógł przeczytać, ale boję się poruszyć, żeby się dziecko nie rozkrzyczało...

(Przez drzwi z lewej wchodzi Maniewiczowa, owinięta szalem).

Maniewiczowa (wesoło). Dzień dobry sąsiedzie!

Bartnicki (zażenowany). A!... pani daruje... ale moje ubranie domowe...

Maniewiczowa. Cóż znowu? sąsiedzi?... wszak pan widzisz, że i ja przychodę w domowem ubraniu. Zresztą jest tak ciemno, że nie widzę nawet kostyumu pana.

Bartnicki. Niechże pani siada.

Maniewiczowa. Chętnie, przychodzę dotrzymać panu towarzystwa. Wychodziłam przed chwilą i spotkałam Żabusię... prosiła mnie, ażeby przyjść i zabawić pana. Co za

poczciwe serduszko, jak ona myśli zawsze o panu...

Bartnicki (z dumą). Och! Żabusia!...

Maniewiczowa. Jak to pan mówisz... no, no! po pięciu latach małżeństwa!... To rzadko spotkać można..

Bartnicki. Bo też i Żabusia jest istotą wyjątkową...

Maniewiczowa (tłumiąc uśmiech). Zapewne!

Bartnicki. Wszyscy to mówią!

Maniewiczowa. Wszyscy!

Bartnicki. Jak mi Bóg miły, wszyscy!

Maniewiczowa. Wszyscy!

(Chwila milczenia).

Co mnie najwięcej w Żabci zachwyca, to jej wielka szczerość i prawdomówność.

Bartnicki. Moja żona nigdy nie kłamie!

Maniewiczowa. Nigdy!

Bartnicki. Nigdy!

Maniewiczowa. A pan?... kłamiesz pan kiedy?...

Bartnicki (szczerze). Ja? po co?

Maniewiczowa. Często się kłamie z przyzwyczajenia, z potrzeby, z dobrego serca, z dobrego wychowania... czasem dla... przyjemności.

Bartnicki. Och! pani dobrodziejko!...

Maniewiczowa. A czy pan wiesz,

panie Raku, że są kobiety, które całe życie kłamią, zwodzą i oszukują...

Bartnicki. A ich mężowie?

Maniewiczowa (śmiejąc się). Wierzą!

Bartnicki. Ci panowie godni są pogardy.

Maniewiczowa. Dlaczego?

Bartnicki. Bo mąż nie powinien się dać wywieźć w pole i znać winien dokładnie charakter swojej żony. Jakby Żabusia kiedy, co nie daj Boże, skłamała, zaraz ja, panie tego, jej z oczówbym kłamstwo wyczytał...

Maniewiczowa. Tak pan sądzi?

Bartnicki. A jakże.

Maniewiczowa. Z pana taki psycholog?

Bartnicki. Tego nie wiem, ale wiem, że jak byłem posesorem, to panie tego, złapię parobka koło spichrza i mówię: „Zbierałeś ziarno“ on „nie, panie posesorze“. A ja mu tylko w oczy spojrzę i wiem, że bestya łże... (miarkując się). Przepraszam panią dobrodziejkę za takie słowo... I co pani powie, zawsze na prawdziwego złodzieja natrafiłem. To samo i teraz w biurze... woźny, nie woźny, każdy prawdę musi powiedzieć a nigdy mnie nikt nie okpi. A cóż dopiero kobieta!

Maniewiczowa. Widzi pan, pomiędzy kłamstwem parobka, albo woźnego a kłam-

stwem kobiety—to cała przepaść. Kobieta kłamie tak delikatnie i artystycznie, jak pająk umie dzierzgać sieć swoją.

Bartnicki. Nie! nie!.. już mnie tam nikt okłamać nie jest w stanie.

Maniewiczowa. Tem lepiej.

Bartnicki. A przytem widzi pani dobrodziejka... kłamstwo to ściąga kłamstwo drugie. Ja nigdy przed Żabusią nie kłamię, więc też i Żabusia przedemną nie kłamie. O! widzi pani dobrodziejka, w tem jest cała filozofia naszego pożycia.

Maniewiczowa. A ja kłamię.

Bartnicki. Daruje pani dobrodziejka, ale w takim razie i mąż pani musi także kłamać.

Maniewiczowa. Jak najęty!

Bartnicki (z szerokim gestem) A w takim razie, proszę siadać!...

Maniewiczowa. Już siedzę... Ale dajmy temu pokój! Weszliśmy na bardzo śliską ścieżkę! Nam dobrze z naszemi kłamstwami, pan zaś cieszysz się szczerością... Błogosławieni ci, którzy wierzą...

Bartnicki. Czy to znaczy, że Żabusia?..

Maniewiczowa (szybko). Cóż znowu? Helenka jest najlepsze, najszczersze na świecie stworzenie. Dość na nią spojrzeć, aby wiedzieć, że jest chodzącą prawdą, takie ma

jeszcze oczy, takie niewinne, prawdziwie dziecięce spojrzenie.

Bartnicki (uszczęśliwiony). Prawda?

Maniewiczowa. Ot!.. Nabuchodonozor przy niej wydaje się istotą dojrzalszą i przewrotniejszą, niż ona.

Bartnicki (całując rękę Maniewiczowej). Jaka pani dobrodziejka poczciwa!

Maniewiczowa. Jestem tylko w tej chwili szczera!

Bartnicki. A widzi pani... jak to pięknie i miło nie kłamać.

(Chwila milczenia).

Maniewiczowa. Nie nudno panu?

Bartnicki. Czekam na Żabusię.

Maniewiczowa. Ale ja pytam czy panu nie nudno wogóle, w mieście... pan przyzwyczajony do wsi, do gospodarki... jak się pan mógł zgodzić na zamieszkanie w mieście i na pracę biurową.

Bartnicki. Żabusia wsi nie lubi... a potem babcia i dziadzio chcieli, żebym z posesora poszedł do biura. Niby to było w oczach ludzkich lepiej. Mnie tam nieraz jeszcze do wsi ciągnęło i ciężko było w biurową pracę się włożyć, ale teraz to mi już tęsknota za wsią odeszła (po chwili). Przytem bardzo lubię politykę.

Maniewiczowa. A! to także zajęcie.

Bartnicki. Spodziewam się. Codzień

chodzę do cukierni na gazety. Wszystkie czytam. Czasem, panie tego, i „Timesa“ całego rznę od deski do deski choć nie umiem po angielsku. Potem w biurze dyskusya... panie tego, umysł się wyrabia, poglądy szerokie... Moje zdanie nawet specyalnie cenią i szanują (po chwili). Nie! ja się nie nudzę.

Maniewiczowa. Nie przeczę, iż polityka to rzecz wysoce zajmująca, ale Żabusia wychodzi często z domu, czy nie czujesz się pan wtedy osamotnionym?

Bartnicki (wskazując dziecko). Mam Nabuchodonozora.

Maniewiczowa (z ironiczną kokieteryą). To dobre dla kobiety... ale mężczyźnie niańczenie dziecka nie wystarcza...

Bartnicki (do siebie z niepokojem). Czego ona chce odemnie?

Maniewiczowa. Czytałeś pan Baudelaire'a?

Bartnicki. Nie, pani dobrodziejko!

Maniewiczowa. To go przeczytaj! Potrafisz wtedy czytać w swem własnem sercu a może i... w sercach innych kobiet.

(Chwila milczenia).

Bartnicki. Ja zawołam Franciszkę, niech lampę zapali!

Maniewiczowa. Nie trzeba! szara godzina, to godzina marzeń i... pokus.

Bartnicki (na stronie). Gorąco mi!

Maniewiczowa. Przed chwilą mówiłam panu, że często w życiu mojem... kłamię. Czy sądzisz pan, że jestem szczęśliwą? Nie! tysiąc razy nie... Chcę przed panem uczynić spowiedź...

Bartnicki (przerażony). Pani dobrodziejko, wstrzymaj się... ja nie mam prawa słuchać twoich zwierzeń, ja lampę każę zapalić...

Maniewiczowa. Są ludzie, którzy budzą mimowoli sympatyę w tych, którzy się do nich mają szczęście zbliżyć... Takim człowiekiem jesteś pan. Ja nie chcę, ażebyś miał jakiekolwiek wątpliwości, co do prawości mego charakteru, ja...

SCENA III.

MANIEWICZOWA, BARTNICKI, MARYA. (Słychać dzwonek, po chwili widać służącą ze świecą w przedpokoju, otwierającą drzwi i we drzwiach zjawia się Marya).

Bartnicki (z radością). Żabusia!

Maniewiczowa (na stronie). Jaka szkoda, bawiłam się tak dobrze!...

Marya (wchodzi do przedpokoju). To ja zaczekam!..

Bartnicki. A! to moja siostra.

(Widać Maryę zdejmującą płaszcz i kalosze).

Maniewiczowa. Ja uciekam.

Bartnicki. Dlaczego?

Maniewiczowa. Siostra pana mnie wystrasza.

Bartnicki. Mania?

Maniewiczowa. Tak! Mania!... nie lubię dzisiejszych panien, zanadto surowe, poważne i lachons le mot... przesadzone. Mania jest wzorem doskonałości, ale ja, będąca wzorem ułomności, lękam się tego spotkania... et je me sauve! Do widzenia, panie prawdomówny i wierzący człowieku. Pamiętaj pan tylko jedno. Często kłamstwo jest dobrodziejstwem, nie zbrodnią.

Bartnicki. Nie rozumiem.

Maniewiczowa. Bo pan jesteś mężczyzną... kobieta jedynie taką subtelność zrozumie.

Bartnicki. Nie każda.

Maniewiczowa. Każda.

(Marya wchodzi do pokoju, za nią niańka ze świecą).

Bartnicki. Ręczę, że moja siostra należy do tych kobiet, które nie zrozumieją...

Marya. Czego?

Bartnicki. Dobroczynnych skutków kłamstwa...

Marya. A!..

Bartnicki. Jakież twoje zdanie?

Maniewiczowa. Dowiem się innym

razem. Muszę wracać do domu. Mąż na mnie czeka.

Marya. Spotkałam pani męża w bramie. Wychodził z domu, mówił że idzie do teatru...

Maniewiczowa (śmiejąc się). Nie udało mi się kłamstwo.

Marya. Po cóż więc pani kłamałaś?

Maniewiczowa. Bo szczerość w tym razie potrąciłaby o złe wychowanie a ja je me pique d'être très correcte. Votre servante.

(Idzie ku drzwiom na lewo).

Bartnicki. Pani daruje, że ją nie odprowadzam, ale Nabuchodonozor mi przeszkadza.

Marya. Daj mi dziecko!

(Bierze dziewczynkę na ręce).

Maniewiczowa. Cóż znowu... wyjdę przez kuchnię, znam drogę. Jaka szkoda, że nasz wspólny balkon przedziela krata. Mogłabym wrócić do mego mieszkania przez balkon.

Bartnicki. Wyjdź pani frontowemi schodami (odprowadza ją ze świecą do przedpokoju, idąc mówi). Daleko pani spotkała Żabusię?

Maniewiczowa (po chwili wahania). Prawdziwie nie pamiętam... Zdaję mi się, że na Długiej...

Bartnicki. Och! tak daleko?

Maniewiczowa. Wysiadała z dorożki a zresztą może się pomyliłam, może znów skłamałam... Adieu.

Bartnicki. Żegnam panią! (otwiera drzwi wejściowe). Cóż to? gaz jeszcze nie zapalony?.. poświecę pani.

(Wychodzi ze świecą).

SCENA IV.

MARYA, NIAŃKA, później BARTNICKI.

Marya. Niańko! weź dziecko i połóż do łóżeczka.

Niańka. Kiedy pani zaraz powróci i rozgniewa się, że dziecko już śpi i pani się z niem nie może bawić.

Marya (ostro). Weź dziecko i połóż je spać.

Niańka. Może wpierw lampę zapalić?

Marya. Nie trzeba, ja sama lampę zapalę. Weź Jadzię!

(Niańka bierze dziecko na ręce i wychodzi).

Marya (sama stoi chwilę nieporuszona, wreszcie wzrusza ramionami i pociera ręką po czole). Co zrobić? co zrobić?..

Bartnicki (wchodzi ze świecą). Poszła nareszcie, co to za dziwna kobieta.

Marya. Nie, mój drogi, to bardzo zwyczajna kobieta.

Bartnicki. Co też ty wygadujesz. Słyszałaś sama co ona mówiła... wiecznie kłamie...

Marya. Nie wiem, ale często milczenie jest także kłamstwem.

Bartnicki. To zależy jakie milczenie.

Marya. Mówię o patrzeniu przez palce na cudze występki.

Bartnicki. A nam co, panie tego, do występków innych. Byle tylko nam szkody nie przyniosły.

Marya. Naturalnie. Samolubne „ja“ górą ponad wszystkiem.

Bartnicki. Dobrze cię w domu nazywali.

Marya. Ach! wiem! romantyczką!

Bartnicki. Tak i mieli racyę.

Marya. Być może!

(Chwilowe milczenie).

Bartnicki. Gdzie dziecko?

Marya. Kazałam je spać położyć.

Bartnicki. Dlaczego?

Marya. Było senne.

Bartnicki. Żabusia jak wróci zechce się dzieckiem bawić.

Marya (ostro). Kup Żabusi piłkę, lalkę, pajaca, gumową kaczkę do zabawy, ale dzieckiem jej bawić się nie pozwól. Pamiętaj, że zabawkę, gdy się stłucze odkupić możesz... ale dziecka nigdy!

Bartnicki. Jesteś surową i niesprawiedliwą, Żabusia jest najlepszą matką.

Marya. Nie przeczę. Wasza córka jest zawsze ślicznie ubrana, fotografujecie ją co miesiąc i kazaliście jej zaszczepić ospę. Co więcej włóczycie ją zawsze na spacer we wspaniałym wózku i Żabusia ochrzciła ją Nabuchodonozorem, tak jak ciebie Rakiem. To wszystko jest miłe, ładne, wdzięczne i sympatyczne.

Bartnicki, Czego więc chcesz więcej?

Marya (cicho). Ja? nic nie chcę! Ja milczę!...

Bartnicki. Nie rozumiem cię dzisiaj.

Marya. Nie trzeba ażebyś mnie rozumiał. Jestem dziś zdenerwowana, rozdrażniona... Zapalę lampę...

(Bartnicki gasi świecę, Marya zapala lampę i pokrywa ją czerwonym abażurem).

Bartnicki. Moja biedna Maniu... ta praca w tej administracyi wyczerpuje cię i nuży.

Marya. Na pracę nie skarżę się nigdy. Wiesz o tem dobrze. Dokuczają mi inne, moralne względy.

(Siada przy pianinie, czerwone światło lampy oświeca ją jaskrawo. Bartnicki siada na fotelu).

Bartnicki. Wiem, byłaś zawsze dzielną i pracowitą dziewczyną. Na wsi ręce sobie

po łokcie urabiałaś, pomagając mi w gospodarstwie.

Marya. Lubiłam wieś całą duszą, praca żadna nie była mi zbyt ciężka w Rokatyczach.

Bartnicki. Mnie także a przecież pracowaliśmy oboje od świtu do nocy. Pamiętasz ty Rokatycze?

Marya. Pamiętam.

(Zaczyna grać).

Bartnicki. Ciężko w mieście pomiędzy murami.

Marya. Nie, ale pomiędzy ludźmi.

Bartnicki. Ba! ludzie wszędzie jednacy.

Marya. Nieprawda. Wieś ludzi lepszemi czyni, miasto niszczy, gubi i psuje.

Bartnicki. Och! och! znow twoja romantyczna głowa zaczyna pracować. Wszędzie widzisz kłamstwo i zepsucie. I wiesz, Maniu, gdybym cię nie znał nawylot, gdybym cię niemal od dziecka nie chował przy sobie, sądziłbym, że i na ciebie musiało miasto źle oddziałać, skoro tak bardzo żółcią zioniesz na wszystko i na wszystkich. Ktoś mi podrażnił moją Manię, co to do słonka wstawała i śpiewała dzień cały, jak skowronek. A toż, panie tego, obejrzyj się choć i tu u nas a zobaczysz i ład i uczciwość i prawdę naokoło siebie. Wczoraj nagle przy herbacie napadłaś na zepsucie i przewrotność

kobiet, żyjących w mieście. Szczęściem, że ci Żabusia w porę przyszła, bo zaraz umilkłaś i już moja żona jedna rozgadała się i popierała twoje argumenta. Ale ani babcia, ani dziadzio nie byli z tego zadowoleni, ho! ho! widziałem ja to z ich oczów.

Marya (grając). Mało mnie to obchodzi!

Bartnicki (wstając zaczyna chodzić po pokoju z założonemi rękami i mówi jakby do siebie). Ale mnie obchodzi. Rodzice Żabusi są dla mnie świętością i mam dla nich przywiązanie syna. A co do Żabusi to, panie tego, tak mnie dobrocią swoją popsuła, że prosto modlić mi się chcę nieraz do niej. Ja nigdy sobie nie wyobrażałem, żeby kobieta mogła być takim aniołem...

Marya (zamykając fortepian). Och!...

Bartnicki (chodzi dalej po pokoju). Jak ona potrafiła mnie przyhołubić, rozpieścić, rozkochać. Mówi mi „Raku“, „Raku“ i po twarzy głaszcze a ja co? ot prosta dusza, posesorskie dziecko i przy niej co? zawsze parobek, choć niby się w mieście jakoś w biurze otarłem i teraz jak nic politykę przeczuć naprzód potrafię (staje przed siostrą). Wiesz, Mańka, strach, jaki mam nieraz żal do ciebie.

Marya. Za co?

Bartnicki. Bo widzę, że ty dla Żabci nie masz serca a ona dla ciebie taka łaska-

wa, taka dobra, żeby i siostra ci już taka nie była. Ej, Mańka, Mańka!... myślę, że ty jesteś zła w gruncie, kiedy możesz Żabci nie kochać. (Marya milcząc kieruje się ku drzwiom przedpokoju). Gdzie idziesz?

Marya. Wracam do siebie.

Bartnicki. O, zaraz dąsy! Widzisz, jaka ty niepoczciwa, ty jedna mi szczęście zatruwasz, bo to raj prawdziwy byłby ten kąt, gdybyś i ty ku Żabci trochę serca miała. A tyle razy cię Żabcia prosiła, żebyś u nas zamieszkała.

Marya. Ja? tu? nigdy!

Bartnicki. No dobrze! dobrze! kiedy nie chcesz, mniejsza z tem. Choć mnie serce boli, że ty sama, młoda dziewczyna, komornem gdzieś tam u obcych mieszkasz.

Marya. Ja lubię swobodę.

Bartnicki. Ależ to nie wypada.

Marya (gwałtownie). Dla mnie wypada to wszystko, co jest w zgodzie z moją moralnością i sumieniem.

Bartnicki. Zapewne... ale mnie jako twemu bratu boleśnie to i przykro (obejmuje ją i prowadzi na przód sceny). Wszak my dwoje tylko sobie rodzonych i po śmierci rodziców żyli tak cicho, tak składnie tam w Rokatyczach. Ja cię, Mańka, pracować nauczyłem, ty mi książki po pracy czytała... kalendarz Ungra i inne ładne rzeczy, potem

w sąsiedztwo przyjechała Żabusia z rodzicami, ot... zakochałem się odrazu, ślicznota bo była... ty się zaraz boczyć zaczęła. I ciągle się boczysz... A zapomniała ty, jakem cię w chorobie doglądał a potem słabą na rękach do ogrodu wynosił, bo na słońce patrzeć chciałaś, aj! ty kapryśna, ty... zła, zła dziewczyno!

Marya (całując gorąco brata). Mój Janku! mój ty biedny! nieszczęśliwy Janku!

Bartnicki. Masz tobie, teraz beki i zaraz „biedny, nieszczęśliwy"!... Dlaczego nieszczęśliwy? Przeciwnie, jestem bardzo szczęśliwy i chcę, żeby wszyscy koło mnie byli szczęśliwi. Chodź tu usiądź i powiedz mi. Sprowadzisz się do nas?

Marya. Nie!

Bartnicki. Czemu?... czy przez to, że nie lubisz Żabusi?

Marya. Nie! lecz...

Bartnicki. Więc powiedz szczerze przyczynę. Jesteś zanadto względem mnie skrytą.

Marya. Tak, masz racyę, czyniąc mi za to wymówki. Nie powinnam nic ukrywać przed tobą dłużej. Byłeś mi zawsze dobrym bratem i kochałeś mnie bardzo. Nie mogę sprowadzić się do was, bo zaręczyłam się miesiąc temu.

Bartnicki. Ty? z kim?

Marya. Nie pytaj mnie na razie. Wiedz

tylko, że jest to człowiek młody, dzielny i energiczny. Jest na dorobku tak jak ja i poglądy nasze zgadzają się niemal na wszystkich punktach. Ma jechać na wieś i starać się o jaką posesyę. Wówczas weźmie mnie za żonę.

Bartnicki. Dlaczego nie powiedziałaś mnie wcześniej zanim przyjęłaś jakieś zobowiązanie. Byłbym się dowiedział coś bliższego o jego charakterze, o jego stosunkach rodzinnych i finansowych.

Marya. W życiu przywykłam radzić się tylko samej siebie.

Bartnicki. Przyjęte jest jednak, że rodzina dowiaduje się zwykle kto jest ów narzeczony. Ot, gdy babcia i dziadzio oddawali mi Żabusię. dowiadywali się o moją reputacyę w całej okolicy.

Marya. Tak, dowiadywali się czy nie masz długów i nie handlowałeś końmi mającemi szpata. Ale ty czy dowiadywałeś się kim była twoja narzeczona?

Bartnicki. Co też ty pleciesz?... panna na wydaniu, to... panna na wydaniu. Rodzice gwarantują...

Marya. A charakter?

Bartnicki. Panna, panie tego... nie ma jeszcze żadnego charakteru, później ma taki, jaki jej mąż wyrobi.

Marya. Więc charakter Żabusi urobił się pod twoim wpływem?

Bartnicki. Sądzę, panie tego, i jestem z tego dumny.

Marya (patrzy na niego chwilę poczem wstaje, wzrusza ramionami i przechodzi do fortepianu). Ach! ty biedny Raku!

(Stoi oparta o pianino).

Bartnicki. Powiedz-że mi przynajmniej czy kochasz swego narzeczonego?

Marya (po chwili). Kocham.

Bartnicki. A on?

Marya. Kocha.

Bartnicki. Dzięki Bogu! Będziecie żyli tak jak ja i Żabusia i wszystko będzie w porządku.

Marya. Nie jak ty i Żabusia! Nie. Widzisz ja mam za mało kobiecego wdzięku i uroku, ażeby z mego męża zrobić sobie raka, który będzie siedział z Nabuchodonozorem na ręku pod piecem i czekał aż powrócę ze spaceru. U nas role będą zmienione. Ja będę pod piecem czekać spokojnie a mój mąż będzie spacerował.

Bartnicki. Kiedy mnie tak jest dobrze! jak Boga mego kocham. Ja nic więcej nie pragnę, niczego nie żądam.

Marya. Tem lepiej, mój bracie, tem lepiej.

(Dzwonek).

Bartnicki (radośnie). Żabusia!

(Niańka otwiera drzwi, widać wchodzących Milewskiego i Milewską opakowanych płaszczami).

Niańka (z przedpokoju). Starsi państwo!

Bartnicki. Babcia! Dziadzio!

(Idzie do przedpokoju pomaga im rozebrać się z futer).

SCENA V.

MILEWSCY, MARYA, BARTNICKI.

Milewski. Żabcia w domu?

Bartnicki. Wyszła.

Milewski. Tem lepiej. Prawda, babciu, sprawimy jej niespodziankę (wchodzą do pokoju).

Milewski. Dzień dobry pannie Maryi!

Marya. Dzień dobry.

Mliewski (niosąc doniczki). Oto są hjacenty i fijołki, które kupiliśmy dla Żabusi. Fiołki parmeńskie wyhodowane w kraju, pachną cudownie. Powąchaj, zięciu... No dobrze! dobrze! nie wtykaj tak nosa, bo kwiaty połamiesz...

Milewska. Czy jeszcze do herbaty nie nakryte? Mój Boże, Żabcia wróci ze spaceru i herbaty nie zastanie. Franciszko! Franciszko!...

Milewski. Chciałem kupić nicejskie, ale zapachu nie miały.

Milewska (do Franciszki wchodzącej z lewej). Dalej! obrus! serwetki! samowar!

Milewski (do Bartnickiego). Cóż w biurze?

Bartnicki. Nic, wszystko po staremu.

Milewski. Robota ciężka?

Bartnicki. Dziadzio żartuje. Cały dzień gada się, panie tego, o polityce.

Milewski. To źle, trzeba pracować, cóż z tego... biuro na to jest, na pisanie.

Bartnicki. Kiedy niema co pisać.

Milewski. To pisz listy do żony... do Żabci, ale pisz, bo się rozpróżniaczysz do reszty. I tak utyłeś, wyglądasz jak radca. Prawda, panno Maryo.

Marya. Przeciwnie... ja znajduję, że mój brat zmizerniał...

Milewski. Z pani wieczna przekora. Nie to, co nasza Żabcia. Jej powiedzieć czarno, ona zaraz „czarno, dziadziu, czarno“, ja znów biało, ona „biało, dziadziu, biało“. Anioł, nie kobieta, rodzicom się nigdy nie sprzeciwi a panna Marya to zaraz ciur, ciur, ciur, jak mały kogutek (z umizgiem). Taka śliczna panienka i taka sekutnica! (Marya się odsuwa). Rozgniewałem panią, przepraszam pokornie, ale proszę darować mnie staremu.. Cofam sekutnicę, niech będzie... kapryśnica

śliczna kapryśnica... Cóż jeszcze się gniewulki?

Marya (z ironią). Nie, panie, nie gniewulkam się wcale.

(Odchodzi w głąb).

Milewski (do Bartnickiego). Tetryczeje... jak Boga kocham, tetryczeje, trzeba zamąż wydać, bo wiesz... stara panna już coś... tego.!. Ja się znam na tem!

(Przechodzi niańka i niesie na tacy filiżanki, Milewski ogląda się na żonę i szczypie niańkę w łokieć).

Niańka. O Jezu! co też to starszy pan wyrabia?

Milewska. Co się stało!?

Milewski. O mało nie upuściła filiżanek z ręki. W sam czas jej dopomogłem...

Bartnicki (śmiejąc się do Milewskiego). Hi! hi! a to dziadzio kłamie...

Milewski. Bo muszę! (głośno). Wie babcia co? ustawiemy doniczki przed talerzem Żabci i przykryjemy serwetą. Jak wróci będzie miała niespodziankę.

Milewska. Tak! tak! doskonała myśl.

Bartnicki. Czy Franciszka przyniosła dla pani cytrynę?

Franciszka. Naturalnie. Jeszcze żebym czego dla pani zapomniała!

(Wszyscy zbliżają się do stołu i zajmują miejsca).

Milewski. Gdzie też ona poszła w taki deszcz, w taką wichurę?

Milewska. Czy aby wzięła kalosze? Franciszka! Czy pani wzięła kalosze?

Franciszka (biegnąc do przedpokoju). Nie, kalosze stoją tutaj.

Milewski. A, mój Boże, Żabusia się przeziębi.

Milewska. To wina Jana. Dlaczego pozwoliłeś jej wyjść bez kaloszy!

Milewski. Tak, dlaczego pozwoliłeś wyjść Żabci bez kaloszy?

Franciszka. Czemu pan puścił panią przez kaloszy?

Bartnicki. Nie wiedziałem, jak Boga kocham, nie wiedziałem.

(Dzwonek).

Wszyscy. Żabusia!

SCENA VI.

(Franciszka biegnie, otwiera drzwi wchodowe. Staje w nich Helena w rozpiętym żakiecie. Wpada, rzuca żakiet w przedpokoju. Wchodzi do pokoju. Ma różową bluzkę, aksamitną spódnicę, włosy jasne, rozrzucone. Rzuca kapelusz i parasolkę na ziemię i z głośnym śmiechem rzuca się w objęcia dziadzi, babci i mężowi).

Franciszka (biegnie ku drzwiom na lewo). Niańka! samowar a duchem, pani przyszła!

Milewski (całując córkę). Chwała Bogu, że jesteś nareszcie.

Milewska. Nie zziębłaś? nie przemoczyłaś nóżek?

Żabusia. Nie, babciu, nie! No i cóż biedny Raku? nie poszedłeś na gazety? Czekaj, ja ci coś za to przyniosłam. Ukradłam dla ciebie „Figaro“... jak babcię kocham, ściągnęłam z kija i wpakowałam w kieszeń. Nikt nie widział. Masz, czytaj.

Milewski. Co ta wyprawia!

Milewska. Siadaj! napijesz się herbaty!

Żabusia. Nalej mi babciu i włóż dużo cukru. Dobry wieczór, Maniu!

Marya (odsuwając ją, półgłosem). Popraw włosy... zgubiłaś na tym spacerze wszystkie szpilki.

Żabusia (przez chwilę zmieszana). A prawda! (potrząsa głową i rozrzuca włosy). Tak będzie najlepiej!

Milewski. Patrzcie na nią, czysta wiochna!...

Milewska. Aż jaśniej się zrobiło, kiedy Żabcia wróciła.

(Sługi krzątają się koło stołu).

Żabusia. Nabuchodonozor! gdzie jest Nabuchodonozor?

Bartnicki. Przynieście dziecko!

(Niańka wybiega).

Żabusia. Kwiaty! jakie cudne! pachną! Dziadzio kupił... już widzę, bo brwi marszczy (wnoszą Jadzię). Dawajcie mi córkę! moje ty... moje ty... złote! srebrne! ukochane! z tysiąca wybrane! Dziadzio też kochany i babcia też a Rak to już taki ulubiony, że na całym świecie niema więcej kochanego Raka.

(Siada na kolanach mężowi, trzymając córkę).

Bartnicki. A co Żabcia robiła aż na Długiej ulicy?

Żabusia. Ja? na Długiej? ja nie byłam na Długiej.

Bartnicki. Byłaś.

Żabusia. A może i byłam, ale nie powiem po co, bo to dla kogoś (patrzy na dziadzię) będzie niespodzianka!... A teraz... sza!..

Jechał pan,
Za nim chłop
A za nimi żydóweczki,
Pogubiły patyneczki
Hop! hop!

(Milewski i Bartnicki powtarzają chórem pio-

senkę Żabusi, która podskakuje wraz z dzieckiem na kolanach męża, w głębi sługi zachwycone, na przodzie sceny Marya nieruchoma, oparta o pianino patrzy z ironią na osoby siedzące przy stole).

Zasłona spada.

AKT DRUGI.

Ta sama dekoracya co w akcie pierwszym. Na ziemi siedzi Żabusia w różowym szlafroczku i bawi się z małą Jadzią zabawkami. Opodal niańka ceruje pończochy.

SCENA I.

ŻABUSIA, NIAŃKA.

Żabusia (ustawia zabawki) Tak!... tu będzie dom, tu drzewo, tu żołnierz... a tu po za domem dziedziniec... Ot tak, znów drzewo, płot i dwie owce... no! Nabuchodonozor!.. nie przewracaj zabawek, skoro mamusia tak ślicznie ustawia... Niańka! skocz do dziecinnego pokoju i przynieś samowar, co go wczoraj dla dziecka kupiłam... Będziemy nastawiać...

Niańka. Jeszcze się panienka poparzy...

Żabusia. Głupia jesteś... to nie panienka, ale my będziemy nastawiać. Nalej w samowar wody, nałóż węgli i przynieś tutaj —

a żywo! Rzuć te pończochy... teraz będziemy się bawić.

Niańka. Lecę! (wybiega).

Żabusia (ustawia znów zabawki). Niech Nabuchodonozor nie rusza, bo dam po łapie... (spogląda na zegarek) druga!... O trzeciej Rak przyjdzie z biura i pójdzie z Manią do rejenta... Jadzia!... bo jak babcię kocham dam po łapie, jak będziesz psuła mamusi zabawki... Około wpół do czwartej mogę przyjąć Juliana (do córki). Oddaj drzewo kiedy ci mówię... no!...

(Krzyczy, dziecko płacze).

SCENA II.

MANIEWICZOWA, ŻABUSIA, MAŁA JADZIA, później NIAŃKA.

Maniewiczowa (wchodząc przez drzwi balkonowe). Dzień dobry! cóż to za krzyki?

Żabusia. To Nabuchodonozor! dałam mu po łapie! szkaradny dzieciak! (nagle rzuca się na dziecko z wybuchem wielkiej czułości). Skarby moje! szczęście mamusine!.. wszystko ty moje na świecie!...

Maniewiczowa. Co za temperament.

Żabusia. Nie temperament, tylko strasznie kocham tego brzdąca... Są matki, które podobno zdaleka swoje dzieci od siebie cho-

wają. Żeby mi kto zabrał Nabuchodonozora, tobym chyba umarła!

Maniewiczowa. We wszystkiem egzaltacya!

Żabusia. Nie!... jak Bozię kocham, prawdę mówię...

Maniewiczowa. Tak więc bardzo kochasz swoje dziecko?

Żabusia. Także pytanie? jak tu nie kochać takiego Nabuchodonozora? taką pyzatą biedę? no jak tu nie kochać?

Maniewiczowa. Ty i Raka kochasz?

Żabusia. A jakże... jak nie kochać Raka, kiedy to Rak taki kochany, że już drugiego niema na świecie.

Maniewiczowa. A Julian?

Żabusia. E! Julian to Julian a Rak to Rak...

Maniewiczowa. Nie rozumiem tej klasyfikacyi.

Żabusia. Bo ty jesteś inna kobieta... ty wyłącznie kochasz siebie samą i po za sobą nic nie widzisz.

Maniewiczowa. Tak, ty masz dobre serce.

Żabusia. Pewnie, że mam dobre serce.

(Chwila milczenia).

Maniewiczowa. Nie gniewasz się, że przeszłam przez balkon?

Żabusia. Gniewać się?... owszem jestem bardzo rada, że kazałyśmy zrobić w kracie furtkę... Nie potrzebujemy wchodzić i schodzić ze schodów. Nie cierpię chodzić po schodach, będziemy mogły częściej się widywać.

Maniewiczowa. Ba! wtedy chyba, skoro ja do ciebie przyjdę. Ty jesteś zawsze zajęta. Jeżeli nie wychodzisz na spacer, to wiecznie masz coś do czynienia w domu.

Żabusia. Spodziewam się! Mąż, dziecko, dwie sługi—całe gospodarstwo na mojej głowie. A obejrzyj się dokoła jaki ład, jak czysto... codzień sama kurz obcieram a spytaj się czy mojemu mężowi albo dziecku co brakuje? Wszystko na czas i obiad i bielizna i froter i rachunek... a jakże!...

Maniewiczowa. Widzę, widzę—jesteś wzorem żon i matek.

Żabusia. Ja tak jak babcia. Dziadzio był zawsze z babci kontent.

Maniewiczowa. Ale... czy wiesz, że z dziadzia straszny jeszcze lowelas. Kiedyś prawił mi takie rzeczy i komplementa, że aż rumienić się zaczęłam. Mnie się zdaje, że on jeszcze do kobiet się zaleca.

Żabusia. Co to szkodzi, jeżeli babcia nie wie o tem.

Maniewiczowa. A więc to głównie chodzi o to, ażeby babcia nie wiedziała.

Żabusia. Spodziewam się. Jeżeli żona nie wie i jest zupełnie szczęśliwa, mąż może robić co mu się podoba.

Maniewiczowa. Mania byłaby innego zdania.

Żabusia. Mania jest głupia sensatka. Pozuje na oryginalność i zdaje się, że jest bocianem, który świat czyści.

(Wchodzi niańka).

Niańka. Proszę pani, jest samowar.

Żabusia (zrywając się). Gdzie? pokaż!

Niańka. Ostrożnie, bo się pani poparzy.

Maniewiczowa. Co za czad!... wynieście ztąd tą truciznę, nabawi nas bólu głowy!

Żabusia. Szkoda!... chciałam zobaczyć czy się nie zagotuje. Napiłybyśmy się herbaty.

Maniewiczowa. Dziękuję!

Żabusia. Postaw samowarek na ganku i weź Nabuchodonozora. Zostaw zabawki... ja się będę jeszcze bawiła.

(Niańka z dzieckiem wychodzi).

Maniewiczowa. Czy ty nigdy nie spoważniejesz?

Żabusia. Po co? czy ja komu tem krzywdę sprawiam a sama tak się dobrze bawię.

Maniewiczowa. Zapewne, innym tem krzywdy nie sprawiasz, ale wyrządzasz złe samej sobie. Jesteś zanadto roztrzepa-

na, możesz się wplątać w jaką brzydką awanturę.

Żabusia. Ja? cóż to znaczy! Byleby tylko drudzy na tem nie cierpieli... a ponieważ wszyscy kochają mnie taką, jaką jestem i czują się ze mną szczęśliwi—więc ja zawsze do śmierci będę Żabusią.

Maniewiczowa. Siostra twego męża cię nie kocha!

Żabusia. Ach dzięki Bogu, że dochodzi dziś właśnie do pełnoletności, podniesie te sławne tysiąc rubli posagu i pojdzie za mąż. Miła z niej będzie żona! Wyniesie się z miasta i przestanie mnie prześladować swoją osobą.

Maniewiczowa. Widziałaś jej narzeczonego! Musi to być nielada okaz!

Żabusia. Wyobraź sobie, że do tej pory ani ja, ani Rak, nie znamy go wcale. Taka skryta!

Maniewiczowa. Boi się może, ażeby ten pan się w tobie nie zakochał.

Żabusia. Albo w tobie! Zasługiwałaby na nauczkę... Przedstaw sobie, ciągle mi daję do poznania, że się domyśla dużo rzeczy i że ja jestem... niegodziwą kobietą. (Chodzi po pokoju tam i napowrót, założywszy w tył ręce). To mnie oburza... bo przecież nikt mi nic nie ma do zarzucenia. Nie postępuję tak jak inne kobiety. Nie kocham

się w przyjaciołach mego męża, tylko zawsze w kimś kogo Rak nie zna. W ten sposób nie narażam na śmieszność Raka, bo to zawsze jest mój mąż i nie powinien tracić na powadze.

Maniewiczowa. Zapewne—ale często sama narażasz twego męża na śmieszną sytuacyę. Pamietasz jak kazałaś mu czytać głośno korespondencye prywatne, w których były wiersze na cześć twoją.

Żabusia. A to zupełnie co innego... to ja!... Mnie, jego żonie, wolno się śmiać z mego męża, ale nie zniosłabym, gdyby się ktoś obcy z niego wyśmiewał.

Maniewiczowa. No a ja? wszakże i ja wtedy śmiałam się do rozpuku.

Żabusia. A ty, to co innego, ty jesteś przyjaciółką jego żony... (Idzie ku drzwiom balkonowym). O! idzie szacowna panna Marya! patrz jak ona wygląda! chodząca powaga... jak to idzie po trotuarze jak kaczka.

Maniewiczowa. Uciekam!

Żabusia. Proszę cię zostań! Skoro ty tutaj jesteś, może powstrzyma swój sarkazm i przestanie mi dokuczać. A potem mam ci coś powiedzieć... Ty wiesz jak ja lubię śmieszne sytuacye... (Wchodzi Marya). Pst!... cicho!... To dziwne jej obecność zawsze mi rezon odbiera.

SCENA III.

MANIEWICZOWA, ŻABUSIA, MARYA.

Marya. Dzień dobry!

Żabusia (idąc ku niej nieśmiało). Dzień dobry, Maniu.

Marya. Janek nie wrócił jeszcze do domu?

Żabusia. Nie, za chwilę powróci. Zaczekasz?

Marya. Tak. (Idzie na prawo). Niech się panie mną nie krępują proszę bardzo!..

(Siada zboku i bierze książkę).

Maniewiczowa (do Żabci). Wychodzisz dziś po obiedzie?

Żabusia. Nie wiem... może...

(Obie udają wielką swobodę, ale powoli głosu im obu brakuje i siedzą nie wiedząc co mówić).

Maniewiczowa. Byłam wczoraj w teatrze... nowy baryton jest zachwycający.

Żabusia. Ach tak, zwłaszcza gdy ma czarną perukę...

Maniewiczowa. Ja go wolę jako blondyna.

Żabusia. Ja zaś jako bruneta..

(Pauza).

Maniewiczowa. Pójdę jutro kupić sobie wiosenny kapelusz.

Żabusia. Ja także...

Maniewiczowa. A... tak?

Żabusia. Jak Babcię kocham. (Pauza). Marya podnosi się i nie odrywając oczów od książki wychodzi do pokoju dziecka. Maniewiczowa i Żabusia patrzą się na siebie i wybuchają śmiechem).

Żabusia. Uważałaś?

Maniewiczowa. Naturalnie. E! mniejsza z tem, co mi to chciałaś powiedzieć?

Żabusia (przysuwając się). Ale nie powiesz nikomu?

Maniewiczowa. Nikomu!

Żabusia. Zaklnij się, że jak nie wiem co, nikomu nie powiesz...

Maniewiczowa. No, nie nudź... a powiedz!

Żabusia. Wiesz... Julian tu dziś przyjdzie...

Maniewiczowa. Tutaj? wszakże mi mówiłaś, że nie wie kto jesteś...

Żabusia. Naturalnie, że nie wie i w tem cały szyk!

Maniewiczowa. Ale skoro tu przyjdzie, to się dowie.

Żabusia. Właśnie że nie i w tem polega rzecz cała. Dał mi słowo honoru, że nie spojrzy na listę lokatorów i nigdy nie będzie się starał dowiedzieć u kogo był.

Maniewiczowa. I wierzysz, że on to zrobi?

Żabusia. Wierzę. Najprzód dał słowo honoru a ja słowu honoru mężczyzny wierzę a potem nie masz pojęcia do jakiego stopnia ogłupienia ja go doprowadziłam... Taki rozumny człowiek... bo on jest bardzo rozumny.

Maniewiczowa. Chciałabym go kiedy zobaczyć.

Żabusia. Wiesz... jakby ci go opisać... on jest tak zupełnie w rodzaju ot... Maryi. Poważny, niby taki uczciwy, mądry... Często zupełnie tak samo mówi jak ona... albo jak ona się odezwie... to jakbym jego słyszała...

Maniewiczowa. Jakże więc taki sensat mógł się zakochać w takiej jak ty kobiecie...

Żabusia. Właśnie... tu cała sztuka. Jak go zobaczyłam po raz pierwszy w Botanicznym ogrodzie na ławce, zamyślonego, z papierosem przylepionym do ust, mówię sobie phi! projekt na samobójcę...

Maniewiczowa (ciągnąc). A że masz dobre serce.

Żabusia. A że mam dobre serce...

Maniewiczowa. Dotąd kręciłaś się koło niego z Nabuchodonozorem, aż wydarłaś tą ofiarę szponom śmierci...

Żabusia (śmiejąc się). A tak!...

Maniewiczowa. Po co ty go tu sprowadzasz?

Żabusia. Chciałam, żeby zobaczył jak mieszkam!

Maniewiczowa. Szczególniejsze zachcenie... Ale teraz, uciekam!... bądź zdrowa! gdzież mam klucz od furtki... A za paskiem...

Żabusia. A ja idę się przebrać.

Maniewiczowa. Po co? wszakże zostajesz w domu?

Żabusia. Nie mogę przyjąć Juliana w szlafroku.

Maniewiczowa. Dlaczego?

Żabusia. To nieprzyzwoicie!

(Maniewiczowa wychodzi przez drzwi balkonu, Żabusia wybiega do swego pokoju.

SCENA IV.

MARYA, później BARTNICKI.

Marya (wychodzi z pokoju dziecinnego) Nareszcie poszły... można będzie odetchnąć swobodniej. Och!... jak mi jakoś dziwnie, głowa mnie boli... Wstałam od rana jakaś nieswoja... Jakie życie jest smutne, och!... jakie smutne...

(Dzwonek. Przez scenę przebiega niańka i idzie otworzyć, Marya idzie ku stolikowi i układa książki).

Bartnicki. A!... jesteś już siostruniu? Nie mogłem wcześniej uwolnić się z biura. Sądzę, żeś na mnie nie czekała.

Marya. Chwilkę tylko... Byłam u dziecka.

Bartnicki. Gdzie Żabusia? dlaczego nie poszłaś do Żabusi?

Marya. Towarzystwo małej Jadzi jest przyjemniejsze...

Bartnicki. Jadzia mówić nawet nie umie.

Marya. Właśnie dlatego.

Bartnicki. Czy jesteś dzisiaj znów w złym humorze?

Marya. Nie. Tylko jestem smutna.

Bartnicki. Czy ci się co przytrafiło?

Marya. Nie.

Bartnicki. Więc o co ci chodzi?

Marya. O nic!...

Bartnicki. A twój ślub? kiedyż nareszcie zdecydujesz się na to małżeństwo. Czasby już największy... przedstaw że mi twego narzeczonego.

Marya (po chwili wahania). Być może, że to nastąpi niezadługo.

Bartnicki. Niezadługo... niezadługo... Takie długie a sekretne przed rodziną narzeczeństwo, to sensu nie ma. Sama Żabcia mówiła, że to nieprzyzwoicie.

Marya. A... skoro Żabcia tak mówiła...

Bartnicki. Ona się zna na tem i wie co wypada a co nie wypada. Przyznam ci się, że ani ona, ani ja nie mamy ochoty, aby źle o nas mówiono...

Marya. Jakto źle z mego powodu?

Bartnicki. Z twego. Przyśpiesz twój ślub i niech się to raz skończy...

(Marya milczy chwilę, wreszcie wybucha płaczem).

Bartnicki (chwytając ją ztyłu za ramiona). Maniu!... Maryś!... co tobie?... czy ten twój narzeczony skręcił kominka? powiedz a jak Boga kocham wyzwę i rozpłatam na ćwierci...

Marya (hamując się). Nic mi nie jest... to chwilowe dziecinne wzruszenie... Już przeszło. Chodźmy do rejenta.

Bartnicki. Chodźmy. Tylko się z Żabcią pożegnamy. Pieniędzy twoich lokować nie trzeba. Skoro idziesz za mąż, będą ci potrzebne na wyprawę. Prawda?

Marya. Zapewne.

Bartnicki. (nagle). Dlaczego ty masz tak mało do mnie zaufania? masz jakieś zmartwienie, ja to widzę... no przypuszczam, że mnie nie chcesz powiedzieć, ale Żabusi możesz. Kobiety łatwiej się porozumieją. Chcesz, zebym zawołał Żabci?

Marya (stanowczo). Nie!... tysiąc razy nie.

Bartnicki. Niechże i tak będzie. Skoro taka jesteś skryta to będziesz... to bądź sobie, panie tego... skryta...

SCENA V.

Ciż sami, ŻABUSIA.

Żabusia (w różowej sukience). Jesteście jeszcze w domu? myślałam że już wyszliście oddawna.

Bartnicki. Któraż to, panie tego, godzina?

Żabusia. Trzecia.

Bartnicki. Uf!... spóźnimy się... Mańka... Chodźmy... gdzie mój kapelusz?

Żabusia. Czekaj zatracony Raku, niech ci krawat poprawię. Wychodzisz na ulicę jak obdartus. Wstyd tylko Żabusi robisz... Tak a teraz pocałować Żabcię...

Bartnicki (całując ją). Sto razy, nie raz.

Żabusia (do Maryi). Pocałować Żabcię!

Marya (usuwając się). Wezmę książki i zmienię w czytelni. Od trzech tygodni widzę „Krwawą trucicielkę“ Boisgobeya... Czy mam wziąć ciąg dalszy tej wielce zajmującej powieści?

Żabusia. Nie, zresztą, nie bierz książek do zmiany. Ja ich i tak nie czytam.

Marya. Po co abonujesz?

Żabusia. Albo ja wiem... dla zwyczaju... Zresztą ja mam kuryerek... to mi wystarcza.

Bartnicki. Chodźmy! chodźmy! Bądź zdrowa, Żabusiu.

Żabusia. Do widzenia Raku.

(Całuje serdecznie męża. Marya i Bartnicki wychodzą).

SCENA VI.

Żabusia (sama biegnie do drzwi balkonowych). Wychodzą z bramy!... Przechodzą ulicą!... Rak się ogląda!.. pa! pa! Biedny Rak! o potknął się... może stłukł sobie nogę... nie! nic mu nie jest... oddycham!... (biegnie do lustra). Zaraz Julian przyjdzie... chciałabym, żeby mu się u nas podobało. Ja się na tem nie znam, ale zdaje mi się, że tu jest bardzo ładnie... O wachlarz się przekrzywił (poprawia wachlarz), pójdę na balkon ażeby pilnować przyjścia Juliana. Nie trzeba ażeby dzwonił i sługi go widziały. Choć niańka z Nabuchodonozorem poszła do babci... (patrzy przez okno balkonowe). Niema go... Może nie przyjdzie... Kto to wie. Przystał na to przyjście z taką niechęcią... Bogiem a prawdą zaczyna mnie już nudzić. Skoro na niego spojrzę zaraz mi się Mania przypomina (patrzy na ulicę). Idzie!... jak babcię kocham!... widzi mnie! Tu! tu! o! potknął się! byleby się tylko nie uderzył, albo sobie nogi

nie zwichnął. Nic—oddycham. Wchodzi do bramy... pędzę do przedpokoju!...
(Biegnie do przedpokoju, po chwili wprowadza Juliana).

SCENA VII.

ŻABUSIA, JULIAN.

Żabusia. Tutaj... proszę do salonu.

Julian. A... to salon?

Żabusia. Tak ubraliśmy go po japońsku, to jest, ja ubrałam, bo mój mąż się do niczego nie wtrąca. (Chwila milczenia. Stoją oboje zakłopotani. Żabusia nagle). Siadaj.

Julian. Dziękuję!...
(Chwila milczenia).

Żabusia. Tu jest salon a tu jest pokój Nabuchodonozora a tu pokój Raka a tu jadalnia a tam kuchnia a tu balkon.

Julian (ironicznie). A na górze strych a na dole piwnica.

Żabusia. Proszę nie być ironicznym... zaraz Mania mi się kłania.

Julian. Ciągle słyszę o tej Mani, cóż to za Mania?

Żabcia. To nikt.

Julian. A, nikt?

Żabusia. Nikt. (Chwila milczenia). Ładnie tutaj?

Julian. Bardzo ładnie.

Żabusia. Tu zawsze Rak w tym fotelu czyta swoje gazety a te fiołki to mi babcia i dziadzio przynieśli tydzień temu wieczorem... kiedy wróciłam do domu po widzeniu się z Tobą.

Julian. Aha!...

(Chwila milczenia).

Żabusia. To fotografia... to Nabuchodonozor jak miał osiem miesięcy.

Julian. Widzę.

(Chwila milczenia).

Żabusia. Ładnie tu?

Julian. Ładnie.

Żabusia. E! bo może tak mówisz, żeby mi zrobić przyjemność.

Julian. Nie, daję słowo... ładnie.

Żabusia. A tu na balkonie mam kwiaty—o! śliczne oleandry... (zbliża się do okna, Żabusia odskakuje i odciąga Juliana). Schowaj się!

Julian. Co się stało?

Żabusia. Mój mąż!...

Julian. Masz tobie!

Żabusia. Uciekaj...

Julian. Którędy?

Żabusia. Przez kuchnię... (dzwonek). Zapóźno!... na balkon!...

(Wypycha go na balkon, do pokoju wchodzi Bartnicki i Marya).

SCENA VIII.

ŻABUSIA, BARTNICKI, MARYA, na balkonie JULIAN.

Bartnicki. Wyobraź sobie Żabciu spóźniliśmy się, nie zastaliśmy rejenta.

Żabusia (tajemniczo). Ach! moi drodzy! co za szczęście, żeście powrócili!

Bartnicki. Dla czego?

Marya (patrząc na balkon). Ktoś jest na balkonie.

Żabusia. Tst... nie oglądajcie się! To cała historya! patrzcie jak się cała trzęsę... prawda? to ze strachu.

Bartnicki. Cóż to? złodziej? trzeba posłać po policyę!

Żabusia. Złodziej? to gorzej niż złodziej... Wyobraźcie sobie, że tego pana przez furtkę balkonową, wepchnęła na nasz balkon Maniewiczowa.

Bartnicki. Dlaczego?

Żabusia. Jakto dlaczego? to...

Bartnicki. A!...

Żabusia. Tak!

Bartnicki (dusząc się ze śmiechu). Jak Boga kocham!... a to biedny Maniewicz!

Żabusia. Teraz chodzi o to, żeby Maniewiczową z biedy wyciągnąć. Trzeba tego pana koniecznie ztąd wyprowadzić. Tymcza-

sem zdaje mi się, że Maniewicz się czegoś domyśla i czatuje na jego wyjście, w której sąsiedniej bramie. Mój złoty, brylantowy, jedyny Raku... wyprowadź ty go z domu. Skoro z nim będziesz szedł, Maniewicz pomyśli, że to twój znajomy i nie będzie go napastował...

Marya (do brata). Spodziewam się, że do tego ręki nie przyłożysz...

Żabusia. Dlaczego?

Marya (gwałtownie). Bo żona oszukująca męża jest istotą godną pogardy i powinna zasłużoną ponieść karę...

Żabusia. Ja sama także potępiam tego rodzaju kobiety... Maniewiczowa jednak jest dla mnie bardzo uprzejmą, dobrą i nie mam prawa odmówić jej pomocy w tak ważnej chwili. Trzeba ratować kobietę.

Bartnicki (z nagłą determinacyą). Tak panie tego!... trzeba ratować kobietę!... (Idzie ku drzwiom balkonowym. Marya odwraca się plecami, tak że nie widzi w pierwszej chwili Juliana. Bartnicki, otwierając drzwi). Proszę pana!... (Julian wychodzi i staje na progu zmieszany i niezdecydowany. Bartnicki prezentując się). Jestem Bartnicki!... żona moja mi. panie tego, wszystko powiedziała... chodźmy... przeprowadzę pana...

Żabusia. Pan Maniewicz, który was podejrzewał stoi prawdopodobnie na dole i cze-

ka na pańskie wyjście. Mój mąż jest tak dobry, że chce pana przeprowadzić... niby swojego znajomego... który był u nas z wizytą... rozumie pan?

Bartnicki. Zechciej mnie pan wziąć pod ramię i chodźmy, jak dwaj przyjaciele...

Julian. Doprawdy... nie wiem czy powinienem...

(Na głos Juliana, Marya odwraca się szybko).

Marya. O!

Julian. To pani?...

Bartnicki. Znacie się?

(Chwila milczenia).

Marya (z wysiłkiem). Nie... ja nie znam tego pana.

Bartnicki. Chodźmy! tylko z fantazyą, mój młody panie! Idziesz zemną... więc ja ręczę, że ci się nic złego nie stanie.

(Wychodzą Bartnicki i Julian).

SCENA IX.

ŻABUSIA, MARYA, później FRANCISZKA.

Żabusia (przy oknie). Wychodzą z bramy!... jak babcię kocham, wychodzą!

Marya (na przodzie sceny). On!... on!...

Żabusia (biegnąc do kuchni). Franciszko!... Franciszko!

Franciszka. Słucham pani!

Żabusia. Idź do pani Maniewiczowej i powiedz pani, że ja natychmiast przyjdę... niech pani na mnie czeka.

Franciszka (przerywa). Kiedy proszę pani — pani Maniewiczowa już z pół godziny jak wyszła z mężem na miasto.

Żabusia (zmieszana). Dobrze!... odejdź.

(Franciszka wychodzi).

Marya (zrywa się i rzuca się ku Żabusi). Jezus Marya!... Jezus Marya!...

Żabusia. Maniu, co ci się stało?...

(Skacze na kanapę zwijając się w kłębek).

Marya (w szalonym gniewie chwytając ją za ręce). A nikczemnico!... to twój kochanek!... nie tamtej!... nie tamtej!...

Żabusia. Puść mnie!...

Marya. Ach ty nikczemna!... zabiłaś mnie!..

(Pada zemdlona na ziemię. Żabusia pozostaje nieruchoma, klęcząc na kanapie z oczyma utkwionemi w leżącą Maryę.

Zasłona spada.

AKT TRZECI.

Ta sama dekoracya co w akcie pierwszym i drugim. Za podniesieniem zasłony w drzwiach przedpokoju stoi niańka gotowa do wyjścia, owinięta chustką, trzymająca na ręku małą Jadzię, ubraną w płaszczyk i kapturek. Obok stoi Żabusia i poprawia na dziecku ubranie).

SCENA I.

ŻABUSIA, NIAŃKA, MAŁA JADZIA.

Żabusia. Niech niańka nadstawi łapę. Tu jest czterdzieści groszy tam i czterdzieści groszy z powrotem na dorożkę. A tu za dwadzieścia groszy kup Jadzi karmelków a sobie tam za dziesięć groszy czego.

Niańka. Dobrze proszę pani.

Żabusia. Panience się kłaniaj i nie siedźcie długo. Wracajcie przed wieczorem.

Niańka. Rozumiem proszę pani.

Żabusia. A z dorożki nie wyleć... i trzymaj dobrze Nabuchodonozora, żeby nie wyleciał,..

Niańka. Dobrze proszę pani.

(Żabusia całuje córkę).

Żabusia. No wynoście się swoim kosztem i wracajcie prędko... (Woła do przedpokoju). A zasłoń dziecko woalką, bo się opali... (Biegnie do okna balkonowego). Żeby tylko zaraz znalazła dorożkę... Może lepiej było posłać kucharkę po jednokonkę... Stoją na trotuarze... Mój Nabuchodonozor!... moje śliczności, moja księżniczka. (Wysuwa się na balkon, ale zostawia drzwi szeroko otwarte). pa!... córeczko!... pa!... widzi mnie...

SCENA II.

BARTNICKI, ŻABUSIA.

Bartnicki (idzie ku balkonowi. Jest schylony, trochę zmieniony i smutny). Żabuś!... gdzież ona?... a na balkonie.

Żabusia. Patrz Raku... Nabuchodonozor dryndą jedzie!...

Bartnicki. Jak Boga kocham prawda! (Przesyłają dziecku pocałunki i wracają na scenę). Posłałaś dziecko do Mani?

Żabasia. Tak!.. mowiłeś mi, że prosiła cię, aby Jadzia dziś po obiedzie do niej przyjechała.

Bartnicki. Właśnie wracam od Mani. Czeka na dziecko!

Żabusia. Jakże się dziś czuje?

Bartnicki (macha ręką). Nieszczególnie. Osłabiona bardzo, ledwo się na nogach trzyma.

Żabusia. Ale już w łóżku nie leży?

Bartnicki. Nie.

Żabusia. Co mówi doktór?

Bartnicki. Że powrót do zdrowia będzie bardzo długi... trzeba ją wysłać na wieś, albo w góry.

Żabusia (szybko). Tak!... tak!... najlepiej będzie, skoro wyjedzie z Warszawy.(Po chwili). Czy to prawda, że jej włosy obcięli.

Bartnicki. Spodziewam się... zapalenie mózgu... jakże chcesz!... (Z nagłym wybuchem). A, biedna moja Mańka... taka znieniona! taka zmarnowana! Ci co ją w tą chorobę wtrącili, ciężki mi za nią rachunek oddadzą.

Żabusia (zmieszana). Ależ mój drogi... Choroba Mani przyszła sama... bez niczyjej winy... zapewne zadużo czytała. Ja zawsze mówię, że kobieta nie powinna być zamądra. Te wszystkie książki, ta cała literatura, teraz Mani zrobiły to, że jej wszyskie włosy wyszły.

Bartnicki. To nie książki Żabciu... to ludzie!

Żabusia (niespokojna ramionami wzrusza). A ja ci mówię, że książki.

Bartnicki. A ja ci mówię, co wiem napewno.

Żabusia. Co wiesz napewno?

Bartnicki. To, że moja biedna siostra jest nieszczęśliwą przez dwoje nikczemnych ludzi, którzy jej życie zatruli.

Żabusia. A!...

Bartnicki. Tak!... tak!... ty tego nawet zrozumieć nie możesz, bo ty jesteś dobre i poczciwe dziecko, ty nie wiesz nawet, jakiego rodzaju nikczemne, panie tego, kobiety chodzą po Bożym świecie (zrywa się). I pomyśleć, że to ja, panie tego, ratowałem tych dwoje szubrawców i wyprowadzałem tego pana z bramy pod rękę.

Żabusia (kurcząc się instynktownie). Cóż ma twoja siostra do całej historyi Maniewiczowej z tym panem?

Bartnicki. Co ma? co ma?... A wiesz ty, kto jest ten błazen, którego nam twoja pani Maniewicz na balkon wyrzuciła?... To narzeczony Mani...

Żabusia. O!...

Bartnicki. Tak, ten narzeczony, którego nam miała wreszcie przedstawić i który miał się z nią ożenić!... I ta wymalowana nikczemnica romansowała z nim tymczasem, sprowadzała go do swego domu, odbierała go Mani, mojej Mani, takiej Mani!...

Żabusia (cicho). Od kogo się o tem dowiedziałeś? od Mani?

Bartnicki. Od niej? taka skryta, że w gorączce nawet jeszcze liczy się ze słowami. Jakeśmy ją ztąd wtedy z ziemi podnieśli i nieprzytomną do domu zawieźli... to tylko powtarzała ciągle „zabili mnie! zabili mnie“!... No i tak było ciągle—zresztą wiesz o tem dobrze. Już ci to mówiłem... Doktór mówi, że to może tyfus... a drugie a trzecie, nawet ty dlatego do niej chodzić nie chciałaś, ale ja to wiesz, tak chłopskim rozumem powiadam sobie—to nie tyfus panie tego, co mi tak je moją dziewczynę... to zgryzota!... I skoro już tak było źle, że ot! ot!... śmierć była za progiem, ja panię myślę... gdzie ten narzeczony? dlaczego o nim ani widu, ani słychu... może on mi wyratuje dziewczynę... bo go strasznie kochała. Więc zacząłem przewracać jej papiery, myślę, może się ślad jaki znajdzie kto, gdzie ten pan... znajduje listy... czytam panie tego, rozumne, mądre, pół rozumiem, pół nie... ot zrozumiałem tyle, że ją nazywał ciągle kobietą wyższą!... patrzę... fotografia! do lampy z nią pod światło... mrowie mnie przeszło, poznałem tą gębę... to ten sam, com go z balkonu zabrał i pod rękę z bramy sprowadził, krew mi zbiegła do serca... zrozumiałem wszystko. Mańka tu była wtedy, dowiedziała się, że ten błazen ją zdradzał i tak sobie to wzięła do serca, że aż zachorowała. A nawet... czekaj!...

pamiętasz, jak on wyszedł z tego balkonu to oboje spojrzeli się na siebie i pogłupieli!... pamiętasz?

Żabusia. Nie pamiętam!

Bartnicki. Bo też i ty wtedy byłaś taka wystraszona i zmieszana, że i o ciebie się bałem... I to wszystko przez tę przeklętą!... Dam ja jej romanse!

Żabusia. Cicho!... nie krzycz!...

Bartnicki. Dlaczego nie mam krzyczeć!... będę krzyczeć!... niech jej mąż posłyszy... Co ona sobie myśli? że ja pozwolę dla ocalenia jej sytuacyi, tak panie tego, moją siostrę krzywdzić...

(Żabusia idzie ku drzwiom balkonowym i zamyka je).

Bartnicki. A tą furtkę co kazała sobie w kracie dorobić, żeby tu co chwila przyłazić, każę zamknąć od dziś na taki panie tego rygiel, że go żaden ślusarz ani kochanek nie odśrubują... (Po chwili spokojniej). Czy wiesz Żabciu, że ja u niego byłem.

Żabusia (szybko). Byłeś po co?...

Bartnicki. Jakto po co. Żeby go panie tego nauczyć rozumu i obić panie tego za jego łajdactwo... Adresu domacałem się i dopytałem u tych ludzi, u których Mańka mieszkała, bo syn ich nieraz do niego z listem biegał.

Żabusia (wahająco) I... widziałeś go?...

Bartnicki. Nie, bo szelma uciekł!... jak ostatni tchórz... wyjechał!...

Żabusia (z uczuciem ulgi). Wyjechał.

Bartnicki. Ale ja go dogonię!... Rozpytywałem tam o niego w kamienicy, stróża... chciałem wiedzieć mniej więcej coś o nim... i wiesz? ta Maniewiczowa musiała dobrze pieniędzmi sypać, bo o niej stróż ani dudu... a tylko o jakiejś innej, blondynce... o małej... (nagle) Żabcia, czy ty czasem do niego nie chodziła?

Żabusia (przerażona). Ja?

Bartnicki. Ty, bo ty masz takie poczciwe serduszko, żeś gotowa dla oddania komuś usługi Bóg wie co, zrobić... Mogła cię Maniewiczowa posłać z jaką karteczką, albo z ustnem poleceniem. Powiedz mi, chodziłaś? lepiej się przyznaj.

Żabusia. Nie Raku, nie chodziłam!

Bartnicki. Jak mnie kochasz?

Żabusia. Jak cię kocham!

Bartnicki. Ale pewnie nieraz Maniewiczowa prosiła cię o to?

Żabusia. Prosiła... ale ja nie chciałam.

Bartnicki. Oddycham!... Która to godzina? Siódma! Dlaczego ten dziadzio nie przychodzi.

Żabusia. A po co ci dziadzi?

Bartnicki. Muszę się z nim naradzić, co zrobić z tym błaznem i jak go odnaleźć.

Żabusia. To dziadzio wie?

Bartnicki. Spodziewam się, że wie!

Żabusia (zrywając się). Po co? po co? jeszcze babci powie!

SCENA III.

Ciż sami i MANIEWICZOWA przez drzwi balkonu.

Maniewiczowa (za drzwiami stuka). Czy wolno?

Żabusia. Ona? proszę cię, mój Raku, odejdź... ja sama ją przyjmę...

Bartnicki. Nie!... to ja panie tego ją przyjmę... oddawna chciałem się z nią spotkać, ale ty zawsze przeszkodziłaś...

Żabusia. Raku!... ja nie chcę!

Bartnicki (idzie ku drzwiom balkonowym). Pozwól, to do mnie należy...

(Otwiera drzwi, ale nie wpuszcza do pokoju Maniewiczowej).

Maniewiczowa (wesoło). Cóż to zamknęliście się, przed kim? przedemną?

Bartnicki. Zamykamy te drzwi odkąd nieszczęście niemi weszło pani dobrodziejko.

Maniewiczowa. Nieszczęście? przez balkon?...

Bartnicki. Tak... a że my swój spokój cenimy bardzo... więc panie tego... choć mi

to bardzo boleśnie, ale uprzedzam panią dobrodziejkę, że te drzwi będą zawsze zamknięte...

Maniewiczowa. Co panu jest, panie Raku?... czy zaczynasz cierpieć na zawroty głowy?...

Bartnicki (z hamowanym gniewem) Moja główna choroba — to uczciwość! i to choroba całego mojego domu... całej mojej rodziny! Ja chcę, żeby próg mojego domu nie był splamiony nigdy nogą szubrawców a taka żona, panie tego, co kochanków do domu podczas nieobecności męża wpuszcza... to jest... panie tego... ja już wiem co ona jest!...

Żabusia. Raku, proszę cię!...

Maniewiczowa. Co to wszystko znaczy?

Bartnicki. Niech pani przedemną nie udaje i oczów nie mruży, bo ja choć, panie tego, narazie na prośby Żabusi panią wyratowałem... ale kpić z siebie nie dam. A o Żabcię mi także chodzi. To dobre, niewinne i czyste dziecko. Pani mi ją możesz popsuć a już dosyć nieszczęścia na ten dom spadło... Dlatego pani daruję.. ale.. (z gestem). Kłaniam.

(Wychodzi trzaskając drzwiami).

Maniewiczowa. Co się dzieje?

Żabusia (szybko). Nic! nic! nieporozumienie... zlituj się nademną... nie przychodź tutaj... ja to naprawię wszystko jakoś... Zresz

tą już tak zrobię, że się ztąd wyprowadzimy! moja droga! moja droga daruj to wszystko! ale... ja ci powiedzieć nie mogę, bo tybyś się na mnie gniewała...

Maniewiczowa. Czyś ty czasem jakiegoś swojego wybryku na mnie nie spędziła?

Żabusia. Ja? cóż znowu! jak babcię kocham nie! Tylko Rak zrobił się taki podejrzliwy... i to wszystko przez tę Manię... to ona go tak zbuntowała...

Maniewiczowa. Przyznam ci się, że robicie na mnie wszyscy wrażenie szpitala waryatów i twój mąż nie potrzebuje mi drzwi zamykać, aby mi odebrać ochotę przychodzenia do was przez czas dłuższy... Żegnam cię, moja droga... i pamiętaj co ci powiedziałam. Strzeż się wplątać w jakąś awanturę... twój spryt i twoja przebiegłość nie na wiele ci się wtedy przydadzą. Nerwy wezmą górę i... zgubią cię!... bądź zdrowa!...

(Wychodzi przez balkon i znika).

SCENA IV.

Żabusia (sama. Ściemnia się). I... zgubią cię!... o!... zdaje mi się nagle, że nie mam dachu nad głową... Zimno!... to był jej narzeczony!... (nagle). Jezus Marya!... jeżeli ona to wszystko Rakowi powie!... co ja zrobię!... co ja zrobię!... (po chwili). Dlaczego

ta niańka nie wraca? jeszcze mała się zaźiębi. Nie mogłam odmówić żądaniu Mani i nie posłać do niej dziecka. Boję się teraz sprzeciwić jej w czemkolwiek... Ze strachu głowę tracę.

(Wychodzi do swego pokoju).

SCENA V.

MILEWSKI, FRANCISZKA, później BARTNICKI.

Franciszka. Niech starszy pan pozwoli! ja zaraz pana zawołam.

Milewski. Rozdarłem sobie palto.

Franciszka. A czegóż to starszy pan przez kuchnię przyszedł?

Milewski. Żeby ciebie zobaczyć.

Franciszka. Ojej, także zachcenie. (Idzie do Bartnickiego i woła). Proszę pana, starszy pan już przyszedł.

(Idzie do kuchni).

Bartnicki. A!... nareszcie... wie dziadzio... ten szubrawiec wyjechał.

Milewski. A cóż miał innego do zrobienia. Zawsze w takich razach mężczyzna wyjeżdża.

Bartnicki. Ale ja go odnajdę. Dziadzio mi dopomoże.

Milewski. A czego ty właściwie chcesz od niego?

Bartnicki. Chcę mu uszy obciąć!

Milewski. W takim razie nie spiesz się zbytecznie. Ja myślałem, że ty masz inne plany.

Bartnicki. Jakie?

Milewski. Ja myślałem, że ty chcesz wpłynąć na tego pana i na twoją siostrę... zgodnie i dodatnio.

Bartnicki. Jakto? niby żeby Mańka przebaczyła?

Milewski. Aha.

Bartnicki. I poszła za niego?

Milewski. Naturalnie. Skoro go kocha i ponieważ to już było ułożone...

Bartnicki (krzycząc). Ale dziadzio zapomniał, że on ją zdradził!

Milewski. O!... zaraz zdradził, zdradził. Mężczyzna nie zdradza, tylko... się zapomina. A zresztą można Mani wytłómaczyć, że się pomyliła, że to wszystko nie prawda!... W kobietę wszystko można wmówić!... Ona tylko na to czeka.

Bartnicki. Inna kobieta—nie Mańka.

Milewski. Głupi jesteś... Niema innych kobiet... są tylko kobiety.

Bartnicki. Mańka nie przebaczy.

Milewski. Przebaczy! Gadanie!... A zresztą cóż znowu tak strasznego?

Bartnicki. Jakto co strasznego? Był zaręczony i miał kochankę!

Milewski. Wielka historya!

Bartnicki. Dla mnie wielka historya.

Milewski. Bo ty, oprócz Żabusi już innej kobiety na świecie nie widzisz... Nic dziwnego — bo też takiej Żabusi na świecie nie znajdziesz. Ale też panna Mania... to nie Żabusia. Daruj mój drogi, ale twoja siostra to czysty pastor w spódnicy. Cóż dziwnego, że młody chłopiec tego... ten...

Bartnicki. Dziadzio go uniewinnia.

Milewski. Spodziewam się. Wszystko zależy od usposobienia. Ty masz takie usposobienie a ktoś inne. Cóż ja winien naprzykład, że mnie ciągle coś za babami ciągnie... Czy to moja wina, że nie umiałem się kochać tylko w babci całe życie? Ha!... A czy przez to babcię mniej kocham? co? nie. A czy może babcia nie jest szczęśliwa? bo nic nie wie... O! w tem cała filozofia... trzeba ażeby i ona nic nie wiedziała. Zdradzać można tylko tak, ażeby to na wierzch nigdy nie wyszło. Jak nie wyjdzie to i wilk syty i owca cała.

Bartnicki. E!... prawda jak oliwa na wierzch wypływa.

Milewski. A ot u mnie nie wypływa... Dwadzieścia sześć lat... i babcia przysięgłaby, że jestem wzorem mężów. Trzeba umieć

dobrze łgać. O!... tu cała sztuka!... i nigdy się nie przyznać. Co do mnie, jestem przekonany, że Mania przebaczy i że będziemy jeszcze na weselu. Gdzie Żabcia? chcę się z nią pożegnać i chodźmy do cukierni. Pogadamy jeszcze po drodze... Zamiast obcinania uszów, kup lepiej obrączki...

Bartnicki. Nigdy!...

Milewski. Głupi jesteś. Wierz staremu... ja wiem co jest żyć!... chodź!...

Bartnicki. Żabusia!...

SCENA V.

Ciż sami, Żabusia.

Żabusia. Wołasz mnie Raku?

Bartnicki. Tak, wychodziemy z dziadziem...

Żabusia. Dobry wieczór dziadziowi!...

(Całuje ojca).

Bartnicki. Co ci to Żabciu? masz oczęta czerwone? płakałaś?

Żabusia. To nic, głowa mnie boli.

Bartnicki. Zmartwiłaś się, że wyrzuciłem za drzwi Maniewiczową? Ale jak Boga kocham inaczej postąpić nie mogłem.

Żabusia. Nie, to mi wszystko jedno... tylko niespokojna jestem... niańka z dzieckiem nie wraca.

Bartnicki. Nic im się nie stanie. Mania musiała im zrobić czekoladę i bawi się z Nabuchodonozorem... Nie widziała dziecka blizko od miesiąca... Niech się z nią nacieszy.

Żabusia. Wolałabym żeby już Jadzia była w domu.

(Idzie ku drzwiom balkonowym, nachyla się i patrzy na ulicę).

Milewski (patrzy na nią). Cacko!... nie dlatego, że moja córka, ale... cacko!... To nie żadna sztuka, że jej nie zdradzasz. Babcia także mnie nie zdradzała, nawet jej to przez myśl nie przeszło. Żabcia wdała się we mnie jak dwie krople wody... przypomina mnie zupełnie i z charakteru i z wyglądu... (do Bartnickiego). Więc przepędziłeś tę Maniewiczowę?

Bartnicki. Ajakże... bez pardonu!...

Milewski. Miałeś racyę. Co nam, mężczyznom wolno, to kobietom zasię... Kobieta powina być jak kryształ... o! jak Żabcia!... Już my ją z babcią na pokusy uzbroili... Ta ma zasady! Możesz być spokojny.

Bartnicki. Spodziewam się (do żony). Dowidzenia Żabciu, może ci przynieść antipiryny?

Żabusia. Nie Raku!... dziękuję... (Dławiąc się łzami, uwiesza u męża na szyi). Ja ciebie bardzo kocham, Raku!

Bartnicki. Moje ty Żabstwo brylantowe!

Milewski. Przyjdziemy wieczorem z babcią... zagramy w loteryjkę...

Żabusia. Przyjdźcie!...

(Odprowadza ich do przedpokoju)

SCENA VI.

Żabusia (sama. Ściemniło się zupełnie. Żabusia idzie do okna balkonowego i patrzy). Nie widać ich!... Boże, jakbym chciała, ażeby dziecko już było w domu! (Wzrusza ramionami). Głupia jestem, nieraz przecież Jadzia wracała jeszcze później od Babci i nic się jej złego nie stało... Może deszcz pada? nie! nie! sucho i ładnie... (wraca na przód sceny). Ciemno już... zapalę lampę, nie będzie tak smutno! (Zapala lampę i znów idzie do okna). Jakaś dorożka, nie... jedzie dalej!... (bije ósma). Jóż ósma!... zapalają gaz. (Nagle jakby ją coś za serce chwyciło). O!.. żeby tylko Mania milczała!... żeby ona tylko nic Rakowi nie powiedziała... zaraz mnie dreszcze, przejmują, kiedy o tem myślę... Boję się... zawołam Franciszkę i zrobię z nią rachunek... będzie mi weselej... zajmę się czem... O!... (Pociera ręką po czole i idzie do kuchni i woła). Franciszko! Franciszko!... (milczenie). Niema jej!... wyszła i zostawiła drzwi otwarte!... zaczekam! (owija się szalem i siada w kąciku). Jak mnie głowa boli!... (zamyka oczy, chwilowa pauza).

SCENA VII.

ŻABUSIA, MARYA.

(Przez drzwi otwarte wchodzi Marya, ubrana czarno, w pelerynce zarzuconej na ramiona. Na głowie ma czepeczek wiązany pod brodę i kryjący zupełnie jej głowę bez włosów. Jest bardzo zmieniona. Wszedłszy zamyka za sobą drzwi kuchenne i staje naprzeciw Żabusi oświetona lampą, podczas gdy Żabusia jest w cieniu).

Żabusia (otwiera oczy, dostrzega Maryę i krzyczy). To ty!

Marya. Ja!...

Żabusia. Gdzie Jadzia?

Marya. U mnie!

Żabusia. Chora?

Marya. Zdrowa...

Żabusia. Dlaczego jej nie przywiozłaś?

Marya. Bo twoja córka już do tego domu nie wróci.

Żabusia. Nie wróci?... Jadzia?...

Marya. Tak!... nie krzycz!... krzykiem nic nie naprawisz. Pamiętaj, że i ty i twoje dziecko jesteście moralnie w mojem ręku. Lepiej milcz i słuchaj co ci mówić będę. To obrachunek pomiędzy nami a ta chwila przyjść nareszcie musiała. Powinnaś była na to się przygotować...

Żabusia (łkając). Czego ty chcesze odemnie?... czego ty chcesz odemnie?... (chowając się za fotel). Nie zrób mi nic złego!

Marya. Nie lękaj się... nie uczynię ci żadnej fizycznej krzywdy...

Żabusia. Ja nie jestem winna, to on!...

Marya (z ironią). To samo i on mi napisał... ja nie jestem winien — to ona!... para zbrodniarzy, rzucająca na siebie wzajemnie odpowiedzialność za spełnioną zbrodnię... Nawet z godnością swej podłości nosić nie umiecie!...

Żabusia. Oddaj mi moje dziecko!

Marya. Nie zasługujesz na to!... Wiedziałam oddawna, że jesteś występną. Przeczuwałam to instynktem kochającej siostry; mnie twe słodkie minki nie zwiodły, twa święta naiwność, twój wdzięk i pieszczoty nie budziły we mnie zaufania. Od dziecka boję się kotów i takich jak ty pieszczotek! Ile razy wracałaś ze schadzki z rozrzuconemi włosami i płonącemi oczyma i chwytałaś w swe objęcia dziecko, całowałaś swego męża, rodziców—ja usuwałam się od ciebie i drżałam ze wstrętu. Robiłaś na mnie wrażenie gadziny, podczas kiedy inni, ci oszukiwani, nazywali cię wiochną i promieniem słońca!... (po chwili). Wszystko to jednak były moje domysły, moje przeczucia... na nich nie mogłam oprzeć swego oskarżenia.

Los jednak zrządził, że kochankiem twoim został... mój narzeczony!

Żabusia (szybko). Ja nie wiedziałam... gdybym wiedziała, przysięgam ci...

Marya. Postąpiłabyś tak samo!

Żabusia. Nigdy!... Skoro tylko byłby znajomy i bywał w domu... to przecież... nie... ja taka zła nie jestem!...

Marya. Chwilami patrząc na ciebie czuję, że mnie przytomność opuszcza. Ty masz cały odrębny kodeks moralności, który sobie stworzyłaś i wysnułaś z twego ptasiego mózgu. I według tego kodeksu, ty i tobie podobne oplątujecie rozum i serca ludzi, kłamstwem cukrowem osładzacie waszą nikczemność! I świat oczarowany waszym wdziękiem stawia dla was kapliczki uwielbienia, zamiast powlec was na pręgież i ochłostać rózgą pogardy i nienawiści!...

Żabusia (zakrywając twarz). Ja taka zła nie jestem!

Marya. Nie, ty nawet jesteś bardzo dobra, bardzo poczciwa Żabusia! Ty kochasz wszystkich i męża i dziecko i kochanka. Ty pogodzić wszystko potrafisz... i obowiązki żony i matki i... kochanki!...

Żabusia. Czego więc chcesz odemnie?

Marya. Czego ja chcę? Chcę, żeby to życie kłamstwa i nikczemności, w którem przebywa mój brat i jego dziecko skończyło

się z dniem dzisiejszym! Nie sądź, że przezemnie przemawia znieważona w swych uczuciach narzeczona! Nie— narzeczonego mojego rzucam ci na pastwę, możesz się z nim połączyć, jeżeli zechcesz, ale brata mojego oszukiwać ci nadal nie pozwolę. W chwili, gdy Julian ukazał się w tych drzwiach—serce moje zamarło, bo miałam dowód jego zdrady względem mnie. Zapanowałam jednak nad bólem moim i powiedziałam, że nie znam tego człowieka. W kilka chwil później wskutek twej własnej nieostrożności, poznałam całą ohydę twojej zdrady względem mego brata. Wtedy... siły mnie opuściły, przeraziłam się stojąc wreszcie wobec twej zbrodni. Ogrom twego kłamstwa był dla mnie uderzeniem piorunu... (cicho). O mało nie umarłam. (Chwila milczenia). Jak ja go przecież chroniłam od zetknięcia się z tobą!... Nie mam wiele doświadczenia, bo skąd go mieć mogę? ale mam instynkt, który mi mówił: „skoro się tych dwoje pozna, kłamać będą wspólnie“. A przecież Julian nie jest przeciętnym człowiekiem. Każda inna kobieta w jego powadze, w jego inteligencyi byłaby widziała dostateczną ilość odpornej siły przeciwko pokusom takiej jak ty istoty. Ale ja widząc jak obmotałaś w swe sieci najuczciwszego człowieka, jakim jest mój brat, lękałam się, że podziałasz w ten sposób i na

Juliana. Chłopski mój rozum mówił mi, że w mężczyźnie ani uczciwość, ani inteligencya nie mają nic wspólnego z tem, co wy, Żabusie nazywacie szałem, czy namiętnością. Nie zawiodłam się, bo choć nie wprowadziłam pod wasz dach Juliana, potrafiłaś jednak znaleźć go i połączyć się z nim na moje nieszczęście... (nagle). Powiedz mi przynajmniej, dlaczego ty to uczyniłaś?

(Żabusia milczy).

Marya. Dlaczego?

Żabusia (cicho). Ja... nie wiem...

Marya. Czy kochałaś go przynajmniej.

Żabusia. Nie wiem.

Marya. Otóż to właśnie! nie wiem, to jedyna twoja wymówka... ty... nieodpowiedzialna, niepoczytalna lalko bez mózgu, ze zbyt dobrem sercem!... Z tem słodkiem słowem nie wiem, popełniasz występek za występkiem i całe twoje władze umysłowe wytężasz w jednym tylko kierunku. Okłamać tak wszystkich, aby ci wszyscy czuli się zadowoleni. I tryumfujesz kochana, ubóstwiana, stawiana później za wzór swoim własnym dzieciom, skoro te dorosną. A jedyną cnotą twoją, jedyną zasługą jest to, żeś zręcznie i bez zająknienia kłamać umiała. (Po chwili). Ale dość o tem, to co się stało nie wróci. Powtarzam ci raz jeszcze, możesz się połączyć ze swoim kochankiem... Ja wam

nie będę stać na drodze. (Podnosząc ton i silniej). Trzeba jednak, ażebyś zrozumiała czego chcę od ciebie! Mój brat dłużej z tobą żyć nie może... nie będzie... zrozumiałaś mnie?

Żabusia (blednąc ze wzruszenia). Rak... ze mną?... dlaczego?

Marya. Bo ja na to pozwolić nie mogę!

Żabusia. Powiesz mu?

Marya. Nie, to ty mu sama powiesz!

Żabusia (z płaczem). Ja?... nigdy!...

Marya. A jednak powiesz... skoro zrozumiesz o co idzie. Mąż twój bezwarunkowo dowie się o wszystkiem. Jeżeli ty mu sama nie powiesz, ja go o wszystkiem uwiadomię, gdyż milczeć dłużej sumienie moje mi zabrania. Mówiąc jednak, że jedyną twoją zaletą jest „kłamstwo“ pomyliłam się. Zapomniałam bowiem, że tak jak wiele kobiet takich jak ty, kochasz bardzo swe dziecko... prawda?

Żabusia. Kocham!

Marya. Tak, można być żoną występną, lecz zarazem wzorową matką!... To zdaje się niemożliwe a jednak jest tak — nie inaczej. Rozstając się z mężem, musisz także rozłączyć się z dzieckiem...

Żabusia (z krzykiem prawdziwego bólu). Nie!... nie!... zostawcie mi dziecko!... ja sobie ztąd pójdę, tylko zostawcie mi dziecko!...

Marya. Dzieko może zostać przy tobie.., tylko...

Żabusia (na kolanach). Co chcesz wszystko zrobię, tylko niech moja mała przy mnie zostanie! Ja ci straszną wyrządziłam krzywdę, to rozumiem! mówisz, że ukrzywdziłam także mego męża... może masz racyę, ale ja nie wiem, że ja mu krzywdę zrobiłam! Ja mam już taką naturę... ja nie mogę się kochać zawsze w jednym i tym samym człowieku, ale ja tak zawsze postępowałam, że Rakowi się żadna krzywda nie działa! Ale... ty mówisz, że ja powinnam się z nim rozejść... dobrze!... ja się z nim rozejdę, tylko mi dziecka nie zabierajcie! tylko mi moją Jadzię zostawcie!... ja już będę inna! ja się poprawię! ja... się... poprawię!...

Marya. Wstań!... mam litość nad tobą, nad twem uczuciem matki. I choć sumienie moje nakazuje mi również i dziecko z rąk twych wydrzeć, jednak nie chcę pozbawiać cię wszystkiego w życiu. Zostawię ci dziecko a raczej wymogę na moim bracie, że ci dziecko zostawi. Ja jednak czuwać nad wami będę. Skoro dojrzę, iż jad kłamstwa zaczynasz sączyć w duszę swej córki, odbiorę ci ją natychmiast. Jeżeli jednak chcesz ażeby się to stało, musisz sama wszystko powiedzieć mężowi. Tą chwilą szczerości

zmażesz poczęści wszystkie dawne kłamstwa twoje i przekonasz mnie, że i ty prawdę powiedzieć umiesz...

Żabusia (nerwowo podniecona jak w gorączce). I dziecko mi oddasz?

Marya. Oddam!

Żabusia. Jak Bóg na niebie?

Marya. Jak prawda na ziemi! (Dzwonek). Jeżeli to twój mąż—wiesz co masz uczynić...

Żabusia (prawie nieprzytomna). Wiem... wiem... wszystko mu powiem, bo ty mu powiesz jeżeli ja... mu... nie zechcę powiedzieć... ja znam ciebie...

(Biegnie ku drzwiom przedpokoju otwiera drzwi wchodowe).

SCENA VIII.

MARYA, BARTNICKI, ŻABUSIA.

Żabusia (całą tą scenę gra jak w gorączce). Dobrze żeś przyszedł... usiądź!... albo nie!... ja ci muszę coś powiedzieć Raku!

Bartnicki. Co się stało?... ty cała się trzęsiesz jak w febrze... a!... Mania tutaj?.. co to wszystko znaczy?

Marya. Twoja żona chcę ci powiedzieć... (Usuwa się na bok).

Żabusia. Tak mam ci powiedzieć... to jest muszę ci powiedzieć... każą mi powiedzieć, że... ja... miałam kochanka...

Bartnicki. Jezus Marya!... ona ma gorączkę...

Żabusia (wyrzucając ze siebie słowa jak w gorączce). Nie... nie... ja wiem dobrze co mówię... Ja miałam kochanka... poznałam się z nim w Botanicznym ogrodzie... schodziłam się z nim często... (z krzykiem). Raku... ty się na mnie nie gniewaj—bo ja i ciebie także kochałam! (Do Maryi). Oddaj mi teraz dziecko!...

Bartnicki (cofa się z oczyma szeroko rozwartemi). Żabcia!... Żabcia!... co się z tobą dzieje? a toż mówisz takie herezye, że mi tchu brakuje jak cię słyszę... Sfiksowałaś? Mańka, co jej się stało? powiedz ty jej, że nawet przez usta poczciwej kobiety nie powinny przejść takie głupie słowa... Słyszałaś Mańka, co żona mówiła? (Mańka milczy. Żabusia padła przy kanapie. Bartnicki uczuwając zaniepokojenie). Dlaczego ty jesteś taka blada Mańka i dlaczego ty nie śmiejesz się z jej bzika?... Dlaczego ty się tak dziwnie patrzysz na mnie? Przemów co, powiedz, że... (Po chwili nagle przyskakując do Żabci). Matko Boża... może ona prawdę powiedziała?... Słuchaj Żabciu... powtórz raz jeszcze to coś mówiła...

Żabusia. Och! Raku!...

Bartnicki (chwytając jej głowę i sunąc rękami po jej twarzy). Ty płaczesz? ty na-

prawdę płaczesz, nie udajesz? Mańka także naprawdę jest blada... Wy nie kłamiecie? to prawda?... O!... o!... co będzie teraz? co będzie teraz?... (Pada na krzesło, po chwili łkając). Dlaczegoście mi o tem powiedziały? tacy byliśmy szczęśliwi....

Marya. Nie mogliście dłużej żyć w ciągłem kłamstwie i wzajemnem oszukiwaniu się.

Bartnicki (płacząc). Kiedy nam z tem dobrze było! A teraz co? Ruina... pogorzelisko... Nie mam domu, nie mam żony... nie mam nic... (do Żabusi gwałtownie). Dlaczegoś to zrobiła? po co? odpowiedz!

Żabusia. Nie wiem!

Bartnicki (chodząc po pokoju i drąc włosy rozpaczliwie). Co teraz zrobię?... gdzie pójdę!... dla mnie już niema nic na świecie... zabiję tamtego... ale co mi z tego przyjdzie... nie wróci mój dom... nie wróci Żabcia... (Z głośnym jękiem padając na krzesło)! O!... niechby to już było... tylko czemuście wy mnie wszystko powiedziały! Było wszystko... a teraz niema nic! nic!... Mnie serce pęknie... Jaki ja biedny!...

(Długa chwila milczenia, słychać tylko płacz Żabusi i Bartnickiego).

Marya (zrywa się i wchodzi pomiędzy nich). Dosyć! nie płacz Janku! czyż ty nie widzisz, że ona kłamie... że to jej zwykłe figle... (Do Żabusi ostro i cicho). Dalej...

skłam żeś skłamała, każę ci... nadto wielka ruina... kłam dalej, dalej... tak potrzeba dla jego szczęścia... przyszlę wam dziecko... kłam, każę ci!...

(Żabusia z krzykiem radości rzuca się do kolan męża).

Bartnicki. Idź precz!... idź precz! nie znam cię! muszę cię nie znać!

Marya. Kiedy to był żart... ułożona farsa... graliśmy ją wszyscy... nudno było... chciałam, chciałyśmy się zabawić...

Żabusia (nieśmiało powtarzając). Nudno było... chciałyśmy się zabawić...

Bartnicki. Jakże to się zabawić?... to zabawa? kiedy ja płaczę?...

Marya. Nie myślałam, że potrafisz tylko płakać i gdybym była wiedziała...

Bartnicki. To co? to co? no! gadajcie, czego się mam trzymać, bo oszaleć przyjdzie... Prawda czy nieprawda? niech wiem... bo toć łeb człowieka nie wytrzyma czegoś podobnego. Kiedyżeście kłamały! przedtem... czy teraz? No gadaj, Żabusia... Spójrz mi w oczy... albo nie — ty, nie... to Mańka niech powie... czy ona kłamała kiedy mówiła, że zna tego... jakiegoś z Botanicznego ogrodu i że go kocha?

Marya (szybko i żywo). O!... przysiądz ci mogę na wszystko, że kłamała wtedy, kiedy mówiła, że go kocha.

Bartnicki. No! jeżeli ty przysięgasz... (Po chwili z wybuchem serdecznej radości). A to baby!... a to mnie wzięły na fis!... a to komedyantki!... niechże was kaczki zdepczą... jak Boga mego kocham, jak Boga kocham! I rozbeczałem się głupiec, jak jaka baba... A bo się naokoło mnie wszystko walić zaczęło i zdawało mi się, że mnie ktoś żywcem w trumnę wpakował... A to szkaradne zbytnice, jak to mnie zmaniły!... No, że Żabcia ma szusa, to dawno wiadomo i nieraz mi już figla wypłatała... choćby wtedy jakeś list do mnie napisała, że żyć ze mną nie możesz a samaś w szafie siedziała... ale żeby Mańka się dała do tego namówić, to jak Boga mojego kocham... no!... no!... trzeba już żeby ta Żabcia wszystkich na swoje kopyto przerobiła... No... no... (Wstaje chodzi po pokoju zaciera ręce i śmieje się hałaśliwie). A jak to sama beczała! o! Raku! Raku!... ja się z nim poznałam w Botanicznym ogrodzie. Komedyantka! jakby była na scenie, to niczem Modrzejewska!... Jak mi ty tak wygrywać będziesz! to cię jeszcze do komedyantów oddam... ty... ty... Żabo kochana. (Siada przy żonie całuje ją i pieści). A jak to czasem człowiek nagle rozum straci... A toż żebym się był zastanowił na chwilę, to byłbym zrozumiał, że to komedya, bo gdzież Żabciaby się takiej hańby dopuścić mogła...

Moja Żabcia! nasza Żabcia. To ta Mańka winna, że się dałem obałamucić, bo to panna prawdomówna, nigdy niby nie kłamie, więc mnie jakby obuchem w łeb... uwierzyłem... Ej wy baby! komedyantki!... a jak to gładko kłamią!... Jezu miłosierny!... (Chwila milczenia). Cóż obie nic nie mówicie? Takie jesteście kontente, że wam się udało i żeście mnie zwiodły? Tylko niech to będzie raz ostatni, bo jak Boga kocham mogło się stać nieszczęście. Ja byłbym się wypłakał a potem się do ciebie wziął... ty... Żaba... to byłyby z ciebie kosteczki nie pozostały... Tylko mnie to cieszy, że Mańka widać do zdrowia wróciła, skoro jej się żarty trzymają... A to jak Boga kocham koncepta... a to koncepta... Ale dzięki Bogu, że Mańka w figle się bawi. To dobry znak, widać zdrowie wraca... dzięki Bogu... dzięki Bogu...

(Całuję siostrę i garnie ją do siebie — drugą ręką tuli Żabusię. Dzwonek).

SCENA IX.

Ciż sami, FRANCISZKA, MILEWSKI, MILEWSKA, NIAŃKA, MAŁA JADZIA.

Marya (na przodzie sceny do siebie). Nie mogłam inaczej uczynić!.

Milewska (wchodząc). Czy jest tu panna Marya? wstąpiłam do pani i nie zastawszy jej, przywiozłam z sobą Jadzię...

Żabusia (rzuca się do dziecka). Moje dzidzi!... moje maleństwo!...

Bartnicki. Ostrożnie, udusisz jeszcze dziecko!

Milewski. Przyniosłem nowe szkiełka do loteryjki i pudełko angielskich cukierków takich, jakie Żabcia lubi.

Milewska. Zagramy zaraz w loteryjkę... a potem wypijemy herbatę...

Bartnicki. A ja wam opowiem, jakiego mi dziś figla pani Żabcia wypłatała...

Milewska. Figla!... aj ty!... ty... pieszczotko... ty zawsze myślisz, czem mężowi radość sprawić.

Bartnicki. Kiedy to nie był przyjemny figielek... przeciwnie, aż mi serce się tłucze jak nietoperz...

(Starzy przygotowują stół, rozkładają tabliczki, sypią szkiełka. Marya gotuje się do wyjścia).

Bartnicki. Jakto, Maniu, odchodzisz?

Marya. Tak.

Bartnicki. Dokąd?... Zostań... widzisz jak u nas wesoło...

Marya. Pójdę się nauczyć kłamać! — to i mnie będzie wesoło. (Wychodzi).

Milewski. Do loteryjki! do loteryjki!

Zasłona zapada.

KONIEC.

DZIEWICZY WIECZÓR.

Akwarela sceniczna w jednym akcie.

OSOBY:

BABUNIA.
MAMA.
TOSIA.
JÓZIA, zwana generałem.
FRANIA.
MANIA.
LILI.
MUSZKA.
LUNIA.
JULIA.
ZIUNIA.
MYSIA.
WISIA.
JANKA.
SŁUŻĄCA I.
SŁUŻĄCA II.

Manekin ze ślubną suknią.

Rzecz dzieje się w wigilię ślubu w zamożnym mieszczańskim domu.

SCENA I.

Scena przedstawia pokoik panieński Tosi, jasny i czysty. Na lewo łóżko białe, zasłane koronkową kapą, nad niem białe firanki; łóżko zastawione do połowy białym parawanikiem, w pokoju porozstawiane białe meble, małe białe bióreczko, na niem fotografia mężczyzny bardzo przystojnego. Nad łóżkiem Niepokalane Poczęcie Murilla, na lewo od widzów tualetka podszyta gipiurą, lustro, małe, przyrządy tualetowe, na pierwszym planie dwa foteliki i stolik. Po prawej, plan trzeci, ukośno, pianino jasne udrapowane jasną tkaniną. Na niem palma i jakaś biała grupa — na stolikach duże kosze z samych białych kwiatów i paproci, ozdobione gołębiami i kokardami z białego tarlatanu — świece w kandelabrach srebrnych błękitne. Dwie lampy białe z mlecznemi kloszami, zapalone. Na środku pokoju manekin, na nim wspaniała ślubna suknia z trenem, wieniec i welon. Wogóle wrażenie bieli, jasności, wesela. Przy podniesieniu zasłony scena pusta zupełnie. Po chwili wybiega Mysia.

(Mysia, malutka dziewczynka, ubrana w białe pończoszki, pantofelki białe, spódniczkę haftowaną, staniczek perkalowy wycięty,

włosy w papilotach — wbiega i chwilę stoi przed ślubną suknią w ekstazie, potem obchodzi ją dokoła wolno—wreszcie chwyta za wstążkę i całuje).

Mysia. Oh! ty śliczna sukienko! ty cacana sukienko! ty bardzo śliczna sukienko! ty taka śliczna jak jaka księżna w bajce—trzeba ci się ukłonić sukienko (dyga). Dobry dzień księżnej pani! Jak się ma księżna pani.

Ziunia (dziewczynka lat 10-iu ubrana także w pończoszki białe i pantofelki, w spódniczce, w staniczku, z włosami rozpuszczonemi).

Mysia. Chodźno, Ziuniu, patrz jaka sukienka.

Ziunia. Nie ruszaj, nie dotykaj rękami, to na jutro dla Tosi... idźże się ubierać...

Mysia. Kiedy mamcia czesze Tosię. Ja tu jeszcze zostanę, popatrzę na sukienkę.

Ziunia. Loki mi się nie trzymają, takie mam szkaradne włosy i zapomnieli mnie uszyć tiurniurkę do spodnicy... (szuka) niema tu gdzie gazety!

Mysia. Będziesz czytała?

Ziunia. Głupia jesteś, tiurniurkę sobie zrobię — nie cierpię jak tak z tyłu wpada... niema gazety! Idź, Mysia, do pokoju babci i złap tam jaką gazetę!

Mysia. Babcia będzie się gniewać.

Ziunia. To się powie, że kot albo sługa. Idź, idź... dam ci za to konfitur... (Mysia wy-

chodzi na lewo. Ziunia stojąc przed suknią). Śliczna suknia... To rozumiem... Tren na dwa łokcie... W takiem ubraniu, to kobieta może się podobać i ładnie wygląda, ale jak ją tak ubiorą jak mnie, to cóż dziwnego, że się nikt na mnie nie patrzy. Ach! tak chciałabym pójść za mąż, żeby mieć taką suknię...

SCENA II.

Babunia (bardzo stara kobieta, ubrana w jasną popielatą suknię—białą koronkę ma na włosach). Mysia! Mysia!... dlaczego mi wzięłaś gazetę — myślałaś, że ja śpię? to ty mi wykradasz kuryery.

Mysia. Ja, babciu... to nie dla mnie... to...

Babunia. Gdzie gazeta? aha! to panna Ziunia ma ją w ręku — co to? chcesz może czytać felieton? i zaraz! patrzcie ją... smarkata...

Ziunia. Czytać? Ja wcale nie myślałam czytać...

Mysia. Ona chce sobie zrobić tiurniurkę...

Babunia. Co? co? tiurniurkę? słyszane to rzeczy — za moich czasów, dzieci takie jak ty nie miały pojęcia o tem, co to jest tiurniurka...

Ziunia. Bo to nie było modnie.

Babunia. Nie... bo to nieprzyzwoicie. Połóż mi zaraz tą gazetę i idź się ubierać.

Ziunia (zadąsana). Czy znowu jak przyjdzie ten czuły narzeczony Tosi, mam siedzieć z nimi? Oni ciągle przedemną uciekają, babciu ja sobie z nimi nie mogę dać rady.

Babunia (z uśmiechem). Nie, pan Władysław dziś nie przyjdzie, dopiero jutro na ślub przyjdzie.

Ziunia (pochmurna). Babciu...

Babunia. Co Ziuniu?

Ziunia. To po ślubie Tosia z tym panem sama pojedzie?

Babunia. Pojedzie!

Ziunia. Samiutka jedna?

Babunia. Naturalnie.

Ziunia. A czy to będzie przyzwoicie.

Babunia. Ach ty sroczko... przecież to będzie jej mąż... (Ziunia kręci głową z powątpiewaniem — głos za sceną woła: „Ziuniu“). Wołają cię, pewnie fryzyer przyszedł.

Ziunia (nagle zasępiona). I on mi nic nie poradzi... dwa dni z papilotami chodzę i jeszcze się nie trzymają.... (wychodzi na prawo).

SCENA III.

BABUNIA, MYSIA.

Babunia (staje przed suknią i patrzy na nią długą chwilę z westchnieniem; obok niej stoi Mysia).

Mysia. Babuniu, czy ty byłaś kiedy tak ubrana?

Babunia. Byłam moje dziecko!...

Mysia. A dawno?

Babunia. O dawno!

Mysia. Ale ja już wtedy żyłam?

Babunia. Ptaki o tobie jeszcze nie śpiewały — głuptasiu jedna. To było już tak dawno, że nawet ten ksiądz co mi ślub dawał—nie żyje.

(Siada na kanapie).

Mysia (po chwili). Powiedz babciu jak to ludzie umierają. Ja już dużo widziałam — jak koleją jeżdżą, jak to w teatrze tańczyli, jak się bili na ulicy, że sobie nosy porozbijali a i ślizgawkę też widziałam, ale ja nie wiem jak ludzie umierają.

Babunia. Dowiesz się moje dziecko.

Mysia. A kiedy babciu, kiedy?...

Babunia (z westchnieniem). Może bardzo prędko Mysiu!

Mysia. Ty mi to powiesz, babuniu?

Babunia (po chwili). Ja ci nie powiem, ja ci pokażę moje dziecko jak się umiera...

Mysia (zachwycona). O babciu!

Babunia. Tylko ty wtedy będziesz spała moje dziecko, bo starzy ludzie najczęściej umierają nad ranem.

(Zasłania oczy).

Mysia. To mnie obudzą (po chwili). Ty płaczesz babuniu! Co tobie? Nie płacz. To przezemnie? Mysia była niegrzeczna?...

Babunia (wstaje). Ale nie, nie, nie przez ciebie... o!... widzisz, patrz lepiej jaka śliczna suknia. I ty kiedyś będziesz miała taką, jak będziesz szła za mąż.

Mysia. Za mężczyznę?...

Babunia. Naturalnie!

Mysia (z płaczem). Nie, ja nie chcę... ja tylko pójdę za mąż za ciebie babciu, albo za mamusię.

Babunia. Dobrze... dobrze... nie płacz...

SCENA IV.

Te same, SŁUŻĄCA (ubrana w biały kaftanik, biały czepek, fartuch biały, duży, który zasłania prawie całą suknię jasno-popielatą; później JANKA.

Służąca. Proszę starszej pani — panna Janka przyszła przez kuchnię.

Babunia. No to niech wejdzie!

Służąca. Ona mówi, że chce się widzieć z panienką.

Babunia. Cóż to za komedya—może panienka ma do kuchni do niej wychodzić? (idzie do drzwi i woła). Janko! Janiu!... a chodźże tu. (Służąca poprawia świece w kandelabrach i wychodzi).

Janka (wchodzi; słuszna, wysoka panna, bardzo ładna, blada i wzruszona — odziana ciemno w żakiecie i czapeczce na głowie.)

Babunia. Cóż tam robisz w kuchni?

Janka (całując w rękę babcię). Ja chciałam...

Babunia. No co? chciałaś się widzieć z Tosią? Nie można, fryzyer ją czesze...

Mysia. Patrzaj Janka jaka sukienka, to na ślub dla Tosi.

Janka (zagryzając wargi). Bardzo, bardzo ładna.

Babunia. Dlaczego ty nie ubrana? idźże do domu—ubierz się i przyjdź. A pamiętaj, zupełnie biało, bo to dziewiczy wieczór Tosi. To wszystkie musicie być białe, jak stadko gołębi... to już taki zwyczaj... panieński wieczór! dziewiczy wieczór!...

Janka. Ja chciałam... chciałam koniecznie widzieć się z Tosią...

Babunia. Powiadam ci, że fryzyer ją czesze. Po co ci widzieć się z Tosią? Masz jej co do powiedzenia?...

Janka. Tak...

Babunia. No to jej powiesz jutro... albo nie, powiesz jej tam kiedyś po ślubie...

Janka. Nie... nie... ja jej to muszę powiedzieć jeszcze przed ślubem...

(Babunia patrzy na nią uważnie).

Babunia (po chwili). Ej Janka, Janka, daj spokój, nie mąć szczęścia ludziom, ty na tem nie zyskasz!

Janka (jak w gorączce). Ja muszę... ja muszę...

Babunia (ze znaczeniem). To trudno, moja droga. Nic z tego wszystkiego nie będzie, wyperswaduj to lepiej sobie...

Janka (zmieszana). Ale... pani nie wie co ja chcę Tosi powiedzieć.

Babunia (po chwili). Może nie wiem, w każdym razie dla mnie bliższa Tosia niż ty moja droga i ja nie dam krzywdy jej robić... Lepiej rozpogodź czoło i przypatrz się sukni... co? jakie koronki...

Janka (z goryczą). O tak! wspaniała... Tosia jest bogatą panną, może sobie za swój posag kupić nietylko koronki ale i... (urywa).

Babunia. Ha!... to trudno... zdaje się, że do końca świata będą bogate i biedne panny. Trzeba się zdecydować na rezygnacyę— a ty zawsze zazdrościsz bogatszym.

Janka (z bolesną ironią). Pani wie, że jeśli chciałam mieć pieniądze, to nie po to, aby sobie kupić męża, ale dlatego, aby wyjechać na studya i stanąć o własnych siłach, ale teraz mi wszystko jedno i o co innego chodzi, co zaś do rezygnacyi to słowo, ale zastosować je w życiu trochę trudniej.

Babunia. Dlaczego? skoro się ma wiarę w sercu a w duszy poczucie własnej godności.

Janka (zapatrzona przed siebie). Są okoliczności, w których kobieta traci wiarę i dumę.

Babunia. Dumę... może. Ale wiarę nigdy! a zresztą ja już kobieta starej daty—gdy miałam zmartwienie, umiałam się wypłakać i pomodlić w kącie... Ale ja jeszcze czytałam książkę do Nabożeństwa Dunina—to co innego.

Janka. Ja tego nie potrafię!

Babunia. Wiem to, wiem. A szkoda, szkoda, ze łzami przy modlitwie uraza spływała i ja nigdy nie byłabym (ze znaczeniem) chciała cudzego nieszczęścia. (Janka milczy). Sądzę, że lepiej będzie dla ciebie, Janka, gdy nie będziesz się widzieć sam na sam z Tosią.

Janka (która chwilę wpatrywała się w fotografię mężczyzny na biurku). O! muszę, muszę widzieć Tosię.

SCENA V.

Też same, TOSIA, ZIUNIA.

Tosia (ładna, młoda, lalkowata panienka o niewiele znaczącym wyrazie oczu i twarzy; ubrana wytwornie, biało i prześlicznie; à la

vierge uczesana, biegnie za Ziunią wołając). Oddaj puder... oddaj puder...

Ziunia (uciekając). No, daj mi spokój.

Tosia. Babciu, ona mi usypała pudru z tego pudełka, co jest na wyprawę i zabrała flakonik perfum!

Babunia. Tosiu!... wstydź się... nie latai. Niktby patrząc na ciebie nie pomyślał, że idziesz jutro za mąż.

Tosia. Co to ma jedno do drugiego. Dzień dobry, Janko. Cóż ładnie mnie uczesali? fryzyer powiedział à la vierge... niby, niby stosownie na dzisiejszy dzieweiczy wieczór. Uczesz się tak samo—pan Władysław mówił mi kiedyś, że ty masz twarz do tego stworzoną, (nagle do Ziuni). Oddasz mi puder, ty nieznośna kokietko.

Ziunia. Jak mamcię kocham, babciu, wzięłam dla żartów okruszynę... a tu zaraz takie krzyki.. Czekaj, powiem panu Władysławowi, że jesteś złośnica, że się pudrujesz, że jak tylko są konfitury, to je pokryjomu wyjadasz, to zobaczymy czy on się z tobą ożeni.

(Wybiega na prawo, potykając się o sługę, która wnosi bukiecik róż białych i list).

SCENA VI.

Te same oprócz Ziuni, SŁUŻĄCA.

Służąca. Proszę panienki (z uśmiechem) od pana Władysława.

Tosia. Babciu, jakie cudne róże. Ach, jaki on dobry, rano przysłał mi kosz z gołębiem, teraz znowu wiązankę róż; zobaczymy co pisze (czyta).

Janka (zbliża się do niej). Tosiu... ja chciałabym cię prosić, ażebyś...

Tosia (z roztargnieniem). Co? może chcesz, żeby ci co pożyczyć na dzisiejszy wieczór? rękawiczek? wachlarza?

Janka. Nie...

Tosia. Patrz co on do mnie pisze—nazywa mnie swojem słonkiem, to ładnie, co? nazywał cię kto kiedy słonkiem?

Babunia. Zapomniałaś Tosiu, że Janka nie miała jeszcze narzeczonego a do przyzwoitej panienki tylko narzeczony ma prawo pisywać takie listy.

Janka (cicho do Tosi). Oddal babcię ja muszę z tobą sam na sam pomówić.

Tosia (zdziwiona). Ty? ależ babcia nam nie przeszkadza—babcia nie zdradzi naszych sekretów — prawda babciu?

Babunia (gładząc ją po włosach). Prawda moje złoto...

Tosia. Ja nigdy nie będę miała przed tobą tajemnic, ja to już mówiłam panu Władysławowi. Ja wszystko będę zawsze babci opowiadać.

Babunia (śmieje się). E!... znajdą się rzeczy, których mi nie będziesz opowiadać.

Tosia. O nie! wszystko! wszystko! (do Janki). Ale dlaczego ty, moja Janiu, jeszcze się nie ubrałaś? Ja ci dałam przecież już dwa dni temu moją bluzkę i sukienkę, żebyś ją przedłużyła.

Janka (z goryczą). Dziękuje ci serdecznie za twoje dary, ale ja z nich użytku nie zrobię. Nie przyjdę do ciebie dziś wieczorem.

Tosia. Ależ to być nie może! Ty przyjdziesz. Ja ciebie tak lubię i pan Władysław także.

Janka. Ja miałam być u ciebie, ale nie u pana Władysława!

Tosia. Och! Ja prawie już jestem panią Władysławową.

Janka (ze znaczeniem). Jeszcze nie!

Tosia (upuszczając róże z ręki). Dlaczego tak na mnie patrzysz, Janiu!

Babunia. Nie patrz tak na nią, Janka.

Janka (po chwili). Tego mi zabronić nie możecie!

SCENA VII.

Też same, MATKA.

(Matka lat 45, siwiejąca, ale bardzo mało ubrana jasno-popielato, bogato).

Tosia (otrząsając się z przykrego wrażenia). Mamo, Janka nie chce przyjść dziś wieczorem do nas...

Matka. Dlaczego?...

(Milczenie.

Janka (po chwili). Głowa mnie boli.

Matka. To źle. Postaraj się, aby cię nie bolała—kup sobie antipiryny, dam ci pieniądze. Musisz być u nas koniecznie!

Janka. Ależ po co?

Tosia. Będą panienki moje znajome, będzie Frania, Mania, Lili, Muszka, Lunia, Józia, wiesz ta, cośmy na pensyi nazywały ją generałem. Wszystkie będą a ty jedna przyjść nie chcesz..

Janka. Nie pociągają mnie...

Tosia. A ja wiem. One się tobie wydają głupie, ale poczekaj, będzie ktoś, z kim będziesz mogła rozmawiać rozumnie. Będzie panna Julia, ta co była w Genewie, co chodziła na przyrodę i na medycynę.

Babunia. Ta już zbyteczna.

Matka. Trudno, musieliśmy ją zaprosić, konwensanse! Ale do rzeczy, ty, Janiu, przyjść musisz.

Janka. Bezemnie doskonale się zabawicie, ja jestem chora... potem ja jestem zmęczona lekcyami... ja... ja... ja... jestem wam zupełnie niepotrzebna.

Matka. Ależ jesteś konieczna... Bez ciebie będzie nas trzynaście kobiet a na wieczorku panieńskim, w wigilię ślubu...

Babunia. Oh! nie!... za nic na świecie... To zły znak. Już lepiej ja pójdę położę się spać a na trzynastkę nie pozwolę...

Tosia. Ależ, babciu, jakże bez ciebie!

Janka (z goryczą). A więc to tylko dla tego, aby was nie było w fatalnej liczbie. Więc to ja mam was od nieszczęścia ochronić... Ja? ha, ha, ha! to zabawne, (po chwili). A kto wie! może ja wam właśnie nieszczęście przyniosę?

Matka. Żartujesz chyba...

Janka (nagle podniecona). Ja? nie? Choć od dziecka podobno przynosiłam nieszczęście. Stało się coś złego... oho!... Janka była za progiem. Podobno mam takie zielone oczy— po co ja mam tu przychodzić z temi oczami i patrzeć na tę ślubną suknię i na pannę młodą, na te róże, na te fotografię...

Tosia. Co tobie Janko?...

Janka. Nic! nic!... No to jeżeli chcecie i tak mnie zapraszacie, to ja przyjdę (z ironią). Pójdę, ubiorę się w Tosiną sukienkę i przyjdę. To nic—że sukienka cisnąć mnie będzie i tu i tu i koło serca, ale ja przyjdę na czternastą z pełnemi garściami szczęścia? kto wie!...

Matka. Jakto!.. kto wie?...

Janka. Spytajcie tych róż, one wiedzą— uwiędły, bo ja spojrzałam na nie. Bądźcie zdrowi! (Wybiega).

SCENA VIII.

BABUNIA, MATKA, TOSIA.

Matka. Szalona dziewczyna... co jej się stało? Widocznie te lekcye muzyki tak ją denerwują.

Babunia. Podnieś róże, Tosiu, i włóż do wody.

Tosia. Babuniu! one naprawdę zwiędły— a pan Władysław pisał mi: niech one pani przyniosą szczęście?...

Babunia. Ożyją.

Tosia. Taka szkoda, biedne kwiaty (po chwili). Pan Władysław pisał, że mi jeszcze gotuje jakąś niespodziankę.

Matka. Ach Boże! moja Tosiu, trzymasz kwiaty tak blizko sukni ślubnej — patrz one wilgotne, mogą poplamić atłas. Wogóle trze-

ba, ażebyś była trochę uważniejszą. Ja ręczę że podczas ślubu poplamisz suknię. Takie z ciebie dziecko. A ja chciałam ci powiedzieć dziś jeszcze...

Babunia (przerywa). Daj pokój, Emilio! nie ucz jej niczego, nie dawaj jej żadnych nauk. Życie będzie sto razy lepszym od ciebie nauczycielem. To jedyny, który mówi zawsze prawdę. Ośmnaście lat ją uczyłaś—puść ją o własnych siłach.

Matka. To za wcześnie—chodź do mnie, Tosiu, ja dokończę cię ubierać i przez ten czas porozmawiam z tobą o twoich przyszłych obowiązkach. Do tej pory nie miałam czasu. Tyle kłopotów z tą wyprawą... potem z tem weselem... no, chodź, moje dziecko.

Babunia (odprowadza matkę na bok). Prawdy jej nie powiesz... będziesz kłamać, więc po co?...

Matka. Moja mamo, taki już zwyczaj. Tak chcą konwensanse (wychodzi z Tosią).

Babunia (za niemi). Idź, idź ty konwenansowa niewolnico...

SCENA IX.

BABKA, WISIA, SŁUŻĄCA.

(Wisia rezolutna dziewczynka, ubrana cała biało z lokami).

Służąca. Przyprowadzili Wisię.

Wisia (całuje babkę w rękę). Dzień dobry pani!

Babunia (do sługi). Zostaw ją tu. A powiedz Janowi, ażeby nie wychodził otwierać. Dziś ty drzwi otworzysz i wogóle niech mi się tu żaden mężczyzna nie kręci po pokojach. Dziś panieński wieczór — pamiętaj o tem! A pospuszczałaś rolety? mieszkanie na parterze a ty zawsze o tem zapominasz— i świece zapal!

Wisia (chodzi dokoła sukni). Dlaczego ta pani nie ma głowy?

Babunia. Bo to nie pani, ale manekin — zaraz ci przyślę Mysię. Nie ruszaj tylko tutaj nic, moje dziecko.

Wisia. Dobrze, proszę pani!... (Babunia wychodzi na prawo). Nie ruszaj, zaraz—(idzie do parawana, zagląda, biegnie do tualetki, rusza wszystko, do biurka, potem zagląda pod tren sukni i mówi). I! to taka pan z drutu...

SCENA X.

WISIA, MYSIA, TOSIA, LUNIA.

(Mysia wystrojona biało).

Wisia (pędzi do Mysi krzycząc). Dzień dobry Mysiu!

Mysia. Dzień dobry! nie krzycz tak, bo to niełądnie.

Wisia. I! nie będziesz mnie uczyła—(ogląda suknię Mysi). Twoja suknia brzydsza niż moja.

Mysia. To twoja brzydsza, u mnie szarfa z tyłu a u ciebie co?...

Wisia. U mnie jest koronka.

Mysia. Ale u mnie wstążka.

Wisia (zła). A u mnie w domu jest już elementarz i duża piłka.

Mysia (zła). A ja wczoraj piłam czekoladę a ty nie!

Wisia (tryumfująco). A ja wczoraj brałam lekarstwo, a ty nie.

Mysia (czuje się pobitą, po chwili nagle). A moja siostra to idzie za mąż a twoja nie.

Wisia (tryumfująco). A mój brat się ożenił i ma czworo dzieci!

Mysia. Nie prawda!

Wisia. Jak mamę kocham (po chwili znużona). Bawmy się.

Mysia. W co?

Wisia. W panie!

Mysia. Dobrze — to siadaj na kanapie a ja na fotelu...

(Siadają jak baletniczki na kanapie, zadzierając sukienki).

Wisia. Dzień dobry pani — dzieci pani zdrowe?...

Mysia. Nie—wszystkie mają podagrę!

Wisia. A pani mąż?

Mysia. Od wczoraj jestem wdową!

Wisia. A ja właśnie mam iść za mąż za chłopca z cukierni. Będę jadła same ciastka na obiad i będę się myła orszadą (po chwili zeskakują). Schowajmy się!

Mysia. Gdzie?

Wisia. Pod suknię!

(Włażą pod tren sukni, wbiega Tosia).

Tosia. Mama kazała przynieść sobie mój dzienniczek. Co to ten ślub! Nigdy mama mnie się nawet o dzienniczek nie pytała (wyjmuje z biurka dzienniczek, przybiegając do sukni). Ty moja sukienko, jakie ty mi niespodzianki odkryjesz?...

(Obie dziewczynki z dwóch stron wychylają główki z pod sukni wołając: a ku-ku! Tosia śmiejąc się wybiega i wchodzi do pokoju Lunia. Mysia i Wisia biegną do kanapy).

Lunia (podrastająca panienka, ubrana biało, trochę niezgrabna, czerwieni się co chwila). Jak się masz, Mysiu! dzień dobry, Wisiu!

(Wbiega Ziunia, ubrana biało z wielką kokieteryą).

Ziunia. Dzień dobry, Luniu. Co tu robisz z temi dzieciakami, siadaj tutaj—a wy idzie sobie dalej. Co to jest rozsiadać się po kanapach? Także!...

(Spędza Mysię i Wisię, które idą trochę dalej).

Lunia.. Jaka jesteś dzisiaj ładna, Ziuniu.

Ziunia. W sekrecie ci coś powiem, tylko przysięgnij się że nikomu nie powiesz...

Lunia. Jak mamę kocham!

(Wisia podsłuchuje).

Ziunia. Upudrowałam się!

Lunia. O!...

Ziunia. Dlaczego ty jesteś taka czerwona?

Lunia. Ach, Boże, czy ja wiem czemu ciągle piekę raki. Wiesz, już mi życie po prostu zbrzydło. Profesor wyrwie mnie, albo ktoś coś powie do mnie, ot tak, albo co bądź, a ja zaraz jestem czerwona jak burak.

Ziunia. Ja wiem co to jest.

Lunia. No co?...

Ziunia Ty musisz mieć nieczyste sumienie!

Lunia. Ja! ale Ziuniu co znowu? Ja nie wiem. ja sobie wszystkie grzechy zapisuje do dzienniczka i są same powszednie, jak mamę kocham.

Ziunia. To już nie wiem (po chwili). Ty wiesz oni sami pojadą.

Lunia. Kto?

Ziunia. Oni! Tosia i ten jej czuły narzeczony (Wisia podsłuchuje). Wisia nie podsłuchuj kiedy starsi rozmawiają (do Luni). Jeżeli przysięgniesz się, że nikomu nie powiesz, to ci coś powiem w sekrecie.

Lunia. Jak mamę kocham nikomu nie powiem.

Ziunia. Oni się kiedyś pocałowali.

Lunia. O!...

Ziunia. Mama mnie zawsze kazała przy nich siedzieć. Ale oni mnie oszukali—to to, to owo wymyślali, wypychali mnie, aż raz ja to widziałam.

Lunia (ze spuszczonemi oczyma). Pocałowali się.

Ziunia. Czegożeś taka czerwona?

Lunia. Jakże nie być czerwoną, przecież to chyba grzech.

Ziunia. E... przyznam ci się, że już zaczynam nic nie rozumieć. A potem okropnie się jednej rzeczy boję.

Lunia Czego?

Ziunia. Mama mi się każe pewno do nich wprowadzić po ślubie i będę musiała ich dalej pilnować, zobaczysz!...

Lunia! E! to, to chyba nie.

Ziunia. Ale zobaczysz — nibyto mama mówi „nie“, ale ja jestem pewna. Jakże ja będę za nimi łaziła—to los!

SCENA XI

Też same; wybiega służąca otwierać, hałas w przedpokoju, śmiechy; ze drzwi z lewej strony wbiega Tosia, z przedpokoju wchodzą:

FRANIA, MANIA, LILI, MUSZKA, JULIA, wszystkie biało, elegancko ubrane, uczesane modnie, znać na nich dostatek i dobre wychowanie).

Lunia (zatrzymuje Tosię, podaje jej kwiatki, które trzymała w ręku). Moja droga Tosiu, winszuję ci, że idziesz za mąż.

Tosia. Dziękuję ci! o mój Boże, co ci jest! taka jesteś czerwona (biegnie do wchodzących panienek). Dzień dobry— dzień dobry!

Wszystkie. Winszujemy ci, winszujemy (całują ją i podają jej kwiaty).

Julia (która wchodzi powoli i mówi z wyższością). Ja ci nie winszuję, bo nie wiem jeszcze czy jest czego, ale ci życzę, ażebyś była o ile można szczęśliwa za tym mężem.

Tosia. Dziękuję ci! Ale gdzie Generał?...

Józia (zwana Generałem. Jest to duża dziewczyna z krzakowatemi ruchami, ale nie ordynarnemi, ma włosy uczesane nie zbytnio porządnie i ręce bardzo czerwone, ubrana jest w bardzo elegancką suknię białą, ale stanik ma włożony z tyłu naprzód tak, że piersi ma ściśnięte plecami stanika a na plecach wisi jej garb z przodu stanika; stanik jest zapięty z przodu a właściwie winien być zapięty z tyłu na guziczki).

Józia (która trzyma coś z tyłu). Jestem! Jak się masz owco na rzeź przeznaczona! Ty! zdradziłaś naszą umowę za to masz mój bukiet (wyciąga z poza pleców rózgę związaną wstążką).

Panienki (śmieją się). Och, Generale.

Józia. Zdradziłaś przysięgę. Dałyśmy sobie słowo, że nie wyjdziemy za mąż, pamiętacie, dzieci?

Lili. Frania, Mania, Muszka. Prawda!

Józia. Jedna już chciała zerwać umowę ale (patrzy na Franię, ta nagle mieni się na twarzy i Józia rzuca się jej na szyję). Nie, nie. Już nie, nie, nie będę nic do ciebie mówiła (do Tosi). Ale ty nie zasługujesz na inny bukiet i weź go sobie...

Tosia (śmiejąc się). Szczęście, że mnie tą rózgą nie wybijesz.

Józia. Zdałoby ci się. Po co ci mąż? Dlaczego ja nie chcę iść za mąż...

Julia. Z takiemi manierami trudno wyjść za mąż...

Józia. Zapewne... ale i te ze studenckiemi manierami nie prędzej idą odemnie a nawet dłużej czekają—i jeśli myślą, że są bardzo mądre, bo były trzy miesiące na medycynie—to się mylą...

Julia. Bo same nie chcą iść za mąż, mają inne cele w życiu.

Tosia. E! co tam, już się stało, klamka zapadła.

Julia. Od ołtarza się ludzie rozchodzą.

Mania. Jaka cudna suknia z patką ztyłu. Tylko zdaje mi się, że w pasie trochę za szeroka, na mnie przynajmniej byłaby ogromna.

Lili. Naturalnie, nie każdy jest taki cienki w pasie jak ty!...

Józia. Tylko patrzeć jak się kiedy przetniesz na dwie połowy i będą cię musieli sklejać klajstrem od porcelany.

Mania. Bóg wie co wygadujecie... o—niech każda się przekona, czy ja mam ściśnięty gorset, no!

Lili. Daj pokój, małoś nie zemdlała w karecie!! (inne panienki oglądają suknię).

Frania. To ładna taka forma princesse, te dodaje powagi!...

Józia. Będziesz w tej sukni wyglądała jak kaczka!...

Panienki. O!...

Józia. Cóż o! Czy ja to się niby nie znam na modzie? jak kaczka powiadam i tyle.

Julia. Ja inaczej byłabym się na ślub ubrała. Ciemno, poważnie, bo niby czego się znowu tak cieszyć — małżeństwo to nie zabawa, to cała serya przykrości, chorób, kłótni, zdrad, Bóg wie czego!...

Tosia. E!... Tak źle nie jest.

Lili. Najgorsze w małżeństwie to dysponowanie obiadu.

Muszka. Jabym się bała iść za mąż...

Wszystkie. Dlaczego?

Józia. To wszystko zależy od tego jak się z mężem postąpi, odrazu jak ja nie wezmę pod pantofel, to on mnie weźmie pod but.

Julia. Co? co? pod but — jakie ty masz wyrażenia?

Józia. Generalskie... pod but! więc ja jego panie dobrodzieju za łeb i już mam całe życie spokojne...

Muszka. Ale czy on będzie miał całe życie spokojne...

Józia. Co mnie to obchodzi, ja jestem Samson i tyle...

Wszystkie. Co? co? Samson?...

Józia. No tak samojednik. Ach!... Pardon, egoistka, mówiąc po dystyngowanemu, byłam z wami na pensyi, ale nie nauczyłam się jeść widelcem ryby, ani spać w rękawiczkach. Doprowadzam do rozpaczy moją matkę, ale nic na to nie poradzę, więc gadam tak po swojemu.

Muszka (spuszczając oczy). Ja znowu gdybym już musiała koniecznie wyjść za mąż, to chciałabym żeby mój mąż... (urywa)

Józia No wyduś!

Muszka. E nie!

Józia. Gadaj!...

Muszka. Był sokołem i nosił takie piórko u czapki, to tak ślicznie.

(Śmieją się wszyscy).

Tosia (do Frani cicho). Jaka ty dziś jesteś blada, Franiu!

Frania. Nie zważaj na to...

Tosia. Ja wiem, wiem co ci jest, ty sobie przypominasz śmierć twojego narzeczonego i bardzo ci smutno, prawda... (Frania milczy). Ja to teraz dopiero rozumiem, Franiu, jakie to musiało być dla ciebie straszne, mnie się zdaje, że gdyby tak pan Władysław zmarł, to jabym go nie przeżyła.

Frania. Musiałabyś go przeżyć, to trudno!

Tosia. On mnie tak kocha! patrz napisał do mnie list i pisze „ty moje słonko".

Frania. Mój do mnie tak samo pisał.

Mania. Ale jutro w kościele pamiętaj pociągnąć mnie za sobą, jak będziesz odchodzić od ołtarza.

Lili. I mnie pociągnij!

Muszka. Tosiu i mnie pociągnij!

(Dzieci wołają „także i mnie").

Józia. Co i was, bębny? za mąż się im śpieszy. A do elementarza. Ale to pamiętaj, Tosiu, że twoja ręka podczas wiązania stułą musi być na wierzchu; pamiętaj, inaczej oń będzie nad tobą przewodził całe życie.

Julia (siada przy fortepianie). Upokażająca niewola!...

Lunia (nieśmiało). Dlaczego, jeśli się kocha... (zaczerwieniona, czując wzrok wszystkich na sobie chowa twarz w ręce).

Józia. Głupstwo, w małżeństwie niema miłości!

Lili. A tak; mówią, że jest tylko szacunek. Hi, hi, hi!

Tosia. Ach, nie!... nie mówcie tak, proszę was—to byłoby bardzo smutno...

Julia (zaczyna grać powoli). Powiedziałam, że małżeństwo nie jest idyllą.

Wisia (wpadając nagle pomiędzy wszystkich). Wiecie, Ziunia się upudrowała!

Ziunia. Nie prawda!

Wisia. Prawda, sama słyszałam, mówiła!

Ziunia. Idź stąd, ty nieznośna!

(Służąca dawno wniosła tort, wino w małych kieliszkach, cukierki ,pomarańcze, aby panienki jadły i piły).

Mania. Ja gdzieś słyszałam, że małżeństwo jest grobem miłości.

Lili (pretensyonalnie). To zależy pewnie od żony. Ja sądzę, że można miłość wszędzie utrzymać!

Józia. Swoją drogą, jakby mnie mąż nie kochał, to jabym mu włosy z głowy powyrywała.

Ziunia. A jakby był zupełnie łysy?

(Okropny chichot wśród panienek).

Józia. Cicho, subordynacya, za łysego nie pójdę, mój mąż musi być!...

Ziunia. Rudy!

(Znowu śmiech).

Józia (do Ziuni). Głupia jesteś. Już ja wiem jaki on będzie...

(Julia gra gawota, panienki powoli podchodzą do fortepianu i zaczynają nucić, najprzód Frania, za nią inne i formuje się grupa, która rozwija się w łańcuch, prowadzony przez Franię i stopniowo wzrostem aż do Wisi i Mysi i panienki gawotowym krokiem okrecają ślubną suknię, śpiewając).

Sukienko ślubna jakby lilij kwiat
Zjawiłaś się wśród nas jak cień,
Przed tobą korzy się dziewczęcy świat,
Bo jutro twój królewski dzień,
Sukienko biała jak śniegowy puch
Pamiętaj proszę o mnie też,
Sukienko biała, lekka jakby duch
I mnie w przedślubny welon bierz.

(Nagle Frania zaczyna łkać, przerywa łańcuch i taniec, biegnie do fotelu pada nań i zaczyna płakać gwałtownie — wszystkie panienki biegną ku niej).

Józia. Franiu co ci się stało! Franiu!

Tosia (cicho do panienek). Wy wiecie przecież... przypomniał jej się narzeczony... umarł... na trzy dni przed ślubem.

Wszystkie. Tak, tak!...

Frania (powoli, jakby sama do siebie, podczas gdy panienki grupują się dokoła niej w ładnych smutnych pozach). Tak, pamiętam wszystko. ta suknia, ten gawot, on go grał zawsze, suknia była taka sama — ślub miał się odbyć za trzy dni, we środę a w niedzielę czekamy. Chodziliśmy zawsze razem do kościoła: mama, ja i on, czekamy napróżno, poszłyśmy same, potem z obiadem czekamy a jego niema. Mamcia widzi co się ze mną dzieje więc idzie, on mieszkał u brata! Mamusia dochodzi do domu — stoi masa ludzi i mówią: taki młody! taki młody Co? jak? kto? już znaleźli nieżywego odpowiadają—mamusia biegnie i zastaje już trupa—(po chwili) zastrzelił się!... (panienki patrzą po sobie). I nikt nie wie dlaczego? — umarł ze swoją tajemnicą; zmarł; nikt nie wie, nikt się już nie dowie...

(Słychać silny trzask jakgdyby pękającego drzewa).

Panienki (przerażone). O!... (tulą się do siebie).

Muszka. Może on jest tu między nami—ja słyszałam, że samobójcy nie mają po śmierci spokoju!...

Julia. Co za niedorzeczność. Meble pękają, nic więcej...

Frania. A ja wierzę, że nie, panno Julio. Panią medycyna czego innego nauczyła! a mnie moje nieszczęście czego innego. Ja chcę wierzyć, że on mnie widzi! (pukanie do okna). Och! (dziewczyny się tulą jak stadko owiec do siebie).

Muszka. Nie otwierajcie!...

Józia. Co za nonsens! duchy będą po ulicach chodzić (biegnie do okna, przez które ktoś wrzuca całe masy białego bzu i lilij). No to chyba zrobił ktoś żyjący, patrzcie—bzy. (Dziewczęta biegną i podnoszą śmiejąc się i ubierają się w kwiaty).

Tosia. To on, Władek to zrobił nikt inny!

SCENA XII.

Też same, BABUNIA, MATKA, później JANKA.

(Panienki biegną i witają się całując panie po rękach—chwilę trwa zamieszanie, wchodzi Janka).

Janka (ubrana biało). Przychodzę w porę? widzę właśnie trzynaście osób.

Mysia. A! Tosina sukienka! Janka ma Tosiną sukienkę...

(Chwila milczenia).

Janka (z wysiłkiem). Tak, Tosia była tak dobrą i podarowała mi swoją starą sukienkę, bo jestem biedna i nie mam sobie za co sprawić.

(Wita się z pannami).

Tosia. Ależ, Janiu!...

Babunia. E, co tam!... potańczcie lepiej trochę.

Wszystkie. Potańczymy!

Ziunia. Nie ma kawalerów.

Babunia. A tobie na co kawalerów — tańczcie jedna z drugą.

Wszystkie. Ależ chętnie.

(Julia gra walca cicho — panienki zaczynają tańczyć w głębi sceny, przedtem sługa uprzątnęła manekin).

Matka (do Janki). Napij się wina moje dziecko i zjedz trochę cukierków.

Janka (ironicznie). Dziękuję, pani, taka dla biednej kuzynki łaskawa, proszę o trochę papieru, zabiorę co nie dojem z sobą do domu...

Matka. Co ci jest Janka.

Janka (z gorączkową wesołością). Mnie nic, pójdę tańczyć (do Józi). Służę ci, generale (tańczy).

Matka (do babki). Taki strach mnie przejmuje!

Babunia. Dlaczego?...

Matka. Dopiero teraz pytam się sama siebie czy dobrze robię wydając Tosię tak młodą za mąż. Patrz, między temi dziećmi, w tym tanecznym wirze trudno ją odróżnić. I jutro już żona!...

Janka (do Józi). Pysznie tańczysz, mój generale!...

Józia. Prawda? mam sznit wojskowy — ja powinnam była się urodzić lejtnantem, co?

Janka (z gorączkową wesołością). Ale patrz generale... włożyłaś stanik z tyłu naprzód!...

Józia. Guziki z przodu.

Janka. Powinny być z tyłu... Oj ty! już z ciebie nie będzie nigdy taka Mania—patrz jak lalka—a teraz idź, idź!...

Tosia (do Janki). Nie powinszujesz, mi Janko?

Janka (prędko, gorączkowo korzystając z tego, że babka i matka zajęte panienkami). Owszem, dam ci nawet dowód jak bardzo ci sprzyjam... Tosiu, posłuchaj mnie — ja, ja, nie mam czasu mówić ci dokładnie wszystkiego... ale zrozum, twój ślub się nie odbędzie!

Tosia. Zerwać? dlaczego? (w tej chwili przybiega Mania i porywa Tosię do tańca — Tosia tańczy jedną turę—wyrywa się, wraca do Janki, która stoi blada jak trup na przodzie sceny). Dlaczego ja mam zerwać? dla czego?...

Janka. Bo Władysław nie ciebie, ale mnie kocha... bo z tobą żeni się dla posagu! rozumiesz, dla posagu?...

Tosia (jakby gromem rażona). Nie, nie! to być nie może, to nie podobna— on mówił jeszcze wczoraj, że mnie jedną tylko w życiu kochał.

Janka. Mnie mówił to samo, ale jeszcze przed tobą... kochaliśmy się tak bardzo... ja... ja... tyle szaleństw dla niego popełniłam. Ty nie rozumiesz, ale on miał się ze mną żenić, potem zaś przyszłaś ty, on dowiedział się o twoim posagu i porzucił mnie — porzucił...

Tosia. Ty kłamiesz!

Janka. Wiedziałam, że mi wierzyć nie będziesz, masz, czytaj, to są dowody — (daje jej paczkę listów) jego listy...

Tosia (przegląda). Boże! jego pismo, tak tak, co on pisze? moje słonko? do ciebie tak samo jak do mnie?

Janka. Do mnie tak samo jak do ciebie...

Tosia (oszalała z bólu). Mamo! Babciu! (biegnie do nich, obie siedzą po lewej). Patrzcie, pan Władysław kochał się przedtem w Jance— porzucił ją dla mnie — to jest dla mego posagu— to są jego listy — nazywa ją słonkiem... jak mnie... ja nie mogę iść za niego!... nie mogę!...

(Rzuca się matce w objęcia, która ją tuli).

Matka. Cicho, cicho, nie płacz! rzeczywiście to bardzo zły, bardzo zły postępek!...

Józia (głośno). Dosyć walca, będziemy tańczyć lansyera.

Panienki. Nikt z nas nie umie.

(Grają lansyera, panieki próbują tańczyć).

Matka. Pokaż te listy (czyta). Rzeczywiście ta dziewczyna nie skłamała. Ach, co teraz? co teraz? co świat powie? Otóż to, kiedy kobieta pozostanie sama nie wie co robi, kogo w dom wpuszcza.

Mania (do Tosi) Tosiu, Tosiu, chodź potańcz z nami!

Babunia. Idź, Tosiu, nie trzeba zasmucać swych gości, potańcz i powróć tu za chwilę, otrzej łzy, wszystko będzie dobrze.

Tosia. Ale jak, babciu? jak?

Józia. Tosiu, czekamy! a ty, Janka?

Janka (ironicznie). Nie, ja nie tańczę, mnie za ciasno w darowanej przez Tosię sukni.

Józia. Ale co tam, chodź (chwyta Jankę i ciągnie za sobą). Tańczmy menueta to ładniejsze!...

Panienki. Tak, menueta!

(Trzeba, aby menuet rozpoczął się wtedy, kiedy babka mówić zacznie).

Babunia (na tle menueta łagodnym głosem. Matka obok niej, u jej kolan Tosia). Jest nas trzy w tej chwili. Trzy kobiety —

trzy wieki. Młodość, wiek dojrzały i starość; przed tobą całe życie, przed tobą połowa a przedemną śmierć i gdy się właśnie dojdzie do kresu tego, na którym ja stoję, to krewkość młodości odpada i widzi się życie takiem, jakiem ono jest, ni piękne, ni brzydkie; a to co my nazywamy występkami to jest takie drobne wobec majestatu śmierci— a to co się nazywa dobrem, to takie nic przy wieku trumny. Ty jeszcze, Emilio, masz porywy młodości. Ty nazywasz Władka nikczemnym, bo kochał ładną dziewczynę. Hm! mój Boże — po prawdzie powiedziawszy okazał dobry gust...

Matka. Ależ on ją porzucił! oszukał...

Babunia. Ta, ta, ta, Janka nie dziecko, wiedziała co robi. Chciała być oszukiwaną i jest nią!

Tosia. Babciu! to się musi zerwać... ja za niego nie pójdę.

Babunia. Czy to dlatego, aby on się ożenił z Janką? ale on się z nią nie ożeni, tylko znajdzie sobie jaką inną pannę i...

Tosia (z płaczem). Ja nie chcę, żeby on się z kim innym żenił!

Babunia. A widzisz. Dziś ci łatwo powiedzieć „zerwę“ ale potem byłoby trudno, płakałabyś tak po nim jak Frania płacze po tym zabitym. Wierz mi, najpiękniejsze co

jest na świecie, to umieć zapomnieć! a czas dopomoże. Wierz memu doświadczeniu!...

Matka. Ale jeśli świat się dowie — konwenanse każą zerwać.

Babunia. Świat się nie dowie! Dla konwenansów czynić Tosię nieszczęśliwą — to głupio, słuchaj, Tosiu, w miłości nie ten jest szczęśliwy kto jest kochany, ale ten kto kocha. Ty kochasz, więc będziesz szczęśliwą. No dajcie pokój, nie patrzcie na drobiazgi przez powiększające szkło, ale przez moje okulary, które czas i łzy oszlifowały. Nie zrywajcie, bo to sensu nie ma; gdyby dla takich przyczyn zrywać małżeństwa to należałoby tę instytucyę zwinąć zupełnie (z uśmiechem) a byłaby szkoda, bo ona ma swoje dobre strony.

Matka. Więc mama radzi, żeby...

Babunia. Udać, że się o niczem nie wie. Z Janką ja się załatwię; listy mi dajcie! bierze listy i pali je kolejno) skończyło się, niema nawet o czem myśleć! (wstaje). Moje panienki, nie umiecie tańczyć menueta. Choć to także nie moja epoka, ale zawsze jestem jej bliższa niż wy, moje panienki—(panienki przerywają tańce i otaczają babcię, przez ten czas Tosia tuli się do matki).

Lili. A jakie tańce tańczyli wtedy.

Babunia. Solowe, mała panienko, z szalem, kaczuczę, nóżkę trzeba było mieć wy-

robioną a talię taką, żeby bransoletką się opasać.

Józia. Kłaniam uniżenie; ładniebym w takiem towarzystwie wyglądała.

Mania. A widzicie, śmiejecie się ze mnie!...

Julia. Idź! idź! to było przed stu laty, teraz rozkrępowali kobiety z powijaków.

Babunia. No tańczmy, panienki!...

Panienki. Pani z nami?...

Babunia. Naturalnie. Janko, ty będziesz tańczyć ze mną.

Janka (zmieszana). Ja?...

Babunia. Ty—ja ci każę; tańczymy.

(Zaczynają).

Wisia (na przodzie sceny siada na fotelu sama). Tyle się wina napiłam, że mi się w głowie kręci!...

Mysia. I mnie też (włazi także na fotel, razem śpią).

Tosia (do matki). Każesz mi zapomnieć mamo?...

Matka. Mnie się zdaje, że babcia ma słuszność.

Babunia (do Janki surowo. Tańcząc gdy dojdzie na przód sceny). Ty co! nie tylko zapomniałaś o godności dziewiczej wdając się w miłostki z Władkiem, ale chciałaś jeszcze zerwać małżeństwo Tosi — jesteś złą dziewczyną. Ja cię podejrzewałam i radziłam dać spokój—nie usłuchałaś i teraz kto wie, może

jak te róże pod twemi oczami, uwiędło szczęście życia mojej wnuczki!...

Janka. Więc ja się miałam poświęcić? broniłam się!...

Babunia. Nie broniłaś, nie... mściłaś się... wiedziałaś, że twoje szczęście już do nieobronienia! w tej chwili wyjdziesz ztąd, potem ja cię wyszlę do Genewy, idź na studya a nas zostaw w spokoju.

Janka. Ja nie chcę!

Babunia. Pytać się nie będę, pomówię z twoją matką a teraz idź ztąd! (przerywa się menuet). Panienki, czuję się zmęczoną, tańczcie same, darujcie ale jestem stara (do Janki). Idź ztąd.

Janka. Pójdę! (z ironią) zostawię was w trzynaście.

Babunia. Nieszczęście, które nam przyniosłaś, zostanie z nami i będzie czternaste... (do panienek). Panienki, Jankę głowa boli— służąca ją odprowadza do domu, pożegnaj się, Janiu!

(Janka blada ze wzruszenia, Julia gra walca, panienki zaczynają tańczyć bardzo powoli i z wielkim wdziękiem; Janka kłania się zdaleka matce i wychodzi).

Frania (przybiega). Chodź, Tosiu, tańczyć— taki walc, to tak kołysze, tak uspakaja.

Babunia. Idź, Tosiu, idź!

Tosia (patrząc na Franię). Kiedy ty, Franiu, możesz tańczyć, to i ja chyba mogę.

(Idzie tańczyć z Franią).

Babunia (patrzy chwilę na tańczące panienki). Jak one jeszcze będą płakać gorzko w życiu, te biedne dziewczęta! Ha! ha!... (po chwili z uśmiechem smutnym). A jak niepotrzebnie!

(Panienki tańczą ciągle walca, Julia gra, jedna z nich stoi na krzesełku i rzuca na tańczących liliami i bzem).

Zasłona zapada.

KONIEC.



Tanie wydawnictwo

A. WIŚLICKIEGO.

1. Goszczyński S. Oda.
3. Börne Ludwik. Wybór szkiców t. I.
4. Goszczyński S. Zamek Kaniowski.
8. Henryk Heine. Obrazy z podróży t. II.
9. Börne Ludwik. Wybór szkiców t. II.
10. A. Chamisso. Historya Schlemihla.
14. Henryk Heine. Obrazy z podróży t. IV.
17. La Rochefoucauld. Maksymy.
18. Musset A. Andrea del Sarto.
19. Turgenjew. Pamiętniki myśliwca.
22 i 23. Szekspir. Otello, tragedya.
24. Świetla. Powieści wiejskie.
25. Mark Twain. Humoreski t. II.
26 i 27. Erckmann-Chatrian. Pani Teresa.
28—30. Jean Paul. Hesperus.
31. Mark Twain. Humoreski t. III.
32—34. Prevost. Manon Lescaut.
35. Lermontow. Demon.
36. Puszkin. Cyganie.
37. Musset Alfred. Ludwisia.
41 i 42. Arystofanes. Rycerze.

43. Heine H. Melodye hebrajskie.
47 i 48. K. Świetla. Z rodzinnej kroniki.
49 i 50. Börne. Wybór szkiców t. III i IV.
51. Vrchlicki. Drahomira.
54. Halevy. Nowele.
58. Słowacki. Agezylausz.
63—64. Petöfi. Stryczek kata.
65—70. German. Niedola Nibelungów.
71. Bois Melly. Opowiadanie wypalacza wapna.
72 i 73. Heine. Pamiętniki.
74—78. Monteskiusz. Listy perskie.
79—81. H. Taine. Życie i spostrzeżenia o niem.
82. Scioberet. Pasterz Alpejski.
83 i 84. H. Taine. Napoleon Bonaparte.
85 i 86. Shelley. Rodzina Cencich.
87—92. Erckmann-Chatrian. Oblężenie.
93—94. Gerhart Hauptmann. Samotni.
95—96. Herman Sudermann. Thea.
97—100. Daudet. Safo.

☞ Wszystkie te dzieła mogą być nabywane każde oddzielnie; tomik po kop. 12, z przesyłką kop. 15.

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA
101685

Biblioteka WSP Kielce
0226997